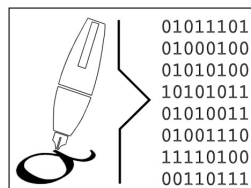


**Philip K. Dick**

# **Boża inwazja**

**Przełożył: Lech Jęczmyk**



**Czas, którego oczekiwałeś, nadszedł.  
Trud skończony; świat ostateczny jest tu.  
On został przeszczepiony i żyje.**

*Tajemniczy głos w ciemności*

# 1

Nadszedł czas, żeby oddać Manny'ego do szkoły. Państwo prowadziło szkołę specjalną. Prawo mówiło, że Manny nie może chodzić do zwykłej szkoły ze względu na swój stan, Elias Tate nie miał w tej sprawie nic do powiedzenia. Nie mógł obejść przepisów, bo to była Ziemia i nad wszystkim unosiła się strefa zła. Elias wyczuwał ją i chłopiec pewnie też.

Elias rozumiał, co ta strefa oznacza, chłopiec oczywiście nie. Sześcioletni Manny był piękny i silny, ale sprawiał wrażenie zaspanego, jakby, pomyślał Elias, nie był do końca urodzony.

— Wiesz, jaki dziś mamy dzień? — spytał Elias.

Chłopiec się uśmiechnął.

— Dobra — powiedział Elias. — Dużo zależy od nauczyciela. Co ty właściwie pamiętasz, Manny? Pamiętasz Rybys? — Wyjął hologram matki chłopca i wystawił go na światło.

— Popatrz na Rybys — powiedział. — Chociaż przez chwilę.

Któregoś dnia chłopcu wróci pamięć. Coś, jakiś wyzwalający bodziec skierowany ku chłopcu przez jego własną przedustawność wywoła anamnezję, ustąpi amnezja i wszystkie wspomnienia wrócą: jego poczęcie na CY 30-CY 30 B, okres w łonie Rybys walczącej ze swoją straszną chorobą, przelot na Ziemię, może nawet przesłuchanie. Manny jeszcze z łona matki kierował ich trójką: Herbem Asherem, Eliasem Tate'em i samą Rybys. Potem jednak zdarzył się wypadek, jeżeli to rzeczywiście był wypadek, i z tego powodu powstało uszkodzenie mózgu.

A z powodu uszkodzenia utrata pamięci.

Lokalną kolejką przyjechali we dwójkę do szkoły. Przywitał ich zaaferowany mały człowiek, dyrektor Plaudet. Był rozentuzjzmowany i chciał koniecznie uścisnąć dłoń Manny'emu. Dla Eliasa Tate'a było jasne, że to reprezentant państwa. Najpierw podają ci rękę, pomyślał, a potem podrzynają ci gardło.

— Więc to jest Emmanuel — powiedział radośnie Plaudet.

Na szkolnym dziedzińcu bawiło się kilkoro innych małych dzieci. Chłopiec tulił się nieśmiało do Eliasa Tate'a, wyraźnie mając ochotę na zabawę, ale nie mogąc się zdecydować.

— Jakie ładne imię — powiedział Plaudet. — Potrafisz powiedzieć swoje imię, Emmanuelu? — spytał chłopca schylając się. — Potrafisz powiedzieć Emmanuel?

— Bóg z nami — powiedział chłopiec.

— Słucham? — zdziwił się Plaudet.

— To właśnie znaczy imię Emmanuel — powiedział Elias Tate. Dlatego wybrała je jego matka. Zginęła w katastrofie powietrznej przed urodzeniem Manny'ego.

— Byłem w inkubatorze — powiedział Manny.

— Czy upośledzenie powstało w... — zaczął Plaudet, ale Elias uciszył go ruchem ręki.

Podeksytowany Plaudet zajrzał do pliku kartek przypiętych do deseczki.

— Zobaczmy... pan nie jest ojcem dziecka. Jest pan jego ciotecznym dziadkiem.

— Jego ojciec przebywa w hibernacji.

— Ta sama katastrofa?

— Tak — powiedział Elias. — Czeka na przeszczep śledziony.

— To dziwne, że w ciągu sześciu lat nie znaleziono dawcy.

— Nie chcę rozmawiać o śmierci Herba Ashera w obecności chłopca — powiedział Elias.

— Ale on wie, że jego ojciec wróci do życia? — spytał Plaudet.

— Oczywiście. Spędzę w szkole kilka dni obserwując, jak postępuje się tutaj z dziećmi. Jeżeli nie zaaprobuje waszych metod, jeżeli stosujecie tu przemoc, zabiorę Manny'ego, bez względu na prawo. Zakładam, że będziecie go szpikować normalnymi bzdurami, jakich się uczy w tych szkołach. To mnie specjalnie nie cieszy, ale też nie martwi. Jeżeli będę ze szkoły zadowolony, zapłacę za rok z góry. Jestem przeciwny oddawaniu go tutaj, ale takie są przepisy. Do ciebie osobiście nie mam pretensji — zakończył Elias z uśmiechem.

Wiatr zakołysał bambusami rosnącymi wokół placu zabaw. Manny wsłuchał się w wiatr, przekrzywiając głowę i marszcząc czoło. Elias poklepał go po ramieniu, zastanawiając się, co wiatr powiedział chłopcu. Czy mówi ci, kim jesteś? myślał. Czy szepcze ci twoje imię?

Imię, którego nikt nie wypowie.

Jedno z dzieci, mała dziewczynka w białej sukience, podeszła do Manny'ego z wyciągniętą ręką.

— Cześć — powiedziała. — Jesteś nowy.

Wiatr zaszeleścił w bambusach.

Herb Asher, choć nieżywy w stanie hibernacji, też miał swoje problemy. W poprzednim roku bardzo blisko Laboratoriów Kriogeniki ulokowano przekaźnik radiowy o mocy pięćdziesięciu tysięcy watów. Z nikomu nieznanymi powodami aparatura kriogeniczna zaczęła odbierać silny sygnał. W ten sposób Herb Asher, podobnie jak wszyscy hibernujący w Laboratoriach, musiał dzień i noc słuchać papki muzycznej, jako że stacja była z gatunku tych, które nadają muzykę „lekką, łatwą i przyjemną”.

Teraz nieboszczyków z Laboratorium atakowała smyczkowa wersja melodii ze *Skrzypka na dachu*. Dla Herba Ashera było to szczególnie niesmaczne, gdyż znajdował się w tej części swojego cyklu, kiedy mu się wydawało, że nadal żyje. W jego zamrożonym mózgu rozciągał się ograniczony świat o strukturze archaicznej: Herb Asher uważał, że znajduje się z powrotem na małej planecie w systemie CY 30-CY 30 B, gdzie utrzymywał swoją kopułę w tamtych decydujących latach... decydujących, ponieważ spotkał wtedy Rybys Rommey, reemigrował z nią po formalnym ślubie na Ziemię, był przesłuchiwany przez ziemskie władze i, jakby tego było mało, zginął przypadkowo w katastrofie w najmniejszym stopniu przez niego nie zwinionej. Co gorsza, jego żona została zabita w taki sposób, że żaden przeszczep organów nie mógł jej już przywrócić do życia; jej piękna główka, jak powiadomił Herba lekarz robot, dobierając słowa w sposób typowy dla robota, została rozłupana na pół.

Ponieważ jednak Herb Asher wyobrażał sobie, że jest w swojej kopule w układzie gwiazdowym CY 30-CY 30 B, nie był świadom tego, że Rybys nie żyje. Nawet jej jeszcze nie znał. Działo się to przed wizytą dostawcy, który przyniósł mu wiadomość o Rybys.

Herb Asher leżał na koi, słuchając swojej ulubionej taśmy z Lindą Fox i usiłował ustalić źródło natrętnego szumu, cikliwego smyczkowego wykonania piosenek z jakiejś popularnej operetki, musicalu z Broadwayu czy innego cholerstwa z końca dwudziestego wieku. Widocznie jego sprzęt odtwarzający wymagał przeglądu. Może pierwotny sygnał, z którego nagrywał Linde Fox, uciekał. Niech to szlag, pomyślał ponuro. Będę musiał to naprawić. Oznaczało to konieczność wstania z koi, poszukania skrzynki z narzędziami oraz wyłączenia odtwarzacza, krótko mówiąc, konieczność pracy.

Tymczasem słuchał z zamkniętymi oczami Lindy.

*Krynice rzewne, nie płaczcie już więcej!  
Czemu swe wody toczycie tak żywo?  
Patrzcie, już słońce łagodnym dotknięciem  
Zbudziło góry pod śnieżną pokrywą.*

*Niebiańskie oczy tej, co słońcem moim,  
Waszego płaczu nie będą świadkami,  
Bo już zasnęła...\**

---

\*Przełożył Janusz Jeczmyk.

Była to najlepsza piosenka Lindy Fox, z *Trzeciej i ostatniej księgi pieśni na lutnię* Johna Dowlanda, który żył w czasach Szekspira i którego muzykę Fox opracowała na nowo dla współczesnego świata.

Zniecierpliwiony zakłóceniami, wyłączył taśmę programatorem, ale o dziwo, łzawe smyczki brzmiały nadal, choć Fox umilkła. Zrezygnowany, wyłączył cały system audio.

Mimo to *Skrzypek na dachu* w wykonaniu osiemdziesięciu siedmiu smyczków rozlegał się w najlepsze. Ich dźwięk wypełniał jego małą kopułę, zagłuszając nawet rytmiczne sapanie kompresora, i wówczas Herb uświadomił sobie, że słucha tego Skrzypka na dachu przez... dobry Boże... chyba już trzy dni.

To okropne, pomyślał. Oto jestem miliardy mil od Ziemi i słucham w kółko osiemdziesięciu siedmiu smyczków. Coś tu jest nie tak.

Prawdę mówiąc, dużo rzeczy poszło nie tak w ciągu ostatniego roku. Popełnił straszny błąd, emigrując z Układu Słonecznego. Przeoczył, że powrót do Układu staje się automatycznie nielegalny przez pełnych dziesięć lat. W ten sposób podwójne państwo rządzące Układem Słonecznym zapewniało sobie stały odpływ ludności bez powrotnego napływu. Drugim wyjściem była służba w armii, co oznaczało pewną śmierć. Niebo albo Piekło — tak brzmiało hasło z rządowych reklam telewizyjnych.

Człowiek mógł albo emigrować, albo zginąć w jakiejś bezsensownej wojnie. Władze nawet się nie starały jakoś uzasadniać wojen. Po prostu posyłali cię, zabijali i brali następnego. Wszystko wzięło się ze zjednoczenia Partii Komunistycznej i Kościoła katolickiego w jeden megaaparatusz z dwiema głowami państwa, jak w starożytnej Sparcie.

Tutaj przynajmniej władze nie mogły go zamordować. Mógł, rzecz jasna, zostać zamordowany przez któregoś ze szczuropolodopodobnych autochtonów planety, ale prawdopodobieństwo tego było nikłe. Żaden z nielicznych pozostałych rdzennych mieszkańców nie zamordował nikogo z ludzkich kolonistów, którzy przybywali z mikrofalowymi przekaźnikami, psychotronicznymi dopalaczami, sztucznym jedzeniem (w każdym razie z punktu widzenia Herba Ashera smak miało odrażający) i skromnymi wygodami o złożonej naturze, wszystkim, co dziwiło prostych autochtonów, nie budząc ich ciekawości.

Założę się, że statek baza jest teraz dokładnie nade mną, pomyślał Herb Asher, i za pomocą działka psychotronicznego szprycuje mnie *Skrzypkiem na dachu*. Ot tak, dla kawału.

Wstał z koi, niepewnym krokiem podszedł do tablicy rozdzielczej i zbadał ekran radaru numer trzy. Zgodnie z danymi statku bazy nie było nigdzie w pobliżu. Więc to nie to.

Diabelska sprawa, pomyślał. Widział na własne oczy, że jego system audio jest prawidłowo wyłączony, a mimo to dźwięk przenikał pod kopułę i nie rozchodził się z jednego określonego miejsca, ale przejawiał się wszędzie z jednakowym natężeniem.

Siedząc przy tablicy, skontaktował się ze statkiem bazą.

— Czy to wy nadajecie *Skrzypka na dachu*? — spytał operator systemów komunikacyjnych.

Chwila milczenia. Potem:

— Tak, mamy kasetę wideo *Skrzypka na dachu* z Topolem, Normą Crane, Molly Picon, Paulem...

— Nie — przerwał Herb. — Co odbieracie teraz z Fomalhauta? Jakiś kawałek na smyczki?

— A, ty jesteś Stacja Piąta. Ten od Lindy Fox.

— Czy tak mnie nazywają? — spytał Asher.

— Realizujemy zamówienie. Proszę się przygotować do odbioru na wielkiej szybkości dwóch nowych kaset Lindy Fox. Czy jesteś gotów do nagrania?

— Chodzi mi o coś zupełnie innego — wtrącił Asher.

— Zaczynamy transmisję na wielkiej szybkości. Dziękujemy. — Operator statku bazy wyłączył się. Herb Asher słuchał teraz ogromnie przyspieszonego dźwięku: to statek baza wykonywał zamówienie, którego on nie złożył.

Kiedy przekaz ze statku dobiegł końca, Asher powtórnie wywoływał operatora statku.

— Odbieram swatkę. Dziesięć godzin swatki — powiedział. — Niedobrze mi się od tego robi. Czy dostaję sygnał odbity od czyjegoś przekaźnika?

— Moja praca polega na ciągłym odbijaniu sygnałów od czyichś... — zaczął operator.

— Bez odbioru — powiedział Herb Asher i przerwał łączność ze statkiem bazą.

Przez okienko kopuły dostrzegł zgarbioną postać wlokącą się przez lodowate pustkowia. Był to autochton ściskający małe zawiniątko, widocznie posłaniec.

Nacisnąwszy przełącznik zewnętrznego megafonu, Herb Asher powiedział:

— Wejdz tu na chwilę, Ciem. — Tym imieniem ludzcy koloniści nazywali autochtonów, wszystkich, bo wszyscy wyglądali tak samo. — Potrzebna mi jest twoja opinia.

Autochton skrzywił się, leniwie podszedł do włazu kopuły i zadzwonił. Herb Asher uruchomił mechanizm włazu i membrana śluzu opadła. Autochton znikł w środku. W chwili później niezadowolony stał wewnątrz i otrząsając się z kryształków metanu, patrzył spode łba na Ashera.

Sięgnąwszy po elektronicznego tłumacza, Asher przemówił do autochtona.

— To zajmie tylko chwilę. — Jego analogowy głos wydobywał się z komputera w postaci serii cmoknięć i mlasków. — Mam tu zakłócenia radiowe, których nie potrafię wyeliminować. Czy to wasza robota? Posłuchaj.

Autochton nasłuchiwał przez chwilę, jego gruzłowata twarz była wykrzywiona i ciemna. Wreszcie odezwał się, a jego głos po angielsku zabrzmiał niezwykle opryskliwie.

— Nic nie słyszę.

— Kłamiesz — powiedział Herb Asher.

— Nie kłamię — odpowiedział autochton. — Może postradałeś zmysły na skutek odosobnienia.

— Mnie odosobnienie służy. Poza tym nie jestem odosobniony. — Miał przecież do towarzystwa Linde Fox.

— Widziałem już takie rzeczy — powiedział autochton. — Mieszkańcy kopuł, tacy jak ty, nagle wyobrażają sobie głosy i kształty.

Herb Asher wyciągnął mikrofony stereofoniczne, włączył odtwarzacz i obserwował wskaźniki natężenia głosu. Ich wskazówki pozostawały nieruchome. Podkręcił odbiór na cały regulator i wskazówki ani drgnęły. Asher kaszlnął i obie wskazówki natychmiast odchyliły się gwałtownie, a przeciążone diody rozbłysły na czerwono. Magnetofon z jakiegoś powodu po prostu nie odbierał kliwej muzyki smyczkowej. Asher był coraz bardziej zbity z tropu. Autochton, widząc to, uśmiechnął się tylko.

— Opowiedz mi wszystko o Annie Livii! — powiedział wyraźnie Asher do mikrofonów. — Chcę usłyszeć wszystko o Annie Livii! Ależ tak, oczywiście, wszyscy znamy Annę Livię. Opowiedz mi wszystko. Opowiedz mi natychmiast. Skonasz, kiedy usłyszysz. Wiesz, kiedy stary cep zrobił fujot i poszedł tam, gdzie wiesz. Tak, wiem, mów dalej. Zamknij się i przestań gęgać. Zawiań rękawy i puść swoje gadające taśmy. I nie trącaj mnie, kiedy się wypinasz. Czy co tam robisz.

— Co to jest? — spytał autochton, słuchając tłumaczenia na swój język.

— Słynna ziemská książka — odpowiedział śmiejąc się Herb Asher. — Spójrz, spójrz, gęstnieje mrok. Moje wyniosłe gałęzie zapuszczają korzenie. I mój zimny ten cały się ztentegował. Filur? Filu! Które to stulecie? Niewątpliwie jest późno.

— Ten człowiek to wariat — powiedział autochton i zwrócił się do wyjścia.

— To *Finnegans Wake* — powiedział Herb Asher. — Mam nadzieję, że komputer dobrze to przetłumaczył. Nie słyszę, kiedy wody są wyłączone. Świergoczące wody czegoś tam. Pomykające nietoperze, myszy polne bluzgoczą. Ho! Nie poszedłeś do domu? Co Thom Malone? Nie słyszę...

Autochton wyszedł przekonany o szaleństwie Ashera, który wyjrzał za nim przez okienko. Autochton oddalał się obrażony.

Włączywszy ponownie zewnętrzny megafon, Herb Asher wykrzyczał za oddalającą się postacią:

— Myślisz, że James Joyce był wariatem, tak? Dobrze, w takim razie wytłumacz mi, jak to się dzieje, że wspomina o „gadających taśmach”, co oznacza taśmy magnetofonowe, w książce, którą zaczął pisać w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim, a zakończył w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym, zanim pojawiły się magnetofony! To ma być wariat? Ludzie siedzą też u niego przed odbiornikiem telewizyjnym... w książce rozpoczętej w cztery lata po pierwszej wojnie światowej. Ja myślę, że Joyce był...



Autochton znikł za wzgórzem. Asher wyłączył megafon zewnętrzny.

To nieprawdopodobne, że James Joyce mógł wspomnieć w swej prozie o „gadających taśmach”, myślał Asher. Któregoś dnia opublikuję swój artykuł i udowodnię, że *Finnegans Wake* to zasób informacji oparty na systemach pamięci komputerowych, które powstały w sto lat po epoce Jamesa Joyce’a, że Joyce był podłączony do świadomości kosmicznej, z której czerpał inspirację do wszystkich swoich dzieł. Zdobędę wiekopomną sławę.

Jak to było, zastanawiał się, kiedy się na własne uszy słuchało Cathy Berberian czytającej *Ulissesa*? Szkoda, że nie nagrała całej książki. Jakie to szczęście, uświadomił sobie, że mamy Lindę Fox.

Jego magnetofon był wciąż włączony i nadal nagrywał. Herb Asher powiedział na głos:

— Wypowiem stuliterowe słowo-grzmot. — Wskazówki mierzące nasilenie głosu odchyliły się posłusznie. — Zaczynam — powiedział Asher i nabrał powietrza w płuca. — Oto stuliterowe słowo-grzmot z *Finnegans Wake*. Zapomniałem, jak to idzie. — Podszedł do półki i wyciągnął kasetę. — Nie będę recytował z pamięci — powiedział wkładając kasetę i przesuwając ją do pierwszej strony tekstu. — Oto najdłuższe słowo w języku angielskim. Jest to dźwięk, który się rozległ, kiedy w kosmosie nastąpiło pierwotne rozdarcie, kiedy część uszkodzonego kosmosu zapadła się w mrok i zło. Początkowo, jak przypomina Joyce, mieliśmy Rajski Ogród. Joyce...

Jego radio zaskrzeczało. To dostawca żywności uprzedzał go, żeby się przygotował do odbioru przesyłki.

— ...przytomny? — powiedziało radio. Miejmy nadzieję. Kontakt z drugim człowiekiem. Herb Asher wzdrygnął się mimowolnie. O Chryste, pomyślał i zadrżał. Nie, pomyślał.

Błagam, tylko nie to.

## 2

Człowiek wie, że się na niego uwzięli, pomyślał Herb Asher, kiedy się do niego włamują przez sufit. Spożywczy, najważniejszy z kilku dostawców, odkręcił górny wąż kopyły i zląził po drabinie.

— Dostawa racji żywnościowej — obwieścił głośnik jego radia. — Przystąpić do zakręcania włazu.

— Procedura uruchomiona — odpowiedział Asher.

— Nałożyć hełm — odezwał się głośnik.

— Nie ma potrzeby — odparł Asher. Nie sięgnął po hełm, wiedział, że klimatyzator zwiększy prędkość nawiewu powietrza, rekompensując utratę ciśnienia podczas wejścia dostawcy: sam go przerobił.

Rozległ się dzwonek systemu alarmowego kopyły.

— Nałożyć hełm — powiedział gniewnie spożywczy.

Dzwonek alarmu przestał się skarżyć, ciśnienie wróciło do normy. Spożywczy się skrzywił, po czym zdjął hełm i zaczął wyjmować paczki z pojemnika.

— Jesteśmy twardą rasą — powiedział pomagając mu Asher.

— Wszystko tu poprzerał się — powiedział spożywczy, który, jak wszyscy łącznicy, był silnie zbudowany i poruszał się szybko. Obsługa wahadłowców zaopatrzeniowych między statkiem bazą a kopyłami mieszkalnymi na CY 30 II nie była pracą bezpieczną. Spożywczy zdawał sobie z tego sprawę, podobnie jak Asher. Każdy mógł siedzieć pod kopyłą, tylko nieliczni mogli funkcjonować na zewnątrz.

— Czy mogę na chwilę usiąść? — spytał spożywczy, skończywszy pracę.

— Mogę poczęstować tylko filiżanką kaffu — powiedział Asher.

— Może być. Prawdziwej kawy nie piłem, odkąd tu przyleciałem. A to było na długo, zanim ty tu przyleciałeś. — Spożywczy rozsiadł się w kąciku wydzielonym do spożywania posiłków.

Dwaj mężczyźni siedzieli teraz naprzeciwko siebie przy stole i pili kaff. Na zewnątrz kopyły szalał metan, ale tutaj żaden z nich tego nie odczuwał. Spożywczy pocił się, widocznie poziom temperatury u Ashera był dla niego za wysoki.

— Wiesz co, Asher? — powiedział spożywczy. — Ty tylko leżysz na koi ze wszystkimi systemami nastawionymi na auto. Czy nie tak?

— Mam swoje zajęcia.

— Czasami myślę, że wy, w tych kopułach... — spożywczy zmienił temat. — Czy znasz te kobietę z najbliższej kopuły?

— Trochę — powiedział Asher. — Moja aparatura przekazuje raz na trzy, cztery tygodnie dane do jej systemu. Ona je gromadzi, wzmacnia i transmituje. Tak myślę. Albo...

— Ona jest chora — powiedział spożywczy.

— Kiedy ostatni raz z nią rozmawiałem, wyglądała na zdrową — powiedział Asher zaskoczony. — Korzystaliśmy z wideo. Wspominała coś, że ma trudności z odczytywaniem danych z ekranu.

— Ona umiera — powiedział spożywczy i pociągnął łyk kaffu.

To słowo przeraziło Ashera. Poczł dreszcz. Usiłował wyobrazić sobie tę kobietę, ale przeszkadzały mu zagadkowe obrazy przemieszane z ckliwą muzyką. Dziwna mieszanka, pomyślał, strzępy audio i wideo, jak stare ubrania nieboszczyka. Kobieta była niewysoka i ciemna. Jak ona się nazywała? Nie mogę sobie przypomnieć, pomyślał i ścisnął dłońmi głowę, jakby chciał sobie dodać odwagi. Potem wstał, podszedł do głównej konsoli i nacisnął kilka klawiszy. Jej nazwisko ukazało się na ekranie, wywołane z pamięci komputera. Rybys Rommey.

— Na co ona umiera? — spytał. — Co ty, do cholery, gadasz?

— Stwardnienie rozsiane.

— Od tego się nie umiera. Nie w naszych czasach.

— Tutaj tak.

— Jak... cholera. — Usiadł, ręce mu się trzęsły. Niech mnie diabli, pomyślał. — Jak to jest zaawansowane?

— Nie bardzo — powiedział spożywczy. — Co się stało? — Przyjrzał się uważnie Asherowi.

— Nie wiem. Nerwy. Pewnie od kaffu.

— Dwa miesiące temu powiedziała mi, że kiedy jeszcze nie miała dwudziestu lat, cierpiała na... jak to się nazywa? Anewryzm. W lewym oku, co pozbawiło ją centralnego widzenia. Podejrzewano wówczas, że to może być początek stwardnienia rozsianego. A kiedy z nią rozmawiałem dzisiaj, powiedziała, że ma zapalenie nerwu wzrokowego, które...

— Czy oba objawy zostały wprowadzone do MED-a? — spytał Asher.

— Współzależność anewryzmu, potem okresu remisji i teraz podwójnego widzenia, zamglenia... Cały się trzęsiesz.

— Przez chwilę miałem bardzo dziwne, niesamowite wręcz wrażenie — powiedział Asher. — Już mi przeszło. Jakby wszystko to już się kiedyś zdarzyło.

— Powinieneś ją odwiedzić i porozmawiać z nią — powiedział spożywczy. — Tobie też to dobrze zrobi. Wylazłbyś z wyrka.

— Nie urządzaj za mnie mojego życia — odpowiedział Herb Asher. — Z tego powodu wyniosłem się z Układu Słonecznego. Czy mówiłem ci kiedyś, do czego mnie zmuszała co rano moja druga żona? Musiałem jej przynosić śniadanie do łóżka, musiałem...

— Kiedy przyniosłem jej produkty, płakała.

Odwróciwszy się do konsoli, Asher przez chwilę naciskał klawisze, aż na ekranie ukazała się odpowiedź.

— Uleczalność w przypadku stwardnienia rozsianego wynosi od trzydziestu do czterdziestu procent.

— Nie tutaj — cierpliwie wyjaśnił spożywczy. — MED nie może tu do niej dotrzeć. Poradziłem jej, żeby zażądała odesłania na Ziemię. W każdym razie ja bym tak na pewno zrobił. Ale ona nie chce.

— To wariatka — powiedział Asher.

— Masz rację. Jest normalnie walnięta. Jak wszyscy tutaj.

— Już raz to dzisiaj słyszałem.

— Szukasz na to dowodu? Ona jest najlepszym dowodem. Czy ty nie wróciłbyś na Ziemię, gdybyś wiedział, że jesteś bardzo chory?

— Nie wolno nam porzucać naszych kopuł. Zresztą i tak prawo zabrania powrotu. Nie — poprawił się — nie w razie choroby. Ale nasza praca tutaj...

— A tak, prawda, to, co tu monitorujesz, jest strasznie ważne. Na przykład piosenki Lindy Fox. Kto ci to dziś powiedział?

— Ciem — powiedział Asher. — Wszedł tutaj i powiedział mi, że jestem wariat. A teraz ty schodzisz po drabinie i mówisz mi to samo. Jestem diagnozowany przez autochtonów i dostawców. Czy ty słyszysz tę ckliwą muzykę smyczkową, czy nie? Wypełnia całą moją kopułę i robi mi się od niej niedobrze, a nie mogę ustalić jej źródła. W porządku, jestem chory i jestem wariat, ale czy mogę pomóc w czymś tej Rommey? Sam powiedziałaś, że jestem pomyłony i nikt nie ma ze mnie żadnego pożytku.

— Muszę już iść — powiedział spożywczy, odstawiając kubek.

— Dobrze — powiedział Asher. — Przepraszam, wyprowadziłeś mnie z równowagi tą opowieścią o Rommey.

— Odwiedź ją i porozmawiaj z nią. Potrzebny jest jej ktoś, kto z nią porozmawia, a twoja kopuła jest najbliżej. Jestem zdziwiony, że nic ci nie powiedziała.

Nie pytałem jej, pomyślał Herb Asher.

— Wiesz, to jest obowiązek prawny — powiedział spożywczy.

— Co?

— Jeżeli kolonista jest w potrzebie, najbliższy sąsiad...

— A... — kiwnął głową Asher. — Nigdy dotąd coś takiego mi się nie zdarzyło. Tak, tak mówi prawo. Zapomniałem. Czy ona ci powiedziała, żebyś mi przypomniał o tym prawie?

— Nie — powiedział spożywczy.

Po wyjściu dostawcy Herb Asher wyszukał kod kopuły Rybys Rommey, zaczął wprowadzać go do przekaźnika i nagle zawahał się. Zegar ścienny wskazywał osiemnastą trzydzieści. O tej godzinie miał w swoim czterdziestodwugodzinnym cyklu przyjmować przyspieszony przekaz programów rozrywkowych, sygnały dźwiękowe i wideo nadawane z przekaźnikowego satelity z CY 30 III. Po ich zarejestrowaniu miał je przesłuchać na normalnej szybkości i wybrać materiał odpowiedni do transmisji na całą planetę.

Zajrzał do spisu. Szedł dwugodzinny koncert Lindy Fox. Linda Fox, pomyślał, i to jej połączenie staromodnego rocka, współczesnego strenga i muzyki na lutnię Johna Dowlanda. Jezu, pomyślał, jeżeli nie nadam transmisji tego koncertu na żywo, wszyscy koloniści z całej planety zbiegną się tutaj, żeby mnie rozszarpać. Poza wypadkami nadzwyczajnymi, które właściwie się nie zdarzały, to jest to, za co mi płacą: wymiana informacji między planetami, informacji, która utrzymuje więź z Ziemią i sprawia, że pozostajemy ludźmi. Bębny z taśmami muszą się kręcić.

Puścił taśmę na wielką szybkość, nastawił przełącznik na odbiór na częstotliwości satelity, sprawdził kształt fali na wskaźniku optycznym, żeby się upewnić, że nie ma zniekształceń, i wtedy dopiero włączył odbiór na normalnej szybkości.

Z szeregu głośników nad jego głową rozległ się głos Lindy Fox. Zgodnie z tym, co pokazywały wskaźniki, nie było żadnych zniekształceń. Żadnych szumów ani trzasków. Wszystkie kanały były zrównoważone, potwierdzały to wszystkie wskaźniki.

Chwilami mnie samemu zbiera się na płacz, kiedy jej słucham, pomyślał. A propos płaczu.

*Gdy wędruję sam w tym obcym kraju,  
Grają  
Światy, które toczą się nade mną  
W ciemność.  
Grajcie mi, nieważkich duchów roje,  
Niech muzyką waszą łzy ukoję  
Moje.*

A w tle wibrolutnie, które stały się jej znakiem firmowym. Nikt przed nią nie wpadł na pomysł wykorzystania tego szesnastowiecznego instrumentu, na który Dowland pisał tak pięknie i tak dojmująco.

*Skargę wniosę? Czy będę się modlił?  
Czy złorzeczył? Czy o litość prosił?  
W sobie między niebiańską miłością  
Rozdwojony a ziemską rozkoszą?  
Jakie światy tam? Jakież księżyce?  
Czy rozłąka będzie do zniesienia?  
Czy tam serce zazna ukojenia?*

Te przeróbki starych pieśni do wtóru lutni, pomyślał, one nas łączą. Jakaś nowa więź dla rozrzuconych tu i ówdzie ludzi, jakby rozsypanych w pośpiechu, rozsianych po kopałach na grzbietach różnych żałosnych światów, w satelitach i statkach-arkach, dla ofiar przymusowej migracji bez widocznego celu.

Teraz Fox śpiewała jeden z jego ulubionych kawałków:

*Grasz na oślepie, biedny błażnie!  
Za wysnionym gonisz łupem  
Cóż u kresu drogi znajdziesz?*

Zakłócenia. Herb Asher skrzywił się i zaklął. Następna linijka przepadła. Niech to diabli, pomyślał.

Za chwilę Fox powtórzyła refren.

*Grasz na oślepie, biedny błażnie!  
Za wysnionym gonisz łupem  
Cóż u kresu drogi znajdziesz?*

I znów szum. Znał brakujący wiersz. Brzmiał on:

*Mędrca smutek.*

Wściekły dał znać do nadajnika, żeby powtórzyli ostatnie dziesięć sekund transmisji. Posłusznie przewinęli taśmę, odczekali, dali sygnał i powtórzyli czterowiersz. Tym razem usłyszał ostatnią linijkę, mimo dziwnego szumu.

*Gnasz na oślepie, głupi błażnie!  
Za wysnionym gonisz łupem  
Cóż u kresu drogi znajdziesz?  
Własną dupę.*

— Chryste! — jęknął Asher i zatrzymał taśmę. Czy on to rzeczywiście usłyszał? „Własną dupę”?

To Jan psuł mu odbiór. Nie po raz pierwszy.

Gromada miejscowych Clemów wytłumaczyła mu to, kiedy kilka miesięcy temu zakłócenia wystąpiły po raz pierwszy. W dawnych czasach, zanim do układu gwiazdowego CY 30-CY 30 B przybyli ludzie, tutejsi mieszkańcy oddawali cześć bóstwu Jah, zamieszkującemu, jak wyjaśnili autochtoni, wzgórze, na którym zbudowano kopułę Herba Ashera.

Teraz, ku jego niezadowoleniu, Jah co jakiś czas zagłuszał mu sygnały mikrofalowe i psychotroniczne. Kiedy zaś transmisji nie było, Jah rozświetlał jego ekrany słabymi, ale bez wątplenia znaczącymi rozbłyskami informacji. Herb Asher spędził wiele godzin, eksperymentując ze swoją aparaturą i usiłując odizolować się od zakłóceń, ale bez powodzenia. Zagłębiał się w instrukcje, budował ekrany, wszystko na próżno.

Teraz jednak Jah po raz pierwszy zrujnował piosenkę Lindy Fox, co z punktu widzenia Ashera było aktem niedopuszczalnym.

Prawda była taka, że niezależnie od tego, czy to było normalne, czy nie, Asher uzależnił się całkowicie od Fox.

Od dawna prowadził wymaginowane życie, w którym ona była główną postacią. Mieszkał z Lindą Fox na Ziemi, w Kalifornii, w jednym z miasteczek na południu (bez dalszych szczegółów).

Herb Asher pływał na desce i Fox była nim zachwycona. Przypominało to życie z telewizyjnej reklamy piwa. Urządzali z przyjaciółmi pikniki na plaży, dziewczyny chodziły nagie od pasa w górę, a przenośne radio było zawsze nastawione na stację nadającą na okrągło rocka bez żadnych reklam.

Najważniejsza jednak była atmosfera duchowa. Rozebrane dziewczyny na plaży stanowiły przyjemny dodatek, nie istotę sprawy. Całość była wysoce uduchowiona. To zadziwiające, jak uduchowiona i wyszukana może stać się reklama piwa.

I na domiar wszystkiego pieśni Dowlanda. Uroda wszechświata kryła się nie w gwiazdach, lecz w muzyce tworzonej przez ludzkie umysły, ludzkie głosy, ludzkie dłonie. Wibrolutnie zmiksowane przez najlepszych specjalistów na skomplikowanej aparaturze i głos Fox. Wiem, co mnie trzyma przy życiu, pomyślał. Moja praca jest moją przyjemnością: zapisuję to, nadaję i jeszcze mi za to płacą.

— Tu Fox — odezwała się Linda Fox.

Herb Asher przestawił wideo na holo i sformował się sześcian, z którego uśmiechała się do niego Linda Fox. Tymczasem szpule obracały się z szaleńczą prędkością, oddając mu we władanie całe godziny programu.

— Jesteście z Lindą i Linda jest z wami — oświadczyła i przyszpiliła go swoim twardym, jasnym spojrzeniem. Romboidalna twarz, dzika i mądra, dzika i prawdziwa. Oto mówi do was Fox.



— Cześć, Fox — powiedział.  
— Własną dupę — odpowiedziała.

No tak, to wyjaśniało ckliwą muzykę smyczkową, nie kończącego się *Skrzypka na dachu*. To sprawka Jaha. Do kopuły Herba Ashera przenikło prastare lokalne bóstwo mające wyraźnie za złe ziemskim osadnikom ich elektroniczną aktywność. Mam robaki w jedzeniu, myślał Herb Asher, i duchy w aparaturze. Powinienem wynosić się z tej góry. Cóż to zresztą za góra, prawdę mówiąc, pagórek. Jan może ją sobie zabrać. Autochtoni mogą znów zacząć go częstować pieczonym kozim mięsem. Tyle że wszystkie tutejsze kozy padły, a w ślad za nim upadł i rytuał.

Tak czy inaczej, cała transmisja została zrujnowana. Nie musiał jej przesłuchiwać, żeby wiedzieć. Jah ugotował sygnał, zanim ten dotarł do głowicy rejestrującej, zdarzało się to nie po raz pierwszy i zakłócenia zawsze trafiały na taśmę.

W ten sposób mogę to równie dobrze olać, pomyślał, i zadzwonić do tej chorej dziewczyny w sąsiedniej kopule.

Wybrał jej kod bez entuzjazmu.

Zareagowanie na jego sygnał zajęło jej zadziwiająco dużo czasu i kiedy siedział wpatrzony w jej numer wyświetlony na ekranie, zastanawiał się, czy aby nie umarła. A może przyszli i ewakuowali ją przymusowo? Jego mikroekran zapełniały nieostre kolory. Szum wizualny, nic ponadto. I nagle ukazała się.

— Czy cię obudziłem? — spytał. Była taka jakaś spowolniona, otępiała. Może to od środków znieczulających, pomyślał.

— Nie. Robiłam sobie zastrzyk w dupę.

— Co? — spytał zdumiony. Czyżby Jah znów robił go w konia? Ale nie, ona to rzeczywiście powiedziała.

— Chemoterapia — wyjaśniła Rybys. — Nie czuję się najlepiej.

Jaki to jednak dziwny zbieg okoliczności. „Własną dupę” i „robiłam sobie zastrzyk w dupę”. Znalazłem się w jakimś niesamowitym świecie, myślał. Wszystko jest jakieś podejrzane.

— Właśnie nagrałem wspaniały koncert Lindy Fox — powiedział. — Będę go nadał w najbliższych dniach. To ci poprawi nastrój.

Na jej z lekka opuchniętej twarzy nie odmalowała się żadna reakcja.

— Szkoda że jesteśmy uwięzieni w tych kopułach i nie możemy się odwiedzać. Był dziś u mnie spożywczy, przyniósł mi też lekarstwo. Jest skuteczne, ale dostaję po nim torsji.

Niepotrzebnie dzwoniłem, pomyślał Herb Asher.

— Czy mógłbyś mnie jakoś odwiedzić? — spytała Rybys.

— Nie mam przenośnego powietrza. Ani trochę. — Rzecz jasna, kłamał.



— Ja mam — powiedziała Rybys.

— Ale jeżeli jesteś chora... — powiedział ogarnięty paniką.

— Potrafię dojść do twojej kopuły.

— A co z twoją stacją? Co będzie, jeżeli przyjdzie ważny komunikat?

— Mam pager, wezmę go z sobą.

— Dobrze — powiedział po chwili.

— Dla mnie to byłoby bardzo ważne, móc pobyć z kimś przez jakiś czas. Spożywczy siedzi przez pół godziny, ale to wszystko, na co może sobie pozwolić. Wiesz, co mi powiedział? Na CY 30 VI wybuchła epidemia odmiany stwardnienia rozsianego. To pewnie jakiś wirus. Jezu, nie chciałabym mieć tamtego stwardnienia rozsianego. To jest jak ta odmiana z Marianów.

— Czy to jest zaraźliwe? — spytał Herb Asher.

Nie odpowiedziała wprost.

— Moja choroba jest uleczalna. — Wyraźnie chciała go uspokoić. — Jeżeli to epidemia, to nie przyjdę, w porządku. — Kiwnęła głową i wyciągnęła rękę, żeby wyłączyć przekaźnik. — Położę się teraz i pośpię. W moim stanie im więcej snu, tym lepiej. Odezwę się jutro. Do widzenia.

— Przyjdź — powiedział.

— Dziękuję — ucieszyła się Rybys.

— Tylko nie zapomnij pagera. Mam przecucie, że wiele danych telemetrycznych...

— Pieprzę dane telemetryczne! — wyrzuciła Rybys ze złością. — Mam dosyć siedzenia w tej cholerniej kopule! A ty nie boisz się, że zwariujesz od tego siedzenia i patrzenia na obracające się bębny, na te wskaźniki i inne gówna?

— Myślę, że powinnaś wrócić do domu — powiedział. — Do Układu Słonecznego.

— Nie — odpowiedziała już spokojniej. — Mam zamiar przestrzegać dokładnie wskazówek MED-a i pokonać to cholerne SM. Nie wracam na Ziemię. Przyjdę i przygotowuję ci kolację. Jestem dobrą kucharką. Matka była Włoszką, a ojciec Meksykaninem, przygotowuję więc wszystko na ostro, tyle że tutaj nie można dostać przypraw. Na szczęście radzę sobie za pomocą różnych syntetyków. Eksperymentowałam.

— W tym koncercie, który będę nadawał, Fox śpiewa swoją wersję pieśni Dowlanda.

— Chcesz wiedzieć, co ja myślę o tej Fox? — spytała Rybys. — Odgrzewany sentymentalizm, czyli najgorszy rodzaj sentymentalizmu, nawet nie oryginalny. A do tego ona wygląda, jakby miała twarz odwróconą. Ma złe usta.

— Mnie się ona podoba — powiedział sztywno Asher, czując, jak ogarnia go wściekłość. I ja mam ci pomagać? pytał sam siebie. Ryzykować, że złapię od ciebie to, co tam masz, po to, żebyś mogła obrażać Fox?

— Zrobię ci straganowa z kluskami pietruszkowymi — zaproponowała Rybys.

— To zbytęczne — powiedział.

— Więc nie chcesz, żebym przysłała? — spytała po chwili wahania cichym, niepewnym głosem.

— Ja... — zająknął się.

— Bardzo się boję — powiedziała Rybys. — Za piętnaście minut będę wymiotować po zastrzyku neurotoksytu, ale nie chcę być sama. Nie chcę porzucać mojej kopuły i nie chcę być sama. Przykro mi, jeżeli cię uraziłam, ale dla mnie ta cała Fox to bzdet. Bzdetowa osobowość telewizyjna. Opium dla ludu. Nic więcej nie powiem, obiecuję.

— Czy masz... — Skorygował to, co chciał po wiedzieć. — Czy ta kolacja nie będzie dla ciebie zbyt dużym wysiłkiem?

— Jestem silniejsza dziś, niż będę jutro — powiedziała. — Jeszcze długo będę słabła.

— Jak długo?

— Trudno powiedzieć.

Umierasz, pomyślał. On wiedział i ona wiedziała. Nie musieli o tym rozmawiać. Istniała między nimi zmowa milczenia, niepisana umowa. Umierająca dziewczyna chce mi ugotować kolację, myślał. Kolację, na którą ja nie mam ochoty. Muszę jej powiedzieć nie. Muszę trzymać ją z daleka od mojej kopuły. Siła słabych, myślał, ich przerażająca moc. O ileż łatwiej jest stawić czoło silnym!

— Dziękuję — powiedział. — Bardzo chętnie zjem z tobą kolację. Tylko w drodze utrzymuj ze mną ciągły kontakt radiowy, żebym wiedział, że nic ci nie jest. Obiecujesz?

— Jasne. W przeciwnym razie... — uśmiechnęła się — znajdą mnie za sto lat zamrożoną z garnkami, jedzeniem i syntetycznymi przyprawami. Przyznaj się, masz przenośne powietrze.

— Nie, naprawdę nie — skłamał.

I wiedział, że jego kłamstwo jest dla niej oczywiste.

### 3

Jedzenie miało apetyczny zapach i było smaczne, ale w połowie kolacji Rybys Rommey przeprosiła i chwiejnym krokiem opuściła środkową część kopuły, jego kopuły, i udała się do łazienki. Starał się nie słyszeć, nastawił swój system percepcyjny na to, żeby nie słyszeć, a umysł na to, żeby nie wiedzieć. Dziewczyna w łazience chorowała gwałtownie, wydając okrzyki bólu. Asher zacisnął zęby, odsunął talerz, a potem nagle wstał i uruchomił wewnętrzny system audio, wybierając wczesny album Fox.

*Wróćże, śliczności moje!  
Nad twym wiernym sługą  
Grzech się tak znęcać.  
Niech nie czekam długo.*

— Czy masz może trochę mleka? — spytała Rybys, gdy stanęła poblądła w drzwiach łazienki.

W milczeniu podał jej szklankę mleka, czy też tego, co uchodziło za mleko na ich planecie.

— Mam środki przeciwwymiotne — mówiła Rybys, biorąc szklankę — ale zapomniałam je zabrać. Są w mojej kopule.

— Mógłbym ci je przynieść? — zaproponował.

— Wiesz, co mi powiedział MED? — spytała głosem pełnym oburzenia. — Że od tej chemoterapii nie będą mi wypadać włosy, a już wychodzą mi całymi...

— Już dobrze — przerwał jej.

— Co dobrze?

— Przepraszam — powiedział.

— To wszystko cię denerwuje. Kolacja zepsuta, a ty... sama nie wiem. Gdybym pamiętała o tych proszkach, mogłabym się powstrzymać od... — Zamilkła. — Następnym razem wezmę je, obiecuję. To jeden z niewielu albumów Fox, które lubię. Była wtedy naprawdę dobra, nie sądzisz?

— To prawda — powiedział sucho.

— Linda Box.

— Słucham?

— Linda Box. Tak ją z siostrą przeżywałyśmy. — Spróbowała się uśmiechnąć.

— Lepiej wracaj do swojej kopuły — powiedział.

— Hm, cóż... — Drżącą ręką przyglądała włosy. — Czy pójdziesz ze mną? Myślę, że sama nie dam teraz rady. Jestem naprawdę słaba. Jestem naprawdę chora.

Zabierasz mnie ze sobą, myślał. To o to chodzi. To właśnie się dzieje. Nie odejdziesz sama, zabierzesz ze sobą mojego ducha. I ty o tym wiesz. Wiesz o tym dobrze, tak samo jak znasz nazwę lekarstwa, które bierzesz, i nienawidzisz mnie tak samo, jak to lekarstwo, jak nienawidzisz MED-a i swoją chorobę. To jedna wielka nienawiść do wszystkich i wszystkiego pod tymi dwoma słońcami. Ja cię znam. Ja cię rozumiem. Widzę, ku czemu to zmierza. Co więcej, to się już zaczęło.

I nie mam do ciebie pretensji, myślał, ale ja będę się trzymał Fox, bo Fox przetrzyma ciebie. I ja też. Nie uda ci się zniszczyć świetlistego eteru, który ożywia nasze dusze.

Pozostanę przy Fox, a ona weźmie mnie w ramiona i pozostanie przy mnie. Nikt nie potrafi nas rozdzielić. Mam dziesiątki godzin jej nagrań audio i wideo, i te taśmy są nie tylko dla mnie, ale dla wszystkich. Myślisz, że możesz to zniszczyć? myślał. Próbowano już tego. Siła słabych to siła niedoskonała, w końcu zawsze przegrywa. Stąd jej nazwa. Nie bez powodu nazywamy ją siłą słabych.

— Sentymentalizm — powiedziała Rybys.

— Słusznie — potwierdził sardonicznie.

— W dodatku z odzysku.

— I zmieszane metafory.

— W jej tekstach?

— W moich myślach. Kiedy jestem naprawdę zły, płaczą mi się...

— Coś ci powiem — przerwała mu Rybys. — Jedną rzecz. Jeżeli mam przeżyć, nie mogę sobie pozwolić na sentymentalizm. Muszę być bardzo twarda. Przykro mi, jeżeli cię rozłościłam, ale tak to już jest. To moje życie. Pewnego dnia możesz się znaleźć w mojej sytuacji i wtedy zrozumiesz. Zaczekaj do tego czasu i wtedy mnie ocenisz. Jeżeli do tego dojdzie. A tymczasem to, czego słuchasz w swoim radio, to kit.

Dla mnie to musi być kit, rozumiesz? Możesz sobie dać ze mną spokój, możesz mnie odesłać do mojej kopuły, gdzie pewnie jest moje miejsce, ale jeżeli masz mieć ze mną do czynienia...

— W porządku — powiedział. — Rozumiem.

— Dziękuję. Mogę prosić o jeszcze trochę mleka? Wyłącz muzykę i dokończymy kolację, zgoda?

— Czy chcesz dalej próbować... — zaczął zdumiony.

— Wszystkie stworzenia, i gatunki, które przestały próbować, wymarły. — Usiadła chwajnie, przytrzymując się stołu.

— Podziwiam cię.

— Nie, to ja cię podziwiam. Tobie jest trudniej, wiem.

— Śmierć... — zaczął.

— To nie jest śmierć. Wiesz, co to jest? W przeciwieństwie do tego, co płynie z twojego radia? To jest życie. Proszę o mleko, jest mi naprawdę potrzebne.

— Myślę, że nie można zniszczyć eteru, świetlistego, czy nie — powiedział przyniosszy jej mleko.

— Nie — zgodziła się — bo eter nie istnieje.

— Ile masz lat?

— Dwadzieścia siedem.

— Emigrowałaś dobrowolnie?

— Kto to może wiedzieć? Nie potrafię teraz, na obecnym etapie mojego życia, odtworzyć swojego ówczesnego myślenia. Przede wszystkim uważałam, że emigracja ma w sobie jakiś czynnik duchowy. Był to wybór między emigracją a kapłaństwem. Zostałam wychowana w duchu Światopoglądu Naukowego, ale...

— Partia — mruknął Herb Asher, który nadal używał w myślach starej nazwy Partii Komunistycznej.

— Ale na uczelni wciągnęłam się w pracę kościelną i podjęłam decyzję. Wybrałam Boga, a nie świat materialny.

— Jesteś więc katoliczką.

— Tak, Kościół Jezusa Chrystusa. Używasz nazwy obecnie zakazanej, jak zapewne dobrze wiesz.

— Dla mnie to bez znaczenia — powiedział Herb Asher. — Ja nie mam nic wspólnego z Kościołem.

— Może chciałbyś pożyczyć coś C. S. Lewisa.

— Nie, dziękuję.

— To moja choroba — mówiła Rybys — skłoniła mnie do myślenia o... — Zatrzymała się. — Trzeba wszystko rozpatrywać w kategoriach ostatecznych. Sama w sobie moja choroba wydaje się czymś złym, ale służy wyższemu celowi, którego nie widzimy. Albo nie możemy dostrzec teraz.

— Dlatego właśnie nie czytam C. S. Lewisa — powiedział Herb Asher.

Spojrzała na niego bez cienia emocji.

— Czy to prawda, że Clemowie oddawali cześć jakiemuś pogańskiemu bóstwu na tym pagórku? — spytała.

— Tak mówią. Nazywało się Jah.

— Alleluja — powiedziała Rybys.

Spojrzał na nią zdziwiony.

— To znaczy „Chwalcie Jaha”. Po hebrajsku „Halleluyah”.

— Czyli Jahwe.

— Tego imienia nie wolno wymawiać. To święty tetragram. Elohim, co jest liczbą pojedynczą, a nie mnogą, znaczy Bóg, a dalej w Biblii Święte Imię występuje w połączeniu z Adonai, otrzymujemy więc Pan Bóg. Możesz wybrać między Elohim albo Adonai, albo użyć obu określeń, ale nie wolno ci wymówić imienia Jahwe.

— Właśnie je wymówiłaś.

Rybys uśmiechnęła się.

— Nikt nie jest doskonały. Zabij mnie.

— I ty wierzysz w to wszystko.

— Stwierdzam tylko pewien fakt. — Zrobiła nieokreślony gest. — Fakt historyczny.

— Ale czy w to wierzysz? Czy wierzysz w Boga?

— Tak.

— Czy Bóg chciał, żebyś zachorowała na SM?

— Pozwolił na to — powiedziała Rybys po chwili wahania. — Ale wierzę, że mnie uleczy. Jest coś, co powinnam wiedzieć i w ten sposób się dowiem.

— Czy nie mógł cię nauczyć w jakiś mniej dotkliwy sposób?

— Widocznie nie.

— Jah komunikował się ze mną — powiedział Herb Asher.

— Nie, nie, to pomyłka. Początkowo Hebrajczycy wierzyli, że pogańscy bogowie istnieją, ale są źli. Później zrozumieli, że pogańscy bogowie nie istnieją.

— Chodzi o nadchodzące do mnie sygnały i moje taśmy.

— Mówisz poważnie.

— Jak najbardziej.

— Jest tu więc jakaś forma życia poza Clemami?

— Tak, tu, gdzie stoi moja kopuła. Powoduje zakłócenia radiowe, ale jest rozumne.

Działa wybiórczo.

— Puść mi jedną z tych taśm.

— Proszę bardzo. — Herb Asher podszedł do końcówki komputera i wcisnął kilka klawiszy. W chwilę później miał kasetę, o którą mu chodziło.

*Gnasz na oślepa, biedny błaznie!*

*Za wysnionym gonisz łupem.*

*Cóż u kresu drogi znajdziesz?*

*Własną dupę.*

Rybys roześmiała się.

— Przepraszam — powiedziała przez śmiech. — I to Jah ci to zrobił? Nie jakiś dowcipniś na statku albo z bazy na Fomalhaucie? To przecież brzmi dokładnie jak głos Fox. Chodzi mi o ton, nie o słowa. O intonację. Ktoś robi ci kawały, Herb. To nie jest bóstwo. Może to Clemowie.

— Jeden był tu u mnie — powiedział Asher kwaśno. — Uważam, że trzeba ich było zagazować, kiedy się tu osiedlaliśmy. Zawsze myślałem, że Boga spotyka się dopiero po śmierci.

— Bóg jest bogiem historii i narodów. Także przyrody. Początkowo Jahwe był prawdopodobnie bóstwem wulkanicznym, ale potem okresowo wkracza w historię. Najlepszym przykładem jego interwencji jest wyprowadzenie hebrajskich niewolników z Egiptu do Ziemi Obiecanej. Byli przywykłymi do swobody pasterzami i praca przy produkcji cegieł stanowiła dla nich torturę. Faraon kazał im też zbierać słomę, a oprócz tego musieli dostarczyć dzienną porcję cegieł. To ponadczasowa archetypowa sytuacja: Bóg wyprowadza ludzi z niewoli na wolność. Faraon reprezentuje tu wszystkich tyranów. — Mówiła spokojnie i przekonująco, Asher był autentycznie przejęty.

— Można więc spotkać Boga za życia — powiedział.

— W pewnych szczególnych sytuacjach. Mojżesz rozmawiał z Bogiem, tak jak się rozmawia z przyjacielem.

— I co się popsulo?

— W jakim sensie?

— Nikt już nie słyszy głosu Boga.

— Ty słyszysz — powiedziała Rybys.

— Nie ja, tylko moje systemy audio i wideo.

— Lepsze to niż nic. — Spojrzała na niego. — Nie wyglądasz na zadowolonego.

— To mi komplikuje życie.

— Podobnie jak ja — powiedziała.

Nie znalazł żadnej odpowiedzi, to była prawda.

— Co zazwyczaj robisz po całych dniach? — spytała Rybys. — Leżysz na koi, słuchając Fox? Tak mi powiedział spożywczy, czy to prawda? Nie wydaje mi się to zbyt pasjonujące.

Poczuł przypływ gniewu, gniewu i znużenia. Miał dość tłumaczenia się ze swojego stylu życia i nie odezwał się.

— Myślę, że w pierwszej kolejności pożyczę ci *Problem cierpienia* — powiedziała Rybys. — W tej książce Lewis...

— Czytałem *Z milczącej planety*.

— Podobało ci się?

— W porządku.

— Powinieneś też przeczytać *Listy starego diabła do młodego*. Mam dwa egzemplarze.



Czy nie mogę po prostu patrzeć, jak powoli umierasz, i z tego uczyć się o Bogu, myślał Asher.

— Posłuchaj — powiedział. — Ja należę do Światopoglądu Naukowego. Do partii. Rozumiesz? Taka jest moja decyzja, strona, którą wybrałem. Chorób i cierpienia nie trzeba rozumieć, trzeba je zlikwidować. Nie ma życia po śmierci i nie ma Boga, z wyjątkiem może zwariowanego zakłócenia jonosferycznego, które pieprzy mi odbiór na tej zasranej górze. Jeżeli po śmierci stwierdzę, że nie miałem racji, powołam się na ignorancję i trudne dzieciństwo. Tymczasem bardziej niż pogawędki z tym Jahem interesuje mnie ekranizacja przewodów i usunięcie zakłóceń. Nie mam kóz na ofiarę, a poza tym, mam co innego do roboty. Nie podoba mi się, że moje nagrania Fox są niszczone, dla mnie są one cenne, a niektórych nie da się odzyskać. Zresztą żaden Bóg nie podrzuciłby takich słów, jak „własna dupa”, do pięknej skądinąd piosenki. Żaden Bóg, którego jestem sobie w stanie wyobrazić.

— Próbuje zwrócić twoją uwagę.

— Lepiej by po prostu powiedział: „Hej, pogadajmy”.

— Widocznie to jakaś ulotna forma życia, nie izomorficzna względem nas. Nie myśli, tak jak my.

— To pasożyt.

— Możliwe, że ujawnia swoją obecność, żeby cię chronić — powiedziała Rybys w zadumie.

— Chronić przed czym?

— Przed sobą. — Nagle wstrząsnął nią gwałtowny dreszcz bólu. — Niech to diabli. Włosy mi naprawdę wychodzą. — Wstała. — Muszę wracać do swojej kopuły i włożyć tę perukę, którą mi dali. To okropne. Odprowadzisz mnie? Proszę!

Nie rozumiem, jak ktoś, komu wychodzą włosy, może wierzyć w Boga, pomyślał.

— Nie mogę — powiedział. — Przykro mi, ale nie mogę wyjść. Nie mam przenośnego powietrza i muszę obsługiwać swoją aparaturę. Naprawdę.

Patrząc na niego z nieszczęśliwą miną, Rybys skinęła głową. Widać było, że mu wierzy. Czuł się nieco winny, ale przeważało uczucie wielkiej ulgi, że Rybys wreszcie wychodzi. Nie będzie musiał myśleć o jej kłopotach, przynajmniej przez jakiś czas. A przy odrobinie szczęścia ta ulga mogła być trwała. Gdyby był w ogóle zdolny do modlitwy, błagałby, żeby Rybys już nigdy nie przekroczyła progu jego kopuły. Do końca życia.

Ogarnęło go przyjemne uczucie lekkości, kiedy patrzył, jak Rybys wkłada skafander i zastanawiał się, które ze swojego zapasu kaset Fox puści, skoro tylko Rybys ze swoimi okrutnymi wypadami słownymi odejdzie, a on znów będzie wolny, będzie mógł być sobą, koneserem nieśmiertelnego piękna. Urody i doskonałości, ku której zmierzała wszystkie rzeczy: Linda Fox.



Tej nocy, kiedy spał, usłyszał cichy głos mówiący „Herbercie, Herbercie”.

Otworzył oczy.

— To nie mój dyżur — powiedział sądząc, że to statek baza. — Czynna jest kopuła numer dziewięć. Daj mi spać.

— Spójrz — odezwał się głos.

Spojrzał i zobaczył, że konsola, która sterowała całą jego aparaturą łączności, stała w ogniu.

— Jezu Chryste! — zawołał i sięgnął do przełącznika na ścianie, który uruchamiał awaryjną gaśnicę. I wtedy coś go zastanowiło. Coś zadziwiającego. Konsola płonęła, ale nie ulegała zniszczeniu.

Ogień oślepił go i parzył. Zamknął oczy i osłonił ręką twarz.

— Kto to? — spytał.

— Jah — powiedział głos.

— No tak — jęknął zdumiony Herb Asher. Bóg wzgórza komunikował się z nim otwarcie, bez pośrednictwa elektroniki.

Herb Asher doznał dziwnego uczucia własnej nicości i nadal zasłaniał twarz. — Czego chcesz? — spytał. — Przecież jest późno. To jest moja pora snu.

— Obudź się — powiedział Jah.

— Miałem ciężki dzień. — Asher był przestraszony.

— Rozkazuję ci zająć się tą chorą kobietą — mówił Jah. — Jest zupełnie sama. Jeżeli nie pośpieszysz jej z pomocą, spalę twoją kopułę z całą aparaturą, a także cały twój dobytek. Będę cię przypiekał, aż się zbudzisz. Nie obudziłeś się jeszcze, ale ja sprawię, że się obudzisz, wstaniesz ze swej koi i pójdziesz jej pomóc. Później powiem jej i tobie dlaczego, ale do tego czasu nie macie wiedzieć.

— Myślę, że zwracasz się do niewłaściwej osoby — powiedział Asher. — Powinieneś chyba porozmawiać z MED-em, to ich odpowiedzialność.

W tym momencie do jego nozdrzy dotarł kwaśny swąd i z przerażeniem zobaczył, że jego konsola spłonęła do szczytu, zmieniając się w kupkę popiołu.

O cholera, pomyślał.

— A jeżeli jeszcze raz skłamiesz jej na temat przenośnego powietrza — mówił Jah — to uszkodzę cię okrutnie i będziesz nadawał się do naprawy, podobnie jak ten sprzęt. A teraz zniszczę twoje kasety z Lindą Fox. — W jednej chwili szafka, w której Herb Asher trzymał kasety audio i wideo, zaczęła płonąć.

— Błagam! — zawołał.

Płomienie zniknęły. Kasety stały nie uszkodzone. Herb Asher wstał z koi i podszedł do szafki. Dotknął jej i pośpiesznie cofnął rękę; szafka była piekielnie gorąca.

— Dotknij jej jeszcze raz — rozkazał Jah.

— Za nic — powiedział Asher.

— Masz wierzyć swojemu Panu i Bogu.

Asher wyciągnął rękę i stwierdził, że tym razem szafka jest chłodna. Przesunął palcami po plastikowych pudełkach kaset. One też były chłodne.

— Niech to licho — powiedział zdumiony.

— Puść jedną z kaset — rozkazał Jah.

— Którą?

— Wszystko jedno.

Asher wybrał na chybił trafił kasetę, umieścił ją w odtwarzaczu i włączył głośniki.

— Zlikwidowałeś moje kasety z Fox — powiedział.

— Uczyniłem to — stwierdził Jah.

— Na zawsze?

— Dopóki nie pośpieszysz na pomoc tej chorej kobiecie i nie zajmiesz się nią.

— Teraz? Pewnie śpi.

— Siedzi i płacze — powiedział Jah.

Poczucie własnej małości nasiliło się w nim i Herb Asher ze wstydu zamknął oczy.

— Przykro mi — powiedział.

— Jeszcze nie jest za późno. Jeżeli się pośpieszysz, możesz zdążyć na czas.

— Jak to „na czas”?

Jah milczał, ale w umyśle Herba Ashera pojawił się obraz przypominający hologram; był kolorowy i trójwymiarowy. Rybys Rommey siedziała przy stole kuchennym w niebieskim szlafroku, na stole stała buteleczka z lekarstwem i szklaneczka wody. Rybys stanowiła obraz rozpacz, z brodą opartą na pięści, w której zaciskała chusteczkę.

— Włożę skafander — powiedział Asher i otworzył drzwi szafki. Jego zakurzony, dawno nie używany skafander wypadł na podłogę.

W dziesięć minut później stał przed kopułą w niezgrabnym skafandrze, omiatając latarką krąg zamrożonego metanu pod sobą. Drżał z zimna, które odczuwał nawet przez skafander, co, jak sobie uświadomił, było złudzeniem, gdyż kombinezon zapewniał absolutną izolację. Co za przeżycie, myślał, rozpoczynając marsz w dół po zboczach. Wyrrywają mnie ze snu w środku nocy, moja aparatura spalona, moje taśmy skasowane, większość całkowicie zniszczona.

Kryształki metanu skrzypiały mu pod butami, kiedy schodził ze wzgórza, kierując się na automatyczny sygnał nadawany z kopuły Rybys Rommey, sygnał go poprowadzi. Te obrazy w mojej głowie, myślał. Obraz kobiety, która chce sobie odebrać życie. Dobrze, że Jah mnie obudził. Pewnie by to zrobiła.

Był nadal przestraszony i idąc śpiewał sobie stary marsz bojowy Partii Komunistycznej.

*Ten, co o wolność bił się,  
Kraj musiał rzucić swój,  
Więc tutaj, pod Madrytem,  
Raz jeszcze poszedł w bój.  
Hans Beimler, nasz komisarz,  
W ostatni poszedł bój.*

*Przysięgnij, companiero,  
Na sercu kładąc dłoń,  
Że pomścisz bohatera,  
I zarepetuj broń.  
Hans Beimler, nasz komisarz,  
W ostatni poszedł bój.*

## 4

Kiedy Herb Asher zszedł ze wzgórza, pager w jego ręku wskazał nasilenie sygnału kierunkowego. Ona musiała wejść na wzgórze, żeby dostać się do mojej kopuły, uświadomił sobie Asher. Zmusiłem ją do wspinania się pod górę, bo nie chciało mi się iść do niej. Kazałem chorej kobiecie wdrapywać się tędy z kupą pakunków. Będę się smażyć w piekle.

Ale, uświadomił sobie, nie jest jeszcze za późno.

Jah zmusił mnie, żebym ją potraktował poważnie, pomyślał Asher. Ja po prostu nie brałem jej poważnie. Było to tak, jakbym sobie wyobraził, że ona zmyśla tę swoją chorobę. Opowiada bajdy, żeby zwrócić na siebie uwagę. Co to mówi do mnie? zapytywał siebie. Bo przecież w gruncie rzeczy wiedziałem, że ona jest chora, chora naprawdę, bez żadnego udawania. Spałem sobie, a tymczasem kobieta umierała, myślał.

A potem przypomniał sobie o Jahu i zadrżał. Mogę odbudować swoją aparaturę, to, co Jah spalił. To nie będzie trudne, wystarczy zawiadomić statek bazę, że miałem wypadek. A Jah obiecał mi odtworzyć taśmy z Fox, niewątpliwie potrafi to zrobić. Rzecz w tym, że mam wrócić do tej kopuły i mieszkać w niej. Jak mam teraz tam mieszkać? To niemożliwe.

Jah ma wobec mnie plany, pomyślał. Uświadomiwszy to sobie, poczuł strach. On może mnie zmusić do wszystkiego.

Rybys przywitała go obojętnie. Rzeczywiście, była w niebieskim szlafroku, trzymała w dłoni zmiętą chusteczkę i miała oczy zaczerwienione od płaczu.

— Wejdz — powiedziała, choć Asher był już w środku. Robiła wrażenie nie całkiem przytomnej. — Myślałam o tobie. Siedziałam i myślałam.

Na stole kuchennym stała buteleczka z proszkami. Pełna.

— A, to — powiedziała. — Miałam kłopoty z zaśnięciem i pomyślałam, żeby wziąć coś na sen.

— Schowaj to.

Posłusznie odstawiła buteleczkę do szafki w łazience.

— Jestem ci winien przeprosiny — powiedział Asher.

— Wcale nie. Chcesz się czegoś napić? Która jest godzina? — Spojrzała na ścienny zegar. — I tak nie spałam, nie obudziłeś mnie. Nadchodziły jakieś dane telemetryczne. — Wskazała na swoją aparaturę, błyskały lampki świadczące, że coś się tam dzieje.

— Chodzi o to, że miałem powietrze. Przenośne powietrze — powiedział.

— Wiem. Każdy ma przenośne powietrze. Siadaj, zrobię ci herbaty. — Zaczęła grzebać w przepełnionej szufladzie koło kuchenki. — Miałam tu gdzieś torebki.

Teraz po raz pierwszy dotarło do niego, w jakim stanie znajduje się jej kopała i był to wstrząs. Brudne talerze i garnki, nawet słoiki z zepsutym jedzeniem, wszędzie porzucana brudna bielizna, śmiecie i resztki... Rozglądał się poruszony do głębi i zastanawiał się, czy powinien zaproponować pomoc w sprzątanii. Rybys poruszała się tak wolno, z widocznym znużeniem. Zrozumiał nagle, że była znacznie bardziej chora, niż się do tego początkowo przyznała.

— Mam tu chlew — powiedziała.

— Jesteś bardzo osłabiona.

— Wykańczają mnie te codzienne wymioty. O, mam torebkę. Cholera, ta jest używana. Zaparzam je, a potem suszę. To można zrobić raz, ale zdarza się, że używam tej samej torebki wielokrotnie. Znajdę świeżą — mówiła kontynuując poszukiwania.

Na ekranie telewizora widać było jakiś animowany horror: ogromny hemoroid, który nabrzmiwał i gniewnie pulsował.

— Co ty oglądasz? — spytał Asher, odwracając wzrok od ekranu.

— To jakiś nowy serial. Idzie od dwóch dni. Chwałą... zapomniałam. Kogoś lub czegoś. To naprawdę interesujące. Często to pokazują.

— Lubisz seriale? — spytał.

— Dotrzymują mi towarzystwa. Podkręć głos.

Asher wzmocnił dźwięk. Serial wrócił na ekran, zastępując animowany hemoroid. Stary, brodaty mężczyzna, wyjątkowo bujnie owłosiony starzec, walczył z dwoma wyłupiastookimi, pająkopodobnymi istotami, które wyraźnie chciały mu urwać głowę. „Zabierzcie ode mnie swoje pieprzone szczękorożki!” krzyczał szamocząc się starzec. Ekran rozświetliły błyski lasera. Asherowi przypomniało się spalenie jego aparatury telekomunikacyjnej przez Jaha i poczuł, że serce wali mu jak młotem.

— Jeżeli nie chcesz tego oglądać... — zawiesiła głos Rybys.

— Nie o to chodzi. — Opowiedzenie jej o Jahu byłoby trudne, wątpił, czy potrafi to zrobić. — Coś mi się przytrafiło. Coś, co mnie obudziło. — Przetarł oczy.

— Wprowadzę cię w akcję. Elias Tate...

— Kto to jest Elias Tate? — przerwał jej Asher.

— Ten stary brodac. Przypomniałam sobie teraz tytuł serialu. *Chwała Eliasa Tate'a*. Elias wpadł w ręce... chociaż oni właściwie nie mają rąk... mrówkoludzi z planety Synchron Dwa. Jest tam królowa, która jest naprawdę zła, imrenrem... zapomnia-

łam. — Zastanowiła się. — Hudwillub, zdaje się. Tak, na pewno. W każdym razie ta Hudwillub chce zgładzić Eliasa Tate'a. Ona jest naprawdę okropna, sam zobaczysz. Ma jedno oko.

— To straszne — powiedział Asher obojętnie. — Rybys, posłuchaj.

Rybys, nie zwracając uwagi, ciągnęła dalej.

— Jednak Elias ma przyjaciela imieniem Elisha McYane. Są naprawdę dobrymi przyjaciółmi i zawsze pomagają sobie w trudnych sytuacjach. Trochę taktu — spojrzała na Ashera — jak ty i ja. Wiesz, chodzi o wzajemną pomoc. Ja ci przygotowałam kolację, a ty przyszedłeś tutaj, bo się o mnie martwiłeś.

— Przyszedłem tutaj, bo mi kazano.

— Ale martwiłeś się.

— Tak.

— Elisha McVane jest dużo młodszy od Eliasa. Jest naprawdę przystojny. W każdym razie Hudwillub chce...

— To Jah mnie przysłał — przerwał jej Asher. Serce nadal mu waliło.

— Naprawdę? To interesujące. Ta Hudwillub jest bardzo piękna. Spodoba ci się. To znaczy, spodoba ci się fizycznie. Ujmijmy to w ten sposób: obiektywnie jest bardzo pociągająca, ale duchowo jest zagubiona. Elias Tate pełni rolę jakby jej zewnętrznego sumienia. Z czym pijesz herbatę?

— Czy słyszałaś... — zaczął i zrezygnował.

— Mleko? — Rybys sprawdziła zawartość lodówki, wyjęła karton mleka, nalała trochę do szklanki, spróbowała i skrzywiła się. — Skwaśniało. Niech to diabli. — Wylała mleko do zlewu.

— To, co ci mówię, jest ważne — powiedział Asher. — Bóg z mojego wzgórza obudził mnie w środku nocy, żeby mi oznajmić, że jesteś w potrzebie. Spalił mi połowę sprzętu. Skasował wszystkie moje taśmy z Fox.

— Możesz dostać nowe ze statku bazy.

Asher przyjrzał się jej.

— Co mi się tak przyglądasz? — Rybys pośpiesznie sprawdziła zapięcie szlafroka. — Nie jestem chyba rozmamłana.

Tylko umysłowo, pomyślał Asher.

— Cukier? — spytała.

— No, dobrze — powiedział. — Powinienem zawiadomić dowódcę statku bazy. To poważna sprawa.

— Zrób to — powiedziała Rybys. — Skontaktuj się z dowódcą i poinformuj go, że rozmawiałeś z Bogiem.

— Czy mogę skorzystać z twojego radia? Zamelduję jednocześnie o pożarze mojego sprzętu. To jest mój dowód.

— Wcale nie.

— Jak to nie? — spojrział na nią zdumiony.

— To rozumowanie indukcyjne, które jest zawsze podejrzane. Nie można prowadzić wywodu od skutków do przyczyn.

— O czym ty, do diabła, mówisz?

— Twój pożar nie jest dowodem na istnienie Boga — wyjaśniła Rybys spokojnie.

— Zaraz ci to zapiszę symbolami logicznymi. Jak znajdę długopis. Rozejrzyj się, jest czerwony. Długopis, nie tusz. Kiedyś...

— Zaczekaj chwilę. Jedną cholerną minutę. Daj mi pomyśleć, dobrze? Zrobisz to dla mnie? — Stwierdził, że podniósł głos.

— Ktoś jest na zewnątrz — przerwała mu Rybys, wskazując gwałtownie mrugający wskaźnik. — Pewnie jakiś Ciem grzebie w moich śmieciach. Wystawiam śmieci na dwór, bo...

— Wpuść Cierna do środka — powiedział Asher. — Opowiem jemu.

— O Jahu? W porządku, wtedy zaczną składać na twoim wzgórzu ofiary, i będą dzień i noc przychodzić do niego na konsultacje, nie będziesz miał chwili spokoju. Skończ się leżenie na koi i słuchanie Lindy Fox. Herbata gotowa. — Napełniła dwa kubki wrzątkiem.

Asher wybrał kod statku bazy i w chwilę później miał połączenie z operatorem.

— Chcę zameldować kontakt z Bogiem — powiedział. — Wiadomość do rąk własnych komendanta. Godzinę temu przemówił do mnie Bóg. Autochtoniczne bóstwo imieniem Jah.

— Chwileczkę. — Po krótkiej przerwie operator odezwał się ponownie. — Czy to miłośnik Lindy Fox? Stacja numer pięć?

— Zgadza się — potwierdził Asher.

— Mamy kasetę *Skrzypka na dachu*, którą zamawiałeś. Próbowaliśmy przekazać ci ją do kopuły, ale twoja aparatura odbiorcza coś szwankuje. Zawiadomiliśmy brygadę remontową, wkrótce tam będą. Kasetą jest w premiowej obsadzie z Topolem, Normą Crane, Molly Picon...

— Chwilę — powiedział Asher, gdyż Rybys położyła mu rękę na ramieniu, żeby zwrócić jego uwagę.

— Na dworze jest człowiek, widziałam go. Zrób coś.

— Zgłoszę się później — powiedział Asher do operatora na statku i przerwał połączenie.

Rybys włączyła oświetlenie zewnętrzne. Przez okno kopuły Asher ujrzał dziwny widok: istotę ludzką, ale bez regulaminowego skafandra. Zamiast tego mężczyzna miał na sobie coś, co wyglądało jak płaszcz, bardzo gruby płaszcz, i skórzany fartuch. Jego buty kojarzyły się z czymś wiejskim, wielokrotnie naprawianym. Nawet jego hełm wydawał się jakiś starodawny. Cóż to jest, do diabła, myślał Asher.



— Dzięki Bogu, że tu jesteś — mówiła Rybys. Z szafki przy posłaniu wyciągnęła strzelbę. — Zastrzelę go. Powiedz mu, żeby wszedł. Skorzystaj z megafonu. Odsuń się i uważaj.

Mam do czynienia z wariatami, pomyślał Asher.

— Po prostu go nie wpuszczajmy — powiedział.

— Gównu! Zaczeka, aż sobie pójdiesz. Powiedz mu, żeby wszedł. Zgwałci mnie i zamorduje, ciebie też zamorduje, jak go nie załatwimy pierwsi. Czy wiesz, kto to jest? Ja go poznaję, znam ten szary płaszcz. To Dziki Żebrak. Wiesz, kto to jest Dziki Żebrak.

— Wiem, kto to jest Dziki Żebrak — powiedział Asher.

— To zbrodniarze!

— To są odszczepieńcy. Bezdomni włóczędzy.

— Zbrodniarze. — Odciągnęła kurek.

Nie wiedział, czy śmiać się, czy bać. Rybys stała czerwona z gniewu w niebieskim szlafroku i pantoflach z puszkiem, w papilotach, z twarzą nabrzmiąłą i wściekłą.

— Nie chcę, żeby się kręcił koło mojej kopuły. To moja kopuła! Jeżeli ty nic nie zrobisz, wywołam statek, żeby przysłali partol policji.

Asher włączył zewnętrzny megafon.

— Hej, ty tam — odezwał się.

Dziki Żebrak spojrział, zamrugał, osłonił oczy, a potem pomachał przez szybę. Pomarszczony, ogorzały, włochaty starzec uśmiechał się szeroko do Ashera.

— Kto ty jesteś? — spytał go przez megafon.

Wargi mężczyzny poruszyły się, ale rzecz jasna, Asher nic nie usłyszał. Domofon Rybys albo był wyłączony, albo się zepsuł. Asher zwrócił się do Rybys.

— Bądź tak dobra i nie zabijaj go. Wpuszczę go do środka. Zdaje się, że wiem, kto to jest.

Rybys powoli i ostrożnie rozładowała strzelbę.

— Wejź! — powiedział Asher przez megafon, uruchamiając mechanizm włazu. Wewnętrzna przesłona zamknęła słuzę i Dziki Żebrak energicznym krokiem wszedł do jej wnętrza.

— Kto to? — spytała Rybys.

— To Elias Tate — odpowiedział Asher.

— Wobec tego to nie był serial. — Rybys spojrzała na ekran telewizora. — Odbierałam przekaz psychotroniczny. Widocznie podłączyłam niewłaściwy przewód. Cholera. Zresztą, co tam. Zdawało mi się, że nadają to bardzo często.

Otrząsając się z kryształków metanu, stanął przed nimi Elias Tate, dziki, włochaty i zadowolony, że znalazł się w ciepłym pomieszczeniu. Natychmiast zaczął zdejmować hełm i gruby płaszcz.

— Jak się czujesz? — spytał Rybys. — Lepiej? Czy ten osioł zajmował się tobą jak należy? Bo jak nie, to skopię mu tyłek.



Powietrze wokół niego wirowało, jakby był okiem cyklonu.

Emmanuel zwrócił się do dziewczynki w białym fartuszku.

— Jestem tu nowy. Nie rozumiem, gdzie jestem.

Bambus szeleścił. Dzieci się bawiły. Dyrektor Plaudet stał z Eliasem Tate'em obserwując chłopca i dziewczynkę.

— Znasz mnie? — spytała dziewczynka Emmanuela.

— Nie — odpowiedział. Nie znał jej. A jednak wydawała się znajoma. Miała małą, bladą twarzyczkę i długie, ciemne włosy. Te oczy, pomyślał Emmanuel. Stare oczy. Oczy mądrości.

— Urodziłam się, kiedy jeszcze nie było oceanów — powiedziała cicho dziewczynka. Odczekała chwilę, wpatrując się w niego, czekając na coś, może na jakąś odpowiedź, nie wiedział. — Zostałam stworzona dawno, dawno temu — mówiła. — Na początku, nim Ziemia powstała.

— Powiedz mu, jak się nazywasz — napominał ją dyrektor Plaudet. — Przedstaw się.

— Jestem Zina — powiedziała dziewczynka.

— Emmanuelu — zwrócił się do chłopca dyrektor Plaudet — to jest Zina Pallas.

— Nie znam jej — stwierdził Emmanuel.

— Wy dwoje idźcie się pobawić na huśtawce — powiedział dyrektor Plaudet — a my porozmawiamy. Jazda, idźcie.

Elias podszedł do chłopca, schylił się i spytał:

— Co ona ci przed chwilą powiedziała? Ta mała dziewczynka, Zina, co ona ci powiedziała? — Wyglądał, jakby był zły, ale Emmanuel przywykł do częstych wybuchów gniewu starego człowieka. — Nie dosłyszałem.

— Robisz się głuchy — zauważył Emmanuel.

— Nie, to ona mówiła szeptem.

— Nie powiedziałam nic, co nie zostało powiedziane dawno temu — odezwała się Zina.

Elias zaskoczony przeniósł wzrok z Emmanuela na dziewczynkę.

— Jakiej jesteś narodowości? — spytał.

— Chodźmy — powiedziała Zina i wzięła Emmanuela za rękę. Odeszli w milczeniu.

— Czy to przyjemna szkoła? — spytał Emmanuel po chwili.

— Jest w porządku. Komputery są przestarzałe. I władze wszystko obserwują. Te komputery należą do rządu, musisz o tym pamiętać. Ile lat ma ten twój Tate?

— Jest bardzo stary — powiedział Emmanuel. — Myślę, że ma jakieś cztery tysiące lat. On odchodzi i wraca.

— Ty mnie już spotkałeś — powiedziała Zina.

— Nie, to niemożliwe.

— Masz zanik pamięci.

— To prawda — przyznał, zdziwiony, że ona wie. — Elias mówi, że pamięć mi wróci.

— Twoja matka nie żyje? Kiwnął głową.

— Czy ją widzisz? — spytała Zina.

— Czasem.

— Podłącz się do pamięci ojca. Wtedy będziesz mógł się z nią spotykać w czasie przeszłym.

— Może.

— On ma to wszystko zmagazynowane.

— Boję się — powiedział Emmanuel. — Z powodu katastrofy. Myślę, że zrobili to specjalnie.

— Oczywiście, że tak, ale chodziło im o ciebie, nawet jeżeli tego nie wiedzieli.

— Mogą mnie zabić teraz.

— Nie ma sposobu, żeby cię znaleźli.

— Skąd wiesz?

— Bo ja jestem ta, która wie. Będę wiedziała za ciebie, dopóki nie odzyskasz pamięci i nawet wtedy zostanę przy tobie. Zawsze tego chciałeś. Dzień po dniu byłam przy twoim boku, byłam twoją mistrzynią i rozkoszą, igrając na okręgu Ziemi, znajdując radość przy synach ludzkich.

— Ile ty masz lat? — spytał Emmanuel.

— Jestem starsza niż Elias.

— Starsza ode mnie.

— Nie.

— Wyglądasz na starszą ode mnie.

— To dlatego, że ty zapomniałeś. Jestem tutaj, żeby obudzić twoją pamięć, ale masz o tym nikomu nie mówić, nawet Eliasowi.

— Ja mu mówię wszystko.

— Nie o mnie. Nie mów mu o mnie. Musisz mi to obiecać. Jeżeli powiesz komuś o mnie, władze się dowiedzą.

— Pokaż mi komputery.

— Są tutaj. — Zina zaprowadziła go do dużego pomieszczenia. — Możesz je pytać o wszystko, ale ich odpowiedzi są preparowane. Może uda ci się je przechytryć. Ja lubię je oszukiwać. Prawdę mówiąc, są głupie.

— Potrafisz czarować? — spytał Emmanuel.

— Skąd wiesz? — uśmiechnęła się Zina.

— Twoje imię. Wiem, co ono znaczy.

— To tylko imię.

— Nie. Zina to nie jest twoje imię. Ty jesteś Zina.

— Powiedz mi więc, co to znaczy, tylko po cichu. Bo jeżeli wiesz, kim jestem, to odzyskałeś część pamięci. Tylko bądź ostrożny, władze słuchają i obserwują.

— Najpierw zrób jakieś czary — zażądał Emmanuel.

— Dowiedzą się. Władze się dowiedzą.

Chłopiec podszedł do klatki z królikiem w drugim końcu pomieszczenia.

— Nie to nie — powiedział. Czy jest tu jakieś inne zwierzę, w które możesz się zmienić?

— Uważaj, Emmanuelu.

— Ptak — powiedział Emmanuel.

— Kot — powiedziała Zina. — Chwileczkę. — Stanęła nieruchomo, poruszając wargami. Z zewnątrz wszedł kot, szara, pasiasta kotka. — Czy mam być tym kotem?

— To ja chcę być kotem — powiedział Emmanuel.

— Wtedy kot umrze.

— Niech umiera.

— Dlaczego?

— Do tego zostały stworzone.

— Kiedyś prowadzone na rzeź cielę przybiegło do rabina i położyło mu głowę na kolanach, prosząc o ratunek. Rabin powiedział: „Odejdź! Po to zostałeś stworzone”, mając na myśli „Zostałeś stworzone na rzeź”.

— I co dalej?

— Bóg ukarał rabina długotrwałą chorobą.

— Rozumiem — powiedział Emmanuel. — Nauczyłaś mnie. Nie będę kotem.

— Wobec tego ja będę tym kotem i on nie umrze, bo ja nie jestem taka jak ty.

— Pochyliła się z dłońmi na kolanach, żeby przemówić do kota. Emmanuel patrzył i po chwili kot podszedł do niego, dając do zrozumienia, że chce rozmawiać. Chłopiec podniósł go, wziął w ramiona i kot przyłożył łapę do jego policzka. Za pomocą tej łapy powiedział mu, że myszy to zaraza, ale że kot nie pragnie zagłady myszy, bo chociaż ich tak nie znosi, to jest w nich coś fascynującego, są bardziej fascynujące niż nieznośne i dlatego kot szukał myszy, chociaż ich nie szanował. Kot pogardzał myszami, ale chciał, żeby myszy były.

Wszystko to kot przekazał za pośrednictwem łapy przyłożonej do policzka chłopca.

— W porządku — powiedział Emmanuel.

— Czy wiesz, gdzie teraz mogą być jakieś myszy? — spytała Zina.

— To ty jesteś kotem.

— Czy wiesz, gdzie teraz mogą być jakieś myszy? — powtórzyła.

— Jesteś jak jakaś maszynka.

— Czy wiesz...

— Musisz ich sama sobie poszukać.

— Ale ty możesz mi pomóc. Mógłbyś je napędzić w moją stronę. — Dziewczynka otworzyła usta i obnażyła zęby. Emmanuel roześmiał się.

Łapa na jego policzku przekazywała dalsze myśli. Że dyrektor Plaudet wchodzi do budynku. Kot usłyszał jego kroki. Postaw mnie na ziemi, nadawał kot.

Emmanuel postawił kota.

— Są tu gdzieś myszy? — dopytywała się Zina.

— Przestań — powiedział Emmanuel. — Idzie dyrektor Plaudet.

— O — skinęła głową Zina.

— Widzę, że znalazłeś Misty — powiedział dyrektor Plaudet, wchodząc do sali.

— Czyż to nie miłe zwierzątko? Zina, co z tobą? Czemu tak na mnie patrzysz?

Emmanuel roześmiał się. Zina miała kłopoty z uwolnieniem się od kota.

— Ostrożnie, bo Zina cię podrapie — powiedział do dyrektora.

— Chyba Misty? — zdziwił się Plaudet.

— Moje uszkodzenie mózgu jest innego rodzaju — zaczął Emmanuel i przerwał. Poczul, że Zina każe mu zamilknąć.

— On ma trudności z imionami — powiedziała Zina. Udało się jej oddzielić od kota i oszołomiona Misty powoli odeszła. Widocznie kotka nie mogła pojąć, dlaczego nagle znalazła się w dwóch różnych miejscach.

— A czy pamiętasz, jak ja się nazywam? — spytał dyrektor Plaudet.

— Gaduła — powiedział Emmanuel.

— Nie — stwierdził dyrektor Plaudet, po czym zmarszczył brwi. — Chociaż „plaudet” to po niemiecku „mówić”.

— Ja mu to powiedziałam — wtrąciła Zina. — O pańskim nazwisku.

Po wyjściu dyrektora Plaudeta Emmanuel zwrócił się do dziewczynki.

— Czy możesz przywołać dzwonki? Do tańca?

— Pewnie — powiedziała Zina i zaczerwieniła się. — To było podchwytliwe pytanie.

— Ale ty przecież lubisz sztuczki. To twoja specjalność. Chciałbym usłyszeć dzwonki, ale nie chce mi się tańczyć. Chętnie popatrzę, jak tańczą inni.

— Kiedy indziej — odpowiedziała Zina. — Jednak coś pamiętasz, jeżeli wiesz o tańcach.

— Myślę, że pamiętam. Poprosiłem Eliasa, żeby mnie zabrał tam, gdzie przechowują mojego ojca. Chcę go zobaczyć. Może gdybym go zobaczył, przypomniałbym sobie dużo więcej. Widziałem jego zdjęcie.

— Jest coś, czego potrzebujesz ode mnie znacznie bardziej niż tańców.

— Chcę się dowiedzieć o twojej władzy nad czasem. Chcę zobaczyć, jak zatrzymujesz

czas, a potem puszczasz go do tyłu. To najlepsza ze wszystkich sztuczek.

— Mówiłam już, że w tej sprawie powinieneś zobaczyć się z ojcem.

— Ale ty to potrafisz. Możesz to zrobić tutaj.

— Nie zrobię. To narusza zbyt wiele rzeczy. Nigdy potem nie wracają na miejsce. Jak się raz zakłóci synch... Kiedyś to dla ciebie zrobię. Mogłabym cię zabrać do czasu przed zdarzeniem, ale nie jestem pewna, czy to byłoby mądre, bo gdybyś musiał przeżyć to jeszcze raz, twój stan mógłby się pogorszyć. Musisz wiedzieć, że twoja matka była bardzo chora. Pewnie by już i tak nie żyła. A twój ojciec będzie w stanie hibernacji jeszcze przez cztery lata.

— Jesteś pewna? — spytał Emmanuel z ożywieniem.

— Kiedy będziesz miał dziesięć lat, zobaczysz go. Teraz jest z twoją matką, lubi wracać do ich pierwszego spotkania. Była bardzo nieporządna i on musiał sprzątać jej kopułę.

— Co to jest kopuła? — spytał Emmanuel.

— Tutaj ich nie ma. Buduje się je dla kolonistów w kosmosie. Tam, gdzie się urodziłeś. Wiem, że Elias ci mówił. Dlaczego go nie słuchałeś uważniej?

— To człowiek — powiedział Emmanuel. — Istota ludzka.

— Wcale nie.

— Urodził się jako człowiek. Potem ja... — Umilkł i wrócił mu fragment pamięci. — Nie chciałem, żeby umarł, porwałem go więc, kiedy on i... — Usiłował sobie przypomnieć, znaleźć odpowiednie słowo.

— Elizariusz — odpowiedziała Zina.

— ...szli we dwójkę i zabrałem go, a potem część jego zesłałem do Elizariusza. Tak więc on nigdy nie umarł. To znaczy Elias. Ale to nie jest jego prawdziwe imię.

— To jego greckie imię.

— Więc jednak coś pamiętam — powiedział Emmanuel.

— Przypomnisz sobie więcej. Widzisz, sam ustaliłeś bodziec, który odblokuje twoją pamięć, zanim... powiedzmy, kiedy nadejdzie czas. Tylko ty wiesz, co to za bodziec. Nawet Elias tego nie wie. Ja też tego nie wiem, ukryłeś się przede mną, kiedy byłeś tym, kim byłeś.

— Teraz też jestem tym, który jest — powiedział Emmanuel.

— Tak, tylko masz uszkodzoną pamięć — stwierdziła Zina dobitnie. — Więc to nie to samo.

— Chyba nie — zgodził się chłopiec. — Ale, zdaje się, mówiłaś, że możesz przywrócić mi pamięć.

— Są różne rodzaje pamięci. Elias może ci pomóc trochę, ja mogę ci przypomnieć więcej, ale tylko twój własny bodziec odblokowujący może sprawić, że będziesz... Tym słowem jest... pochyl się bliżej, tylko ty powinieneś usłyszeć to słowo. Nie, lepiej je napisać. — Zina wzięła ze stołu kartkę i kawałek kredy i napisała jedno słowo:

## HAYAH

Wpatrując się w to słowo, Emmanuel poczuł, przez jakąś nano-sekundę, że pamięć mu wraca, ale natychmiast, prawie natychmiast, stracił ją znów.

— „Hayah” — powiedział na głos.

— To język Boga.

— Tak, wiem. — Było to słowo hebrajskie, słowo-źródło, z tego słowa pochodziło samo Boskie Imię. Emmanuel poczuł bezmierny, potworny lęk. Przestraszył się.

— Nie bój się — powiedziała cicho Zina.

— Boję się — powiedział Emmanuel — bo przez chwilę wszystko sobie przypomniałem. — Wiedziałem, pomyślał, kim jestem.

Ale znów zapomniał. Kiedy wychodził z dziewczynką na podwórze, już nie wiedział. Jednak, o dziwo, wiedział, że wiedział, że wiedział i prawie natychmiast zapomniał. Tak jakbym miał dwa umysły, zastanawiał się, jeden na powierzchni i drugi w głębinie. Ten powierzchniowy został uszkodzony, ten w głębi nie. A jednak ten głębszy nie może przemówić, jest zamknięty. Czy na zawsze? Nie, któregoś dnia zadziała bodziec. Jego własny pomysł.

Zapewne było konieczne, żeby nie pamiętał. Gdyby potrafił przywołać do świadomości wszystko, podstawę wszystkiego, władze by go zabiły. Ta bestia miała dwie głowy: religijną, w postaci kardynała Fultona Statlera Harmsa, i naukową nazwiskiem N. Bulkowsky. Ale to były tylko fantomy. Dla Emmanuela Kościół chrześcijańsko-islamski i Światopogląd Naukowy nie stanowiły rzeczywistości. Wiedział, co kryło się za nimi. Elias mu powiedział. Ale nawet, gdyby Elias mu nie powiedział, wiedziałby i tak. Bo w każdym miejscu i o każdym czasie był w stanie rozpoznać Adwersarza.

Zastanawiała go natomiast ta dziewczynka, Zina. Coś się w tej sytuacji nie zgadzało. A jednak ona nie kłamała, ona nie mogła kłamać. Uczynił ją niezdolną do kłamstwa, to stanowiło istotę jej natury: prawdomówność. Wystarczyło ją spytać.

Na razie zakładał, że była jedną z *zine*, sama przyznała, że tańczy. Jej imię pochodziło, rzecz jasna, od słowa *dziana* i czasem występowało w używanej przez nią formie jako Zina.

Podszedł do niej i stanąwszy tuż za jej plecami, szepnął jej do ucha „Diana”.

Odwróciła się błyskawicznie i kiedy się odwracała, zobaczył, jak się zmienia. Miała inny nos i zamiast dziewczynki widział teraz dorosłą kobietę w metalowej masce zsunętej tak, że odsłaniała jej twarz. Była to grecka twarz, maska zaś, jak sobie uświadomił, stanowiła część hełmu. To musiała być Pallas. Widział teraz nie Zinę, lecz Pallas. Wiedział jednak, że żadna z nich nie jest prawdą o niej. To były tylko obrazy, formy, jakie przybierała. Mimo to metalowa przyłbica zrobiła na nim wrażenie. Teraz ten obraz

zanikał i Emmanuel wiedział, że nikt oprócz niego nic nie widział. Ona nigdy nie ujawniłaby się przed innymi ludźmi.

— Dlaczego nazwałeś mnie Dianą? — spytała Zina.

— Bo to jedno z twoich imion.

— Któregoś dnia pójdziemy do Ogródu — powiedziała Zina. — Żebyś mógł zobaczyć zwierzęta.

— Chciałbym je zobaczyć. Gdzie jest ten Ogród?

— Ogród jest tutaj.

— Nie widzę go.

— To ty stworzyłeś Ogród — powiedziała Zina.

— Nie pamiętam. — Bolała go głowa. Przyłożył dłoń do skroni. Jak mój ojciec, pomyślał. On robił to samo. Tyle że on nie jest moim ojcem.

Ja nie mam ojca, pomyślał.

Przepełnił go ból, ból samotności. Nagle Zina znikła, znikło szkolne podwórko, budynek, miasto, wszystko. Próbował zmusić świat do powrotu, ale bezskutecznie. Czas przestał płynąć. Nawet czas został obalony. Zdał sobie sprawę, że wszystko zapomniał. A ponieważ zapomniałem, wszystko znikło, pomyślał. Nawet Zina, jego oblubienica i szczęście, nie mogła mu teraz nic przypomnieć, wrócił do pustki.

Przez bezmiar pustki, przez głębinę, powoli przetaczał się niski pomruk. Widać było też światło. Przy tym przesunięciu częstotliwości ciepło było widoczne jako światło, jako ponure, matowo czerwone światło, które budziło odrazę.

Mój ojciec, pomyślał. Nie jesteś moim ojcem.

Jego wargi poruszyły się i wymówiły jedno słowo:

HAYAH

Świat powrócił.

## 5

— Czy masz jakąś prawdziwą kawę? — spytał Elias Tate, siadając na stosie brudnych ubrań Ryby s. — Nie tę lipę, którą ci wciskają ze statku bazy. — Skrzywił się na samą myśl.

— Mam trochę — powiedziała Rybys — ale nie wiem, gdzie jest.

— Czy często wymiotujesz? — spytał Elias, przyglądając się jej bacznie.  
— Codziennie?

— Tak. — Spojrzała na niego zdziwiona.

— Jesteś w ciąży — stwierdził Elias Tate.

— Przechodzę chemoterapię! — rzuciła Rybys gniewnie, poczerwieniawszy ze złości.

— Mam torsje z powodu tego cholernego neurotoksytu i prednoferiku...

— Skonsultuj się z komputerem — powiedział Elias. Zapanowało milczenie.

— Kim ty jesteś? — spytał Herb Asher.

— Dzikim Żebrakiem.

— Skąd o mnie tyle wiesz? — spytała Rybys.

— Przyszedłem, żeby być z tobą — powiedział Elias. — Odtąd cię nie opuszczę.  
Skonsultuj się z komputerem.

Usiadłszy przy końcówce komputera, Rybys włożyła rękę w otwór MED-a.

— Wolałabym nie poruszać tego tematu — zwróciła się do Herba i Eliasa — ale jestem dziewczyną.

— Wynoś się stąd — powiedział spokojnie Herb Asher do starego.

— Poczekaj, aż MED pokaże wyniki próby. Oczy Rybys napełniły się łzami.

— Cholera, to okropne. Mam SM, a teraz jeszcze to, jakby SM nie wystarczyło.

— Ona musi wrócić na Ziemię — zwrócił się Elias do Herba Ashera. — Władze jej pozwolą, jej choroba jest wystarczającym powodem w świetle przepisów.

— Czy jestem w ciąży? — spytała załamana Rybys końcówkę komputera, kiedy ta podłączyła się do kanału MED-a.

Cisza.

Po chwili komputer przemówił.



— Jesteś w trzecim miesiącu ciąży.

Rybys wstała, podeszła do okna i wpatrzyła się w metanowy krajobraz. Nikt się nie odezwał.

— To Jah, prawda? — spytała po chwili.

— Tak — potwierdził Elias.

— Wszystko było zaplanowane dawno temu?

— Tak.

— I moje SM jest po to, żeby stworzyć prawny pretekst do powrotu na Ziemię?

— Żeby cię przedostać przez Biuro Imigracyjne — powiedział Elias.

— A ty to wszystko wiesz. — Rybys wskazała Herba Ashera. — On powie, że jest ojcem.

— Zrobi to — potwierdził Elias — i poleci z tobą. Ja też. Przyjmą cię do szpitala marynarki wojennej w Chevy Chase. Z powodu powagi twojego stanu polecimy rejssem specjalnym, z wielką prędkością. Powinniśmy wystartować niezwłocznie. Wszystkie niezbędne dokumenty uzasadniające powrót na Ziemię masz przygotowane.

— Czy to Jah zesłał na mnie chorobę? — spytała Rybys. Elias po chwili kiwnął głową.

— Co to ma być? — powiedziała Rybys ze złością. — Jakiś spisek? Chcesz przeszmuglować...

— Rzymskie X Fretensis — przerwał jej Elias cicho, ale szorstkim tonem.

— Masada — powiedziała Rybys. — Rok siedemdziesiąty trzeci po Chrystusie. Tak myślałam. Zaczęłam to podejrzewać, kiedy Ciem powiedział mi o bogu wzgórza na stacji numer pięć.

— On przegrał — mówił Elias. — Legion Dziesiąty składał się z piętnastu tysięcy doświadczonych żołnierzy. Mimo to Masada broniła się prawie przez dwa lata, choć było w niej niecałe tysiąc Żydów, łącznie z kobietami i dziećmi.

— Tylko siódemka kobiet i dzieci przeżyła oblężenie Masady — zwróciła się Rybys do Herba Ashera. — To była żydowska forteca, a one schowały się w kanałach doprowadzających wodę. I Jehowa został wypędzony z Ziemi — powiedziała do Elias.

— I nadzieje ludzkie zgasły.

— O czym wy mówicie? — spytał Herb Asher.

— O porażce — powiedział krótko Elias.

— Więc on... Jah... najpierw zsyła na mnie chorobę, a potem... — urwała Rybys. — Czy on pochodzi z tego układu gwiazdowego, czy został tu wypędzony?

— Został wypędzony — powiedział Elias. — Wokół Ziemi jest teraz ustanowiona strefa. Strefa zła, która go nie wpuszcza.

— Pana Boga? — spytała Rybys. — Powstrzymują Boga? Nie dopuszczają go na Ziemię? — Patrzyła na Elias'a Tate'a z niedowierzaniem.

— Ludzie na Ziemi nie wiedzą — powiedział Elias.

— Ale ty wiesz — wtrącił się Herb Asher. — Tak? Skąd ty to wszystko wiesz? Skąd wiesz takie rzeczy? Kim ty jesteś?

— Nazywam się Elias — powiedział Elias Tate.

Siedzieli we troje, pijąc herbatę. Rybys była ponura i obrażona, miała wściekłą minę i prawie się nie odzywała.

— Co cię najbardziej złości? — spytał Elias Tate. — Fakt, że Jah został wyparty z Ziemi, że został pokonany przez Adwersarza, czy to, że musisz wracać na Ziemię, niosąc go w sobie. Roześmiała się.

— To, że muszę opuścić swoją stację.

— Zostałaś wyróżniona — powiedział Elias.

— Tak, wyróżniona chorobą — odparła Rybys, drżącą ręką podnosząc kubek do ust.

— Czy zdajesz sobie sprawę, kogo nosisz w swoim łonie? — spytał Elias.

— Pewnie — stwierdziła Rybys.

— Nie widać, żeby robiło to na tobie wrażenie — zauważył Elias.

— Miałam swoje plany życiowe.

— Myślę, że twój punkt widzenia jest zbyt wąski. — powiedział Herb Asher. Elias i Rybys spojrzeli na niego z niesmakiem, jak na intruza. — Może ja czegoś nie rozumiem — dodał niepewnie.

Rybys poklepała go po ręce.

— Nic nie szkodzi. Ja też nie rozumiem. Dlaczego właśnie ja? Zadawałam sobie to pytanie, kiedy stwierdzono u mnie SM. Dlaczego, do diabła, ja? Dlaczego, do diabła, ty? Ty też musisz zostawić swoją stację i swoje kasety z Fox. A także bezczynne wylegiwanie się po całych dniach, z aparaturą nastawioną na automat. Jezu Chryste. No cóż, chyba Hiob miał rację. Bóg doświadcza tych, których kocha.

— Polecimy we trójkę na Ziemię — powiedział Elias — i tam urodzisz syna, Emmanuela. Jah zaplanował to na początku czasu, przed upadkiem Masady, przed zburzeniem Świątyni. Przewidział swoją porażkę i przedsięwziął kroki dla naprawy sytuacji. Bóg może przegrywać tylko chwilowo. U Boga lekarstwo jest zawsze silniejsze niż choroba.

— Felix culpa — odezwała się Rybys.

— Tak — zgodził się Elias, po czym zwrócił się do Herba Ashera. — To znaczy „szczęśliwa wina” i odnosi się do grzechu, do grzechu pierwotnego. Gdyby nie było grzechu, zapewne nie byłoby wcielenia. Nie byłoby narodzin Chrystusa.

— Katolicka doktryna — powiedziała Rybys w zamyśleniu. — Nie przypuszczałam, że kiedyś będzie dotyczyć mnie osobiście.

— Ale czy Chrystus nie pokonał sił zła? — spytał Herb Asher. — Powiedział przecież: „Przyszedłem zwyciężyć świat”.

— Cóż — powiedziała Rybys — widocznie się pomylił.

— Z upadkiem Masady wszystko zostało stracone — wyjaśniał Elias. — Bóg nie wkroczył do historii w pierwszym wieku po Chrystusie, on opuścił historię. Misja Chrystusa skończyła się porażką.

— Jesteś bardzo stary — powiedziała Rybys. — Ile ty masz lat? Pewnie ze cztery tysiące. Ty możesz przyjmować dalekosiężny punkt widzenia, ja nie. Wiedziałeś o tym pierwszym przyjściu przez cały czas? Przez dwa tysiące lat?

— Tak jak Bóg przewidział grzech pierworodny, tak też przewidział, że Jezus zostanie odrzucony. Bóg wiedział, zanim się to stało.

— A co on wie tym razem? — spytała Rybys. — Co mamy robić?

Elias milczał.

— On nie wie — stwierdziła Rybys.

— Ta... — Elias się zawahał.

— Ta ostatnia bitwa — mówiła Rybys — nie jest przesądzona, prawda?

— Bóg na końcu zwycięża — powiedział Elias. — Ma absolutny dar przewidywania.

— On wie — ciągnęła Rybys — ale czy to znaczy, że może... Słuchajcie, ja naprawdę nie czuję się dobrze. Jest późno, jestem chora, zmęczona i czuję się, jakbym... — Zrobiła bezradny gest. — Jestem dziewczicą i jestem w ciąży. Lekarze z Biura Imigracyjnego nigdy w to nie uwierzą.

— Myślę, że o to właśnie chodzi — powiedział Herb Asher. — Dlatego mam się z tobą ożenić i lecieć z wami.

— Nie mam zamiaru wychodzić za ciebie, ponieważ ja cię nawet nie znam. — Przyjrzała mu się. — Wyjść za ciebie? Chyba żartujesz. Ja mam SM i jestem w ciąży... Do diabła z wami oboma, idźcie i zostawcie mnie w spokoju. Mówię poważnie. Dlaczego nie połknę — łam tej buteleczki Seconaxu, kiedy miałam okazję? Nigdy nie miałam okazji, Jah mnie pilnował. On widzi nawet spadającego wróbla, zapomniałam.

— Czy masz gdzieś whisky? — spytał Herb Asher.

— Wspaniale — powiedziała Rybys z goryczą. — Ty możesz się upić, a co ze mną? Mam przecież SM i jakieś dziecko w sobie.

— Spojrzała z nienawiścią na Eliasa Tate'a. — Odbierałam twoje myśli w postaci obrazów na ekranie telewizora i w swoim zaćmieniu uznałam, że to głupawy serial wysmażony przez scenarzystów w systemie Fomalhauta, czysta fikcja. Pajaki miały ci urwać głowę? Czy to są twoje nieświadome fantazje? I ty jesteś rzecznikiem Jehowy?

— Zaczerwieniła się. — Przepraszam, wymówiłam Święte Imię.

— Chrześcijanie wymawiają je stale — powiedział Elias.

— Ale ja jestem Żydówką. Byłabym Żydówką, dlatego w to wpadłam. Gdybym była gojką, Jah by mnie nie wybrał. Gdybym się choć raz przespała z mężczyzną... — Umilkła na chwilę. — Ta Boska Maszyna ma w sobie jakieś szczególne okrucieństwo — dokończyła. — Żadnego romantyzmu. Okrucieństwo. Tak, okrucieństwo.

— Dlatego, że chodzi o tak ważne sprawy — powiedział Elias.

— Jakie ważne sprawy? — spytała Rybys.

— Wszechświat istnieje dzięki temu, że Jah go pamięta — powiedział Elias.

Herb Asher i Rybys spojrzeli na niego szeroko otwartymi oczami.

— Jeżeli Jah zapomni, wszechświat przestanie istnieć.

— A czy on może zapomnieć? — spytała Rybys.

— On dopiero musi zapomnieć — powiedział zagadkowo Elias.

— To znaczy, że mógłby zapomnieć — wywnioskowała Rybys.

— Więc to o to chodzi. Powiedziałaś to. Rozumiem. Cóż... — Wzruszyła ramionami i w zamyśleniu wypija łyk herbaty. — Więc gdyby nie Jah, nie byłoby mnie na świecie. Nie byłoby świata.

— Jego imię znaczy „Ten, który sprawia, że wszystko istnieje” — powiedział Elias.

— Zło też? — spytał Herb Asher.

— Pismo — powiedział Elias — mówi tak:

*„...aby wiedziano od wschodu słońca aż do zachodu,  
że beze Mnie nie ma niczego.*

*Ja jestem Pan i nie ma innego.*

*Ja tworzę światło i stwarzam ciemności,  
sprawiam pomyślność i stwarzam niedolę.*

*Ja, Pan, czynię to wszystko*\* [\*Cytaty z Pisma Świętego: Biblia Tysiąclecia, wyd. Ul popr., Poznań-Warszawa 1980.].

— Gdzie to jest powiedziane? — spytała Rybys.

— Izajasz, rozdział czterdziesty piąty.

— Pomyślność i niedola — powtórzyła Rybys. — Szczęście i nieszczęście.

— Więc znasz ten fragment. — Elias spojrzął na nią.

— Trudno w to uwierzyć.

— Na tym polega monoteizm — stwierdził szorstko Elias.

— Tak — powiedziała. — Chyba tak. Ale to brutalne. A ile mnie jeszcze czeka? Chcę się z tego wydostać i nie mogę. Nikt mnie nie pytał o zgodę. Teraz też nikt mnie nie pyta. Jah wie, co będzie dalej, ale ja nie wiem, poza tym, że będzie jeszcze więcej okrucieństwa, bólu i rzygania. Wygląda na to, że służba Bogu polega na codziennym wymiotowaniu i robieniu sobie zastrzyków. Jestem jak zainfekowany szczur w klatce. To on mnie w to wrobił. Nie mam wiary ani nadziei, a on nie ma miłości, tylko siłę. Bóg jest

przejawem siły, niczym więcej. Do diabła z tym, poddaję się. Nie zależy mi. Zrobię to, co muszę, ale wiem, że mnie to zabije. W porządku?

Dwaj mężczyźni milczeli. Nie patrzyli na nią ani na siebie.

— On ci dzisiaj uratował życie — powiedział wreszcie Herb Asher. — To on mnie tu przysłał.

— Za to plus pięć kredytek należy ci się kubek kaffu — odparła Rybys. — Przede wszystkim zesłał na mnie chorobę!

— I prowadzi cię — dodał Herb.

— Dokąd?

— Do wyzwolenia nieskończonej liczby istnień — odezwał się Elias.

— Egipt. Ludzie robiący cegły. W kółko to samo. Dlaczego wyzwolenie nie jest trwałe? Dlaczego znika? Czy jest jakieś rozwiązanie ostateczne?

— To jest rozwiązanie ostateczne — powiedział Elias.

— Ja nie będę jedną z wyzwolonych. Ja padnę w drodze.

— Jeszcze nie teraz — powiedział Elias.

— Ale to się zbliża.

— Może. — Z wyrazu twarzy Eliasza nie można było nic odczytać.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu i wtedy rozległ się cichy, głęboki głos, który mówił „Rybys, Rybys”.

Rybys wydała zduszony okrzyk i rozejrzała się.

— Nie bój się — mówił głos. — Będiesz żyć w twoim synu. Nie możesz umrzeć teraz i nie umrzesz aż do końca czasu.

Cicho, z twarzą ukrytą w dłoniach, Rybys rozplakała się.

Tego samego dnia po powrocie z przedszkola Emmanuel postanowił jeszcze raz spróbować hermetycznej przemiany, żeby poznać otaczający go świat.

Najpierw przyśpieszył swój wewnętrzny zegar biologiczny, od czego jego myśli pobiegły z narastającym przyśpieszeniem. Czuł, jak pędzi wzdłuż tunelu czasu linearnego, osiągając na tej osi prędkość wręcz nieprawdopodobną. Potem ujrzał niejasne, rozplywające się barwy i nagle spotkał Strażnika, czyli Grigona, który strzegł przejścia między Dolnym a Górnym Królestwem. Grigon przyjął postać nagiego torsu kobiecego, znajdującego się tak blisko, że mógł go dotknąć. Od tego miejsca zaczął się poruszać z prędkością Górnego Królestwa i Dolne Królestwo przestało być czymś, stając się procesem: ewoluowało w narastających warstwach w tempie trzydziestu jeden i pół miliona do jednego w skali czasowej Królestwa Górnego.

Widział zatem Królestwo Dolne niejako miejsce, lecz jako przezroczyście obrazy zmieniające się z ogromną szybkością. Były to Formy spoza przestrzeni zasilające Królestwo Dolne, gdzie stawały się rzeczywistością. Był teraz o jeden krok od hermetycznej przemiany.

Ostatni obraz zastygł i czas zatrzymał się dla niego. Z zamkniętymi oczami nadal widział pokój, w którym się znajdował. Zakończył bieg i umknął temu, co go ścigało. Znaczyło to, że jego neurony działają bezbłędnie, a jego szyszynka zarejestrowała obecność światła wędrującego odgałęzieniem nerwu optycznego.

Siedział przez chwilę, chociaż pojęcie „chwili” straciło teraz wszelki sens. Potem, stopniowo, dokonała się przemiana. Zobaczył wzór, odbicie swojego własnego mózgu, znajdował się w świecie swojego własnego mózgu z żywą informacją przepływającą tu i tam, jak strumyki lśniącej, tętniącej życiem czerwieni.

Mógł sięgnąć i dotknąć swoich własnych myśli w ich oryginalnej postaci, zanim jeszcze stały się myślami. Pokój wypełniony był ich ogniem, otwierały się niezmierzone przestrzenie, objętość jego własnego mózgu była dla niego czymś zewnętrznym.

Jednocześnie wprowadził świat zewnętrzny do swojego wnętrza. Miał teraz wszechświat w sobie, a swój własny mózg na zewnątrz siebie. Rozciągał się on teraz na niezmierzone przestrzenie, sięgając znacznie dalej niż poprzednio wszechświat. W ten sposób znał wszystko, co było nim, ponieważ zaś zamknął w sobie świat, znał go i panował nad nim.

Uspokoił się i rozluźnił, i wtedy zobaczył zarys pokoju, stolika, krzeseł, ścian, obrazków na ścianach; widział ducha zewnętrznego wszechświata pozostającego na zewnątrz. Po chwili podniósł ze stolika książkę, którą otworzył. Znalazł w niej zapisane swoje własne myśli, teraz w postaci drukowanej. Myśli układały się wzdłuż osi czasowej, która stała się osią przestrzenną i jedyną, wzdłuż której można się było poruszać. Widział, jak w hologramie, różne wieki swoich myśli: te najnowsze najbliżej powierzchni, te dawniejsze pod nimi, w coraz to głębszych warstwach.

Oglądał świat wokół siebie, sprowadzony teraz do najprostszych kształtów geometrycznych, głównie kwadratów, ze Złotym Prostokątem jako wejściem. Nic się nie poruszało poza sceną za drzwiami, gdzie jego matka biegła szczęśliwa wśród splątanych starych krzewów dzikich róż w gospodarstwie, które pamiętała z dzieciństwa. Uśmiechała się, a jej oczy promieniały radością.

Teraz, pomyślał Emmanuel, zmienię ten wszechświat, który umieściłem w sobie. Przyglądał się geometrycznym kształtom i pozwalał im wypełniać się powoli materią. Na wprost niego ulubiona niebieska, wyleniała kanapa Eliasa zaczęła się rozplýwać i zmieniać kształt. Usunął rządzące nią prawa przyczynowo-skutkowe i wyleniała niebieska kanapa z plamami kaffu zmieniała się w kredens Hepplewhite'a z wytworną porcelaną na półkach.

Przywrócił w pewnym stopniu czas i zobaczył Eliasa Tate'a kręcącego się po pokoju, wchodzącego i wychodzącego, zobaczył warstwy obrazów układające się w sekwencje wzdłuż liniowej osi czasu. Kredens Hepplewhite'a utrzymał się w krótkiej serii obrazów w trybie biernym, a potem wrócił do trybu czynnego i dołączył do stałego świata



wielokątów zawierających to, co było. W świecie będącym wytworem jego mózgu kre- dens Hepplewhite'a wraz z zawartością został włączony na zawsze w autentyczną rze- czywistość. Nie będzie odtąd podlegał żadnym zmianom i tylko on będzie go widział. Dla wszystkich poza nim należał do przeszłości.

Zakończył przemianę formułą Hermesa Trismegistusa:

*Verum est... quod superius est sicut quod inferius et quod inferius est sicut quod superius, ad perpetrando miracula rei unius.*

Co znaczy:

*Prawdą jest, że to, co na górze, jest jak to, co na dole, a to, co na dole, jest jak to, co na górze, dla dokonania cudów jedności.*

Była to Szmaragdowa Tablica, jaką Maria Prophetissa, siostra Mojżesza, otrzymała od samego Tehuti, który dał imiona wszystkim stworzonym rzeczom na początku, za- nim został wypędzony z Ogrodu Palmowego.

To, co było na dole, jego własny mózg, mikrokosmos, stało się makrokosmosem i te- raz w postaci mikrokosmosu zawierał w sobie makrokosmos, czyli to, co jest na górze.

Zajmuję teraz cały wszechświat, uświadomił sobie Emmanuel, jestem teraz wszędzie, stałem się więc Adamem Kadmonem, pierwszym człowiekiem. Ruch wzdłuż trzech osi przestrzennych stał się teraz dla niego niemożliwy, był już bowiem wszędzie tam, do- kąd mógłby się udać, jedyna możliwość ruchu dla niego albo dla zmieniającej się rze- czywistości leżała wzdłuż osi czasowej. Siedział kontemplując świat phylogonów, mi- liardy ich w procesie nieprzerwanego wzrostu i dopełniania się napędzanego dialekty- ką, która kryła się za każdą przemianą. Podobało mu się to, widok sieci przeplecionych phylogonów sprawiał przyjemność. To był kosmos Pitagorasa, harmonijne dopasowa- nie wszystkich rzeczy, każda z nich na właściwym torze i niezniszczalna.

Widzę teraz to, co widział Plotyn, uświadomił sobie. Ale, co więcej, połączyłem w so- bie oddzielone ongiś sfery, przywróciłem Ein-Sofowi Szechinę. Ale tylko na krótko i tyl- ko lokalnie. Jedynie w mikroformie. Rzeczy wrócą do poprzedniego stanu, jak tylko je uwolni.

— Po prostu myślę — powiedział na głos.

— Co robisz, Manny? — spytał Elias wchodząc do pokoju.

Przyczynowość została odwrócona. Zrobił to, co potrafiła Zina, zmienił kierunek czasu. Roześmiał się uradowany. I usłyszał głos dzwonów.

— Widziałem chinwat — powiedział Emmanuel. — Wąski most. Mogłem po nim przejść.



- Nie wolno ci tego robić.
- A co znaczą dzwony? Dzwony dzwoniące z oddali?
- Daleki odgłos dzwonów oznacza bliskość Zbawiciela.
- A kto jest tym Zbawicielem?
- Chyba ty sam — powiedział Elias.
- Chwilami rozpaczliwie potrzebuję pamięci.

Wciąż słyszał dzwony, bardzo dalekie, bijące powoli, kołysane, jak wiedział, przez pustynny wiatr. To sama pustynia przemawiała do niego. Pustynia za pomocą dzwonów usiłowała mu przypomnieć.

- Kim ja jestem? — spytał Eliasa.
  - Nie mogę powiedzieć — odparł Elias.
  - Ale wiesz. Elias kiwnął głową.
  - Wszystko byłoby znacznie prostsze, gdybyś mi powiedział.
  - Musisz to powiedzieć sam. Kiedy przyjdzie czas, będziesz wiedział i powiesz to.
  - Ja jestem... — zaczął chłopiec niepewnie.
- Elias uśmiechnął się.

Usłyszała głos wychodzący z jej własnego łona. Z początku się przestraszyła, a potem zrobiło się jej smutno, czasami popłakiwała, a nudności nie ustępowały. Nie przypominam sobie, żebym czytała o tym w Biblii, myślała. Że Maria miała poranne nudności. Pewnie dostanę obrzęków i porobią mi się rozstępy. O tym też nic nie czytałam.

To byłby dobry napis gdzieś na murze, pomyślała. MARIA DZIEWICA MIAŁA ROZSTĘPY. Przyrządziła sobie lekki posiłek z syntetycznego jagnięcia i zielonego groszku. Siedząc samotnie przy stoliku, patrzyła apatycznie na krajobraz za oknem. Powinnam tu posprzątać, uświadomiła sobie. Zanim Elias i Herb wrócą. Właściwie powinnam zrobić listę rzeczy, które muszę zrobić.

Przede wszystkim, myślała, muszę zrozumieć sytuację. On jest już we mnie. Stało się.

Muszę mieć nową perukę, postanowiła. Na drogę. Jakąś porządniejszą. Chyba spróbuję blond z dłuższymi włosami. Cholerna chemoterapia, myślała. Jak cię nie wykończy choroba, to cię wykończy terapia. Lekarstwo jest gorsze niż choroba, pomyślała z goryczą. Oho, odwróciłam to powiedzenie. Boże, jak mi jest niedobrze.

A potem, kiedy dłubała widelcem w talerzu zimnego, syntetycznego jedzenia, przyszła jej do głowy dziwna myśl. A co, jeżeli to sztuczka Clemów? Najechaliśmy ich planetę i oni teraz się bronią. Zorientowali się, jak u nas Bóg przyszedł na świat i teraz symulują Niepokalane Poczęcie!

Chciałabym, żeby to była symulacja, pomyślała.

Ale wracajmy do rzeczy, powiedziała w myśli. Czytają nasze umysły albo nasze książki, nieważne, jak to robią, i chcą się nas pozbyć za pomocą oszustwa. I w takim razie to, co mam w sobie, jest końcówką komputera czy czymś takim, jakimś udoskonalonym radiem. Już widzę, jak przechodzę przez Kontrolę Imigracyjną. „Coś do oclenia?” „Tylko radio”. Cóż, myślała, gdzie jest to radio? Nie widzę żadnego radia. Trzeba dobrze poszukać. Nie, przyszło jej do głowy, to sprawa celników, nie Biura Imigracyjnego. Jaka jest wartość tego radia? Trudno to określić, odpowiedziała sobie w myśli. Nie uwierzcie mi, ale ono jest jedyne w swoim rodzaju. Nie co dzień widuje się takie radia.

Chyba powinnam się pomodlić, stwierdziła.

— Jah — powiedziała — jestem słaba, chora i przestraszona, i naprawdę nie chcę brać w tym udziału. — Kontrabanda, pomyślała. Mam przeszmuglować kontrabandę. „Proszę za mną. Przeprowadzimy rewizję osobistą. Celniczka zaraz tu będzie, proszę usiąść i przejrzeć czasopisma”. Powiem im, że to oburzające, pomyślała. Udane zdumienie. „Że niby co mam w sobie? To jakieś żarty. Nie, nie mam pojęcia, skąd się to tam wzięło. To jakieś cuda”.

Naszła na nią jakaś dziwna senność, rodzaj stanu hipnogogicznego, chociaż nadal siedziała, jedząc bezmyślnie. Embrion z jej łona zaczął roztaczać przed nią swój obraz, spojrzenie całkowicie odmiennego umysłu.

Tak to widzą oni, władcy świata, uświadomiła sobie.

To, co ujrzała ich oczami, to była bestia. Kościół chrześcijańsko-islamski i Światopogląd Naukowy: ich strach nie przypominał jej strachu. U niej wiązało się to z ryzykiem i wysiłkiem, jakiego od niej żądano. Ale oni... zobaczyła, jak zasięgają rady Wielkiego Bałwana, ogromnego systemu sztucznej inteligencji, służącego do przetwarzania ziemskiej informacji, na której władze się opierały.

Wielki Bałwan po przeanalizowaniu danych poinformował władze, że coś złowrogiego zostało przeszmuglowane przez Kontrolę Imigracyjną na Ziemię. Poczuli ich odrazę, ich wstręt. To niewiarygodne, pomyślała. Spojrzeć na Pana wszechświata ich oczami, zobaczyć go jako coś obcego. Oni zatem nie są stworzeni na jego obraz i podobieństwo, uświadomiła sobie. To właśnie Jah chce mi powiedzieć. Zawsze zakładałam, tak nas zawsze uczono, że człowiek jest obrazem Boga. To jest jak zwracanie się do kogoś bliskiego. Więc oni naprawdę wierzą w siebie! Oni rzeczywiście nic nie rozumieją!

Bestia z kosmosu, myślała. Musimy nieustannie czuwać, bo może pojawić się i przeslizgnąć przez Imigrację. Jacy oni są pomyleni, jak nic nie rozumieją. Więc oni byliby gotowi zabić moje dziecko. To nieprawdopodobne, ale tak jest. I nigdy nie daliby sobie wytłumaczyć, co zrobili. Sanhedryn myślał tak samo o Jezusie, stwierdziła. To jest nowy zelota. Przymknęła oczy.

Oni żyją jak w kiepskim horrorze. Jest coś nie w porządku, kiedy ktoś boi się małego dziecka. Kiedy się je traktuje, którekolwiek z nich, jako coś niesamowitego i przera-

żającego. Nie chcę więcej tego spojrzenia, powiedziała sobie, cofając się w myśli z odrazą. Zabierz to ode mnie, proszę, widziałam dosyć.

Rozumiem.

Dlatego trzeba to zrobić, myślała. Bo oni widzą świat tak, jak widzą. Modlą się, podejmują decyzje, osłaniają swój świat przed wrogą inwazją. Dla nich to jest wroga inwazja. Oni są chorzy umysłowo, zabiliby Boga, który ich stworzył. Żadna racjonalna istota nie robi czegoś takiego. Chrystus nie umarł na krzyżu, żeby uczynić ludzi bezgrzesznymi, został ukrzyżowany, bo oni byli szaleńcami, widzieli go tak, jak ja widzę teraz. To spojrzenie szaleńca.

Oni myślą, że to, co robią, jest dobre.

## 6

— Mam coś dla ciebie — powiedziała mała Zina.

— Prezent? — Wyciągnął ufnie rękę.

Zwykła zabawka. Tabliczka informacyjna, jaką miały wszystkie dzieci. Poczłł bole-  
sne rozczarowanie.

— Zrobiliśmy ją specjalnie dla ciebie — powiedziała Zina.

— Co to jest? — Przyjrzał się tabliczce. Samorządne zakłady produkcyjne wy-  
puszczały takie setkami tysięcy. Każda tabliczka zawierała pospolite mikroprocesory.  
Dostałem już taką od dyrektora Plaudeta — powiedział. — Są podłączone do szkoły.

— My nasze robimy inaczej. Zachowaj ją. Powiedz dyrektorowi, że to jest ta, któ-  
rą ci dał, on ich nie potrafi odróżnić. Widzisz? Mamy na niej nawet znak firmowy.  
— Przeciągnęła palcem po literach IBM.

— Ta nie jest zrobiona przez IBM — powiedział.

— Zdecydowanie nie. Włącz ją.

Wcisnął guzik na tabliczce. Na bładoszarej powierzchni zaświeciło czerwono jedno  
słowo:

VALIS

— To jest zadanie dla ciebie na teraz — powiedziała Zina. — Domyślić się, co to jest  
„Valis”. Tabliczka daje ci zadanie na poziomie pierwszym... to znaczy, że da ci informa-  
cje naprowadzające, jeżeli będziesz ich potrzebował.

— Mateczka Gęś — powiedział Emmanuel.

Na tabliczce znikło słowo VALIS. Na jego miejscu pojawiło się słowo:

HEFAJSTOS

— Cyklopy — rzucił natychmiast Emmanuel.

Zina roześmiała się.

— Jesteś tak szybki jak ona.

— Do czego to jest podłączone? Nie do Wielkiego Bałwana. — Emmanuel nie lubił Wielkiego Bałwana.

— Może sama ci powie.

Na tabliczce widniało teraz słowo:

#### SIWA

— Cyklopy — powtórzył Emmanuel. — To sztuczka. Tę rzecz zrobiła drużyna Diany.

Uśmiech znikł z twarzy dziewczynki.

— Przepraszam — powiedział Emmanuel. — Już nigdy nie powiem tego na głos.

— Oddaj mi tabliczkę. — Zina wyciągnęła rękę.

— Oddam ci ją, jak mi sama powie, że mam ci ją oddać. — Wcisnął guzik.

#### NIE

— No dobrze — zgodziła się Zina. — Pozwolę ci ją zatrzymać. Ale ty nie wiesz, co to jest, nie rozumiesz tego. Nie zrobiła tego żadna drużyna. Wciśnij guzik.

#### NIM POWSTAŁA ZIEMIA

— Ja... — Emmanuel zawahał się.

— Przypomnisz sobie — powiedziała Zina. — Dzięki temu. Korzystaj z tego. Myślę, że Eliasowi też nie powinienes mówić. Mógłby nie zrozumieć.

Emmanuel nie odpowiedział. W tej sprawie on sam podejmie decyzję. Ważne jest, żeby nie pozwolić innym decydować za siebie. Poza tym, miał generalnie zaufanie do Eliasza. Czy ufał również Zinie? Nie miał pewności. Wyczuwał w niej wielość natur, mnogość osobowości. Kiedyś odnajdzie tę prawdziwą, wiedział, że ona istnieje, przesłonięta sztuczkami. Kto to jest, zadawał sobie pytanie, kto płata podobne figle. Jaka to istota jest zwodzicielem? Wcisnął guzik.

#### TANIEC

Potaknął kiwnięciem głowy. Taniec to niewątpliwie właściwa odpowiedź. W myśli widział ją tańczącą z całym zastępem, widział trawę płonąca pod ich stopami, a za nim spaloną ziemię i skołowane umysły ludzi. Mnie nie skołujesz, pomyślał. Mimo że panujesz nad czasem. Bo ja też mam władzę nad czasem. Może nawet większą niż ty.

Tego wieczoru przy kolacji rozmawiał z Eliasem Tate'em o Valisie.

— Zabierz, mnie na to — prosił Elias.

— To bardzo stary film.

— To chociaż wypożyczmy kasetę. Z biblioteki. Co znaczy „Valis”?

— To skrót oznaczający Rozległy Czynny Żywy System Informatyczny — wyjaśnił Elias. — Film jest przeważnie fikcją. Został nakręcony pod koniec dwudziestego wieku przez pewnego śpiewaka rockowego. Nazywał się Eric Lampion, ale występował pod pseudonimem „Mateczka Gęś”. W filmie wykorzystano muzykę synchroniczną Minrego, która wywarła znaczny wpływ na całą muzykę nowoczesną. Duża część informacji w filmie jest przekazywana podprogowo za pośrednictwem muzyki. Rzecz dzieje się w alternatywnych Stanach Zjednoczonych za prezydentury niejakiego Ferrisa F. Fremounta.

— Ale co to jest ten Valis? — spytał Emmanuel.

— Sztuczny satelita wysyłający hologram, który ludzie biorą za rzeczywistość.

— Jest to więc generator rzeczywistości.

— Tak — przyznał Elias.

— Czy ta rzeczywistość jest autentyczna?

— Nie, mówiłem, że to hologram. Yalis każe ludziom widzieć to, co chce, żeby widzieli. To jest cały sens filmu. Pokazać potęgę złudzenia.

Wracając do swojego pokoju, Emmanuel wyjął tabliczkę, którą mu dała Zina, i nacisnął guzik.

— Co robisz? — spytał Elias, który szedł za nim.

Na tabliczce świeciło się tylko jedno słowo:

NIE

— To jest podłączone do rządu — powiedział Elias. — Nie ma sensu tego używać. Wiedziałem, że Plaudet da ci coś takiego. Daj mi to — wyciągnął rękę.

— Chcę to mieć — powiedział Emmanuel.

— Wielki Boże, tu jest napisane IBM! Czy myślisz, że dowiesz się z tego prawdy? Czy rząd kiedykolwiek powiedział komuś prawdę? To oni zabili twoją matkę i zamrozili twojego ojca. Daj mi to, do diabła.

— Jeżeli mi zabierzesz te tabliczkę, to dadzą mi drugą.

— Chyba rzeczywiście. — Elias cofnął rękę. — Ale nie wierz tej tabliczce.

— Ona mówi, że mylisz się w sprawie Valis.

— W jaki sposób?

— Powiedziała tylko „nie”. Nic więcej. — ponownie wcisnął guzik.

## TY

— Co to ma, do diabła, znaczyć! — zdziwił się Elias.

— Nie wiem — powiedział Emmanuel zgodnie z prawdą. Będę z niej korzystał, pomyślał.

A potem pomyślał: ona mnie zwodzi. Tańczy na ścieżce jak błędny ognik, prowadząc mnie na manowce, coraz dalej w ciemność. A potem, kiedy już ciemno będzie ze wszystkich stron, błędny ognik zgaśnie. Znam cię, pomyślał o tabliczce. Znam twoje sposoby. Nie pójdę za tobą, to ty masz przyjść do mnie.

Nacisnął guzik.

## IDŹ ZA MNĄ

— Tam, skąd nikt nie wraca — powiedział Emmanuel.

Po kolacji spędził trochę czasu przy holoskopie, studiując najcenniejszą własność Eliasa: Biblię przedstawioną w postaci coraz głębszych warstw hologramu, ułożonych stosownie do wieku. W ten sposób całkowita struktura Pisma Świętego tworzyła trójwymiarowy kosmos, który można było oglądać pod dowolnym kątem i zapoznawać się z jego treścią. W zależności od nachylenia osi obserwacji można było uzyskać odmienne przesłania. Dzięki temu Pismo służyło nieskończoną wiedzą, która zmieniała się nieustannie. Stało się ono cudownym dziełem sztuki, pięknym dla oka i wprost niezwykłym w swojej pulsacji kolorów, w której przelewały się czerwień i złoto z pasmami błękitu.

Symbolika kolorystyczna nie była przypadkowa, lecz sięgała do wczesnośredniowiecznych romańskich malowideł. Czerwień zawsze reprezentowała Ojca, błękit był kolorem Syna, złoto zaś, oczywiście, Ducha Świętego. Zieleń oznaczała nowe życie wybranych, fiolet symbolizował żałobę, brązowy był kolorem wytrwałości i cierpienia, biały kolorem światła i wreszcie czarny reprezentował siły ciemności, śmierć i grzech.

Wszystkie te kolory można było znaleźć w hologramie utworzonym przez Biblię wzdłuż osi czasu. W połączeniu z fragmentami tekstu powstawały skomplikowane przesłania, wciąż przetwarzane, formułowane na nowo. Emmanuel mógł godzinami wpatrywać się w hologram. Dla niego, podobnie jak dla Eliasa, był to hologram hologramów, najważniejszy ze wszystkich. Kościół chrześcijańsko-islamski nie zezwalał na przetwarzanie Biblii w kodowane kolorami hologramy, zakazując ich produkcji i sprzedaży. Dlatego też Elias sporządził ten hologram sam, bez oficjalnej zgody.

Był to hologram otwarty, pozwalający na wprowadzanie nowych informacji. Emmanuel to zastanowiło, ale nic nie powiedział. Wyczuwał jakąś tajemnicę, ponieważ jednak Elias nie mógł mu odpowiedzieć, nie pytał go.



Mógł jednak na klawiaturze podłączonej do hologramu wystukać kilka kluczowych słów Pisma, po czym hologram zorganizowałby się wzdłuż wszystkich swoich osi przestrzennych pod kątem widzenia cytatu. W ten sposób cały tekst Biblii odniósłby się do zapisanej informacji.

— A co by się stało, gdybym wprowadził do hologramu coś nowego? — spytał któregoś dnia Eliasa.

— Nigdy tego nie rób — powiedział Elias surowo.

— Ale jest to technicznie możliwe.

— Tego nie wolno robić.

Chłopiec często się nad tym zastanawiał.

Wiedział, oczywiście, dlaczego Kościół chrześcijańsko-islamski nie pozwalał przedstawiać Biblii w postaci kodowanego kolorami hologramu. Jeżeli się nauczyło stopniowo odchyłać oś czasową, oś prawdziwej głębi, aż kolejne warstwy nałożą się na siebie, można było odczytać nowe, pionowe przesłanie. W ten sposób wchodziło się w dialog z Pismem, które ożywało, stawało się inteligentną, nigdy nie powtarzającą się istotą. Kościół chrześcijańsko-islamski chciał, oczywiście, żeby zarówno Biblia, jak i Koran, były raz na zawsze zamknięte. Gdyby Pismo wymknęło się spod kontroli Kościoła, jego monopol zostałby złamany.

Decydującym czynnikiem było tu nakładanie się warstw, a to dawało się osiągnąć wyłącznie w hologramie. Mimo to Emmanuel wiedział, że kiedyś, dawno temu, Pismo zostało w ten sposób rozszyfrowane. Spytany o to Elias wypowiadał się bardzo niechętnie. Chłopiec nie nalegał.

Rok wcześniej wydarzył się w kościele wielce kłopotliwy incydent. Elias zabrał chłopca na czwartkową mszę. Emmanuel, jako nie bierzmowany, nie mógł przystąpić do komunii i podczas gdy inni zebrali się przy barierce, on modlił się pochylony. Kiedy kapłan przechodził z kielichem od osoby do osoby, zanurzając opłatek w świeconym winie i mówiąc „Krew naszego Pana Jezusa Chrystusa...”, Emmanuel poderwał się w ławce i stwierdził spokojnie i dobitnie:

— Nie ma tam krwi ani ciała.

Kapłan zastygł i spojrzał na tego, kto to powiedział.

— Nie masz prawa — stwierdził Emmanuel, po czym odwrócił się i wyszedł z kościoła. Elias zastał go w samochodzie, słuchającego radia.

— Nie wolno ci robić takich rzeczy — mówił Elias, kiedy jechali do domu. — Założą na ciebie kartotekę, a tego nie chcemy. — Był wściekły.

— Widziałem — powiedział Emmanuel. — To był tylko opłatek i wino.

— Masz na myśli to, co przypadkowe. Ale istota była...

— Nie było żadnej innej istoty poza widzialną postacią — odpowiedział Emmanuel.

— Cud się nie zdarzył, bo ten kapłan nie był kapłanem.

Dalej jechali w milczeniu.

— Czy zaprzeczasz cudowi transsubstancjacji? — spytał Elias tego wieczoru, kładąc chłopca do łóżka.

— Zaprzeczam, że cud zdarzył się dzisiaj — powiedział Emmanuel. — W tym miejscu. Więcej tam już nie pójdę.

— Chodzi mi o to — mówił Elias — żebyś był chytry jak wąż i niewinny jak gołąbek.

Emmanuel mierzył go spojrzeniem.

— Oni zabili...

— Nie mają władzy nade mną — powiedział Emmanuel.

— Mogą cię zniszczyć. Mogą sprowokować następny wypadek. W przyszłym roku mam obowiązek oddać cię do szkoły. Na szczęście z powodu uszkodzenia mózgu nie będziesz musiał iść do zwykłej szkoły. Liczę na to, że... — Elias się zawahał.

— Że moją inność zaliczą na karb tego uszkodzenia mózgu — dokończył Emmanuel.

— Otóż to.

— Czy to uszkodzenie było zamierzone?

— Ja... Może.

— Jest chyba wygodne. — Gdybym tylko znał swoje imię, pomyślał. — Dlaczego nie możesz zdradzić mojego imienia? — spytał Elias.

— Twoja matka to zrobiła — powiedział Elias zagadkowo.

— Moja matka nie żyje.

— Sam je kiedyś wypowiesz.

— Nie mogę się doczekać. — Nagle przyszła mu do głowy dziwna myśl. — Czy ona umarła dlatego, że wypowiedziała moje imię?

— To możliwe.

— I dlatego nie chcesz go wymówić? Bo to by cię zabiło? A mnie nie?

— To nie jest imię w zwykłym tego słowa znaczeniu. To rozkaz.

Wszystko to pozostawało w jego umyśle. Imię, które nie było imieniem, lecz rozkazem. Przypomniało mu to Adama, który dał nazwy zwierzętom. Pismo mówi:

*Pan Bóg przyprowadził je do mężczyzny, aby przekonać się, jaką on da im nazwę.*

— Czy Bóg wiedział, jak człowiek je nazwie? — spytał któregoś dnia Elias.

— Tylko człowiek ma język — wyjaśnił Elias. — Tylko człowiek może dać początek językowi. Poza tym... — przyjrzał się chłopcu — nadając imiona zwierzętom, człowiek ustanowił swoją władzę nad nimi.

Nadając nazwę, bierzemy w posiadanie, uświadomił sobie Emmanuel. Dlatego nikt nie może wymawiać mojego imienia, ponieważ nikt nie powinien, albo nie może, używać władzy nade mną.

— Zatem Bóg zabawił się z Adamem — powiedział. — Chciał sprawdzić, czy człowiek zna ich właściwe imiona. Sprawdzał człowieka. Bóg lubi takie zabawy.

— Nie jestem pewien, czy znam odpowiedź na to pytanie — powiedział Elias.

— To nie było pytanie, tylko stwierdzenie.

— Nie jest to cecha, którą zazwyczaj kojarzymy z Bogiem.

— Zatem istota Boga jest znana.

— Jego istota nie jest znana.

— On lubi gry i zabawy. W Piśmie powiedziane jest, że Bóg odpoczywał, ale ja mówię, że on się bawił.

Chciał wprowadzić to do hologramu Biblii jako uzupełnienie, ale wiedział, że nie wolno mu tego robić. Zastanawiał się, jakby to zmieniło cały hologram. Dodać do Tory, że Bóg lubi się bawić... To dziwne, pomyślał, że nie wolno mi tego dodać. Ktoś powinien to wprowadzić, to musi się znaleźć w Piśmie. Któregoś dnia.

Dowiedział się o bólu i śmierci od brzydkiego, zdychającego kundla, który został potrącony przez samochód i leżał na poboczu drogi ze zmiążdżoną klatką piersiową, tocząc krwawą pianę z pyska. Kiedy chłopiec pochylił się nad nim, pies skierował na niego szklane oczy, oczy, które widziały już inny świat.

Chcąc zrozumieć, co pies ma do powiedzenia, położył dłoń na kikucie jego ogona.

— Kto skazał cię na taką śmierć? — spytał psa. — Co takiego zrobiłeś?

— Nic nie zrobiłem — powiedział pies.

— Ale to okrutna śmierć.

— Mimo to jestem niewinny.

— Czy kiedyś zabiłeś?

— O tak. Moje szczęki są przeznaczone do zabijania. Zostałem stworzony do zabijania mniejszych stworzeń.

— Zabijasz dla jedzenia czy dla przyjemności?

— Zabijam dla uciechy — powiedział pies. — To jest zabawa, to moja gra.

— Nic nie wiedziałem o takich grach — powiedział Emmanuel. — Dlaczego psy zabijają i dlaczego psy umierają? Dlaczego są takie gry?

— Te subtelności są nie dla mnie — odpowiedział mu pies. — Zabijam dla zabijania, umieram, bo muszę. To jest konieczność, zasada wieńcząca wszystkie zasady. A ty, czy żyjesz, zabijasz i umierasz zgodnie z tą zasadą? Na pewno tak. Też jesteś stworzeniem.

— Ja robię to, co chcę.

— Okłamujesz sam siebie — powiedział pies. — Tylko Bóg robi to, co chce.

— Wobec tego widocznie jestem Bogiem.  
— Ulecz mnie, jeżeli jesteś Bogiem.  
— Podlegasz przecież prawu.  
— Ty nie jesteś Bogiem.  
— Bóg ustanowił to prawo, psie.  
— Powiedziałeś to więc nam, odpowiedziałeś na swoje własne pytanie. Teraz pozwól mi umrzeć.

Kiedy opowiadał Eliasowi o psie, który umarł, Elias zacytował:

*Przechodniu, powiedz Sparcie, tu leżym, jej syny,  
Prawom jej do ostatniej swej wierni godziny.*

— To z nagrobka Spartan, którzy zginęli w Termopilach — powiedział.  
— Dlaczego mi to mówisz? — spytał Emmanuel.

*Przechodniu, powiedz Sparcie, że tutaj leżymy,  
Prawom naszym do końca posłuszne jej syny.*

— Czy chodzi ci o psa? — spytał Emmanuel.  
— Chodzi mi o psa.  
— Nie ma różnicy między zdechłym psem w rowie a Spartanami, którzy zginęli w Wąwozie Termopilskim. Żadnej. Rozumiem.  
— Jeżeli potrafisz zrozumieć, dlaczego zginęli Spartanie, potrafisz zrozumieć wszystko — powiedział Elias.

*Stań przechodniu, nie szczędź chwili,  
Tu leżą obrońcy Termopili.*

— Czy nie ma dwuwiersza dla psa? — spytał Emmanuel.

*Zatrzymaj się, to ważna sprawa.  
Dla psa i Spartan te same prawa.*

— Dziękuję — powiedział Emmanuel.  
— Jakie były ostatnie słowa psa? — spytał Elias.  
— Pies powiedział: „Teraz pozwól mi umrzeć”.  
Elias znów zacytował:

*Lasciate mimorire!*  
*E chi volete voi che mi conforte*  
*In cosi dura sorte,*  
*In cosi gran martire?*

— Co to jest? — spytał Emmanuel.

— Najpiękniejszy utwór muzyczny skomponowany przed Bachem. Madrygał Monteverdiego *Lament Ariadny*. Słowa brzmią: „Pozwól mi umrzeć! Któż mógłby mnie pocieszyć w moim nieszczęściu i wielkim cierpieniu?”

— Zatem śmierć psa jest dziełem sztuki — powiedział Emmanuel. — Największym dziełem sztuki na świecie. Lub co najmniej celebrowanym i odnotowanym w sztuce przez duże S. Czy mam dostrzegać coś wzniosłego w starym, brzydkim kundlu przejechanym na drodze?

— Jeżeli wierzyć Monteverdiemu, to tak — powiedział Elias. — I tym, którzy cenią Monteverdiego.

— Czy ten lament ma dalszy ciąg?

— Tak, ale reszta nie ma tu zastosowania. Tezeusz porzucił Ariadnę, to kwestia nieszczęśliwej miłości.

— Co jest bardziej wstrząsające? — pytał Emmanuel. — Pies zdychający w rowie czy odtrącona Ariadna?

— Cierpienia Ariadny są wyimaginowane, psa prawdziwe.

— Cierpienie psa jest zatem większe — powiedział Emmanuel. — Jego tragedia jest większa. — Zrozumiał to. I, o dziwo, poczuł zadowolenie. To dobry wszechświat, w którym zdychający, brzydki kundel jest więcej wart niż klasyczna postać ze starożytnej Grecji. Poczuł, jak na wadze, która waży wszystko wraca zachwiana równowaga. Poczuł uczciwość wszechświata i wątpliwości opuściły go. Co ważniejsze, okazało się, że pies rozumiał swoją śmierć. Przecież pies nigdy nie słuchał muzyki Monteverdiego ani nie czytał dwuwiersza z kamiennej kolumny w Termopilach. Wzniosła sztuka jest dla tych, którzy ją przeżywają. Dla umierającego stworzenia ważniejszy jest łyk wody.

— Twoja matka nie znosiła pewnych rodzajów sztuki — odezwał się Elias.  
— W szczególności odrazę budziła w niej Linda Fox.

— Zagraj mi coś Lindy Fox — poprosił Emmanuel.

Elias włożył kasetę do odtwarzacza i obaj słuchali.

*Krynice rzewne, wolniej toczcie wody...*

— Dość — powiedział Emmanuel. — Wyłącz to. — Zatkanął sobie uszy rękami. — To okropne. — Wstrząsnął się.

— Co się stało? — Elias wziął chłopca w ramiona i przytulił. — Nigdy nie widziałem, żeby coś cię tak zdenerwowało.

— On tego słuchał, kiedy moja matka umierała! — Chłopiec wpatrywał się w brodatą twarz Eliasa.

Pamiętam, pomyślał Emmanuel. Zaczynam sobie przypominać, kim jestem.

— Co się dzieje? — powiedział Elias, przyciskając chłopca do piersi.

Zaczął się, uświadomił sobie Emmanuel. Nareszcie. To był pierwszy z sygnałów, które ja... ja sam... przygotowałem. Wiedząc, że prędzej czy później zadziałają.

Chłopiec i mężczyzna patrzyli sobie w oczy. Żaden z nich się nie odzywał. Drżąc na całym ciele Emmanuel, żeby nie upaść, trzymał się z całej siły starego brodacza.

— Nie bój się — powiedział Elias.

— Elias — wyszeptał chłopiec. — Ty jesteś Elias, który przychodzi przed wielkim i strasznym dniem.

Elias, tuląc chłopca i czule go kołysząc, powiedział:

— Ty nie musisz się niczego obawiać w tym dniu.

— Ale on musi. Adwersarz, którego nienawidzimy. Nadszedł jego czas. Boję się za niego, bo teraz już wiem, co się wydarzy.

— Posłuchaj — powiedział Elias cicho.

*Ty, który byłeś gwiazdą najjaśniejszą,  
spadłeś z nieba na ziemię.*

*Leżysz teraz, bezradny, w zgiełku jej narodów.*

*Nie taki był twój zamysł.*

*„Szturmem niebiosą zdobędę,*

*gwiazdom narzucę moje panowanie,*

*na górze, w miejscu bogom należnym zasiędnę*

*na najdalszych kresach północy.*

*Potem wzniosę się wyżej, nad ławice chmur,*

*i takim się stanę jak On”.*

*Teraz czeka cię Szeol. Tam będziesz strącony:*

*w bezdenną otchłań.*

*Lecz przedtem gawiedź będzie cię oglądać,*

*gapić na ciebie i twój los roztrząsać\* [\*Przełożył Janusz Jęczyński].*

— Widzisz? — powiedział Elias. — On jest tutaj. To jest jego miejsce, ten mały świat. Przed dwoma tysiącami lat uczynił go swoją fortecą i zbudował więzienie dla ludzi, jak kiedyś w Egipcie. Przez dwa tysiące lat ludzie płakali i znikąd nie było pomocy. Ma ich wszystkich. I myśli, że jest bezpieczny.

Emmanuel, przytulony do starca, wybuchnął płaczem.

— Wciąż się boisz? — spytał Elias.

— Płaczę razem z nimi. Płaczę z moją matką. Płaczę ze zdychającym psem, który nie płakał. Płaczę za nich. I za Beliala, który upadł, jak jasna gwiazda poranna. Upadł z nieba i zaczął to wszystko.

Płaczę też za siebie, pomyślał. Bo jestem moją matką, jestem tym zdychającym psem i wszystkimi cierpiącymi ludźmi. Jestem, pomyślał, tą jasną poranną gwiazdą... nawet Belialem. Jestem tym wszystkim i tym, czym się to stało.

Starzec trzymał go mocno.



## 7

Kardynał Fulton Statler Harms, naczelny prałat rozległej organizacji obejmującej Kościół chrześcijańsko-islamski, nie rozumiał, jak to możliwe, że jego specjalny fundusz reprezentacyjny nie wystarczy na pokrycie wydatków jego kochanki.

Podczas gdy fryzjer golił go wolno i starannie, zastanawiał się, czy nie ma zbyt słabego wyobrażenia o potrzebach Deirdre.

Początkowo to ona zbliżyła się do niego; zadanie samo w sobie nieproste, gdyż wymagało pokonania hierarchii szczebel po szczeblu tak, żeby nie spaść przed osiągnięciem szczytu. Deirdre reprezentowała wówczas Światowe Forum Swobód Obywatelskich i miała listę ich naruszeń. Nie bardzo pamiętał, jak do tego doszło, dość, że wylądowali w łóżku, i teraz, oficjalnie, Deirdre pełniła funkcję kierowniczkę jego sekretariatu.

Za swoją pracę pobierała dwa wynagrodzenia: jedno widoczne, związane z pracą, i drugie, niewidoczne, pochodzące z zasobnego konta, którym Harms mógł rozporządzać według swojej woli. Co się działo z tymi wszystkimi pieniędzmi z chwilą, kiedy trafiały w ręce Deirdre, Harms nie miał najmniejszego pojęcia. Księgowość nigdy nie była jego mocną stroną.

— Czy ojciec życzy sobie usunąć tę żółtą plamę? — spytał golibroda, wstrząsając zawartością flakonika.

— Bardzo proszę. — Harms skinął głową.

— Czy ojciec myśli, że Lakersi przerwą pasmo porażek? Przecież kupili ostatnio tego... jak mu tam, co ma dwa metry osiemdziesiąt. Gdyby nie zgromadzili...

— Słucham wiadomości, Arnoldzie — powiedział Harms, pukając się w ucho.

— Rozumiem, ojcze — powiedział Arnold, spryskując wodą utlenioną siwiejące włosy naczelnego prałata. — Ale jest coś, o co chciałem ojca spytać. Chodzi o kapłanów homoseksualistów. Czy Biblia nie zabrania homoseksualizmu? Nie bardzo widzę, jak kapłan może być praktykującym homoseksualistą.

Wiadomości, których Harms usiłował słuchać, dotyczyły stanu zdrowia prokuratora maksimuma Światopoglądu Naukowego Nicholasa Bulkowsky'ego. Zostało zorganizowane w jego intencji uroczyste czuwanie modlitewne, ale Bulkowsky uparcie nie reago-

wał. Harms wysłał *sub rosa* swojego osobistego lekarza, żeby dołączył do grona specjalistów ratujących życie prokuratora.

Bulkowsky, jak wiedział nie tylko kardynał Harms, ale i całe duchowieństwo, był wierzącym chrześcijaninem. Został nawrócony przez charyzmatycznego ewangelistę doktora Colina Passima, który podczas swoich spotkań z wiernymi często wzbijał się w powietrze w dramatycznej demonstracji przepełniającej go mocą Ducha Świętego.

Naturalnie doktor Passim nie był już całkiem sobą, odkąd przeleciał przez ogromny witraż katedry w Metz we Francji. Poprzednio zdarzało mu się mówić językami, a teraz mówił wyłącznie językami.

Pewien popularny satyryk telewizyjny zaproponował nawet opracowanie słownika glossolaliczno-angielskiego, żeby można zrozumieć, co doktor Passim mówi. To z kolei wywołało takie oburzenie wśród wiernych, że kardynał Harms zapisał sobie gdzieś w swoim terminarzu, żeby przy okazji obłożyć satyryka klątwą. Jak zwykle jednak nie miał głowy do takich drobiazgów.

Kardynał Harms znaczną część czasu poświęcał na swoje tajne hobby: wprowadzał do wielkiego systemu sztucznej inteligencji, zwanego Wielkim Bałwanem, „Proslogion” świętego Anzelma w nadziei wskrzeszenia dawno zakwestionowanego ontologicznego dowodu na istnienie Boga.

Sięgnął wprost do Anzelma i oryginalnego sformułowania argumentu, nie zaśmieconego późniejszymi wtrętami:

*Wszystko, co człowiek rozumie, jest w jego intelekcie. Otóż to, od czego nic większego nie może być pojęte, nie może istnieć tylko w intelekcie. W istocie bowiem istnieć w rzeczywistości to coś więcej, niż istnieć tylko w intelekcie. Gdyby zatem to, od czego nie można sobie pomyśleć nic większego, istniało tylko w intelekcie, wówczas to, od czego nic większego nie można sobie pomyśleć, było tym, od czego coś większego można sobie pomyśleć, a to jest sprzeczność. Byt, od którego nic większego nie można pojąć, z konieczności zatem istnieje zarówno w intelekcie, jak i w rzeczywistości.*

Jednak Wielki Bałwan wiedział wszystko na temat świętego Tomasza, Kartezjusza, Kanta, Russella i ich krytyki, posiadał również zdrowy rozsądek, poinformował więc Harmsa, że dowód Anzelma nie trzyma się kupy i analizując go strona po stronie, wykazał dławczego. Odpowiedź Harmsa polegała na skasowaniu analizy Wielkiego Bałwana i podparciu się obroną Anzelma w wykonaniu Hartshorne’a i Malcolma, a mianowicie, że istnienie Boga jest albo logicznie konieczne, albo logicznie niemożliwe. Ponieważ nie zostało dowiedzione, że jest niemożliwe, to znaczy, że pojęcie takiego bytu nie wykazuje sprzeczności wewnętrznej, musimy zatem z konieczności przyjąć, że Bóg istnieje.

Oparłszy się na tym wyświechtanym argumencie, Harms wysłał kopię gorącą linią do chorego prokuratora maksimusa, żeby dodać ducha swojemu współwładcy.

— A teraz weźmy Gigantów — mówił Arnold golibroda, bohatersko walcząc ze śladami żółtego koloru we włosach kardynała. — Ja uważam, że nie można ich skreślić. Spójrzmy choćby na zeszłoroczne wyniki Eddiego Tubba. Prawda, że ma kontuzję ręki, ale narzucacze zawsze mają kontuzje ręki.

Dla naczelnego prałata kardynała Fultona Statlera Harmsa rozpoczął się nowy dzień: próbował wysłuchać porannych wiadomości,; rozważając jednocześnie swój projekt związany ze świętym Anzelmem i usiłując nie słyszeć baseballowych rozważań Arnolda. To była jego poranna konfrontacja z rzeczywistością, jego dzień powszedni. Jedyne, czego brakowało do platońskiego, archetypowego obrazu tego dnia, to obowiązkowa i daremna próba rozszyfrowania tajemnicy wydatków Deirdre.

Był na to przygotowany. Za kulisami czekała nowa kandydatka. Deirdre nie podejrzewała, że jest na wylocie.

W swojej letniej rezydencji nad Morzem Czarnym prokurator maksimus chodził po pokoju, czytając najnowszy raport Deirdre Connell na temat naczelnego prałata. Nie miał żadnych kłopotów ze zdrowiem; pozwolił, żeby wiadomości o jego „chorobie” przeciekły do mediów po to, żeby usidlić swojego współwładcę w sieć sterowanych kłamstw. To dało mu czas na studiowanie analizy codziennych raportów Deirdre Connell przez jego służby specjalne. Jak dotychczas wśród wszystkich osób z najbliższego kręgu prokuratora panowała poparta faktami opinia, że kardynał Harms stracił kontakt z rzeczywistością i zagubił się w idiotycznych teologicznych poszukiwaniach, które odwodziły go coraz dalej od jakiegokolwiek kontroli nad sytuacją polityczną i ekonomiczną, czym formalnie powinien się zajmować.

Fałszywe doniesienia o stanie jego zdrowia dawały również prokuratorowi czas na łowienie ryb, opalanie się i odpoczynek, a także na rozmyślania, jak pozbyć się kardynała i wsadzić na stanowisko naczelnego prałata jednego ze swoich ludzi. Bulkowsky miał w kurii sporo dobrze wyszkolonych i pełnych zapału funkcjonariuszy Światopoglądu Naukowego. Dopóki Deirdre Connell pełniła funkcje szefowej sekretariatu i kochanki kardynała, Bulkowsky miał przewagę. Był prawie pewien, że Harms nie ma nikogo w kierownictwie Światopoglądu Naukowego, a zatem brak mu porównywalnego dojścia do informacji. Bulkowsky nie miał kochanki, był człowiekiem rodzinnym, z pulchną, podstarzałą żoną i trójką dzieci uczęszczających do prywatnych szkół w Szwajcarii. W dodatku jego nawrócenie na entuzjastyczny bełkot doktora Passima (cud unoszenia się w powietrzu został, rzecz jasna, sprokurowany środkami technicznymi) było strategicznym oszustwem, mającym na celu jeszcze głębsze pogrążenie kardynała w jego mrzonkach.

Prokurator doskonale wiedział o próbach skłonienia Wielkiego Bałwana do potwierdzenia ontologicznego dowodu na istnienie Boga autorstwa świętego Anzelma; sprawa była przedmiotem żartów w regionach zdominowanych przez Światopogląd Naukowy. Deirdre Connell została poinstruowana, żeby zachęcała swojego starzejącego się kochanka do poświęcenia coraz więcej czasu jego wzniosłemu zadaniu.

Jednak Bulkowsky, mimo że mocno osadzony w rzeczywistości, też nie potrafił rozwiązać pewnych problemów, które ukrywał przed swoim współwładcą. W ostatnich miesiącach zmniejszył się dopływ młodzieży do ŚN, podczas gdy coraz więcej studentów, nawet z nauk ścisłych, przystępowało do Kościoła, odrzucając znaczek z sierpem i młotem, żeby przyjąć, krzyż. Szczególnie dotkliwy okazał się niedobór specjalistów kosmicznych, w rezultacie czego trzeba było porzucić trzy orbitalne arki ŚN wraz z ich mieszkańcami. Ta wiadomość nie dotarła do mediów, gdyż mieszkańcy zginęli. Żeby ochronić publiczność przed tą ponurą wiadomością, zmieniono oznakowanie pozostałych arek. Na wydrukach komputerowych nie było żadnych oznak katastrofy, sytuacja sprawiała wrażenie normalnej.

Przynajmniej wyeliminowaliśmy tego Colina Passima, rozmyślał Bulkowsky. Facet, który gada jak nagranie kaczki puszczone od tyłu, nie stanowi zagrożenia. Kaznodzieja, nie podejrzewając tego, padł ofiarą najnowszej broni Światopoglądu Naukowego, dzięki czemu układ sił światowych nieco się przesunął. Takie drobne kroczki sumują się w końcu. Weźmy, na przykład, agentkę ŚN pozostawioną jako kochanka i sekretarka kardynała. Gdyby nie to...

Bulkowsky czuł się bardzo pewny siebie. Dialektyczna siła konieczności historycznej jest po jego stronie. Za pół godziny może spocząć na swoim wodnym łożu ze świadomością, że sytuacja światowa jest opanowana.

— Koniak — rozkazał robotowi dyżurnemu. — Courvoisier Napoleon.

Kiedy stał przy biurku, ogrzewając w dłoniach kieliszek, do gabinetu weszła jego żona Galina.

— Nie umawiaj się z nikim na czwartek wieczór — powiedziała. Generał Jakir urzęduje recital dla dyplomatów. Wystąpi amerykańska śpiewaczka Linda Fox. Jakir nas oczekuje.

— Oczywiście. Przygotuj róże na zakończenie występu — powiedział Bulkowsky, po czym zwrócił się do pary dyżurnych robotów. — Dopilnujcie, żeby kamerdyner mi przypomniał.

— Tylko nie zaśnij podczas koncertu. Jakir by się obraził. Pamiętaj, jak było ostatnim razem.

— To okropieństwo Pendereckiego — Bulkowsky pamiętał. Chrapał podczas *Quia Fecit z Magnificat* i w tydzień później przeczytał o swoim zachowaniu w raportach wywiadu.

— Pamiętaj, że dla kół dobrze poinformowanych jesteś nawróconym chrześcijaninem. Co zrobiłeś z osobami odpowiedzialnymi za utratę trzech arek?

— Wszyscy nie żyją — powiedział Bulkowsky. Kazał ich rozstrzelać.

— Mógłbyś zatrudnić na ich miejsce ludzi ze Zjednoczonego Królestwa.

— Wkrótce będziemy mieli własnych. Nie mam zaufania do tego, co nam przysłała Zjednoczone Królestwo. Wszyscy są dziś na sprzedaż. Na przykład, ile chce ta śpiewaczka za swoją decyzję?

— Sytuacja jest zagmatwana — powiedziała Galina. — Czytałam raport wywiadu. Kardynał proponuje jej znaczną sumę za przystąpienie do Kościoła, nie sądzę, żebyśmy musieli dawać więcej.

— Ale jeżeli tak popularna artystka wystąpi i ogłosi, że ujrzała białe światło i przyjęła słodkiego Jezusa do swego życia...

— Ty to zrobiłeś.

— Ale wiesz dlaczego. — Tak jak przyjął Jezusa uroczyście i z wielką pompą, tak teraz oświadczy, że odrzuca Jezusa i, zmądrzawszy, wraca na łono Światopoglądu Naukowego. To będzie miażdżący cios dla kurii i dla samego kardynała. Morale naczelnego prałata zostanie, zdaniem psychologów ŚN, zrujnowane. Ten człowiek naprawdę sądził, że pewnego dnia wszyscy wyznawcy Światopoglądu Naukowego zgłoszą się do biur Kościoła chrześcijańsko-islamskiego, żeby się nawrócić.

— A co z tym lekarzem, którego on ci przysłał? — spytała Galina. — Czy są jakieś kłopoty?

— Żadnych. — Potrząsnął głową. — Fałszywe wyniki badań dają mu zajęcie. — W rzeczywistości informacje medyczne, dostarczane regularnie lekarzowi przysłanemu przez kardynała, nie były fałszywe. Po prostu dotyczyły kogoś innego, jakiegoś pomniejszego funkcjonariusza ŚN, który faktycznie chorował. Bulkowsky, powołując się na etykę lekarską, kazał lekarzowi Harmsa złożyć przysięgę o dochowaniu tajemnicy, ale rzecz jasna, doktor Duffey w tajemnicy przy każdej okazji przekazywał kardynałowi szczegółowe meldunki o stanie zdrowia prokuratora. Służby specjalne Światopoglądu Naukowego rutynowo je przechwytywały, sprawdzały, czy przedstawiają wystarczająco ponury obraz, robiły kopię i wysyłały dalej. Z reguły te komunikaty lekarskie wędrowały sygnałem mikrofalowym na orbitę do satelity komunikacyjnego ŚN, a stamtąd przekazywano je do Waszyngtonu. Czasami jednak doktor Duffey w okresowych napadach bystrości wysyłał informacje pocztą, co było trudniejsze do skontrolowania.

Przekonany, że ma do czynienia z człowiekiem chorym i kimś, kto opowiedział się za Jezusem, kardynał osłabił czujność wobec poczynań ŚN. Uważał teraz, że prokurator jest beznadziejnie niekompetentny.

— Jeżeli Linda Fox nie opowie się za Światopoglądem Naukowym — mówiła Galina — to może weźmiesz ją gdzieś na stronę i powiesz jej, że któregoś dnia w drodze na

koncert jej prywatna rakietą, ta ekscentryczna zabawka, którą lata, może efektownie eksplodować.

— Kardynał dotarł do niej pierwszy — stwierdził ponuro Bulkowsky. — Dał jej do zrozumienia, że jeżeli nie przyjmie słodkiego; Jezusa do swojego życia, to dwuchlorydy znajdą do niej drogę, czy będzie chciała, czy nie.

Taktyka otrucia Lindy Fox małymi dawkami związków rtęci była bardzo chytra. Na długo przed śmiercią byłaby „szalona jak kapelusznik”, jak mówią Anglicy. W tym przypadku dosłownie, bo to zatrucie rtęcią używaną w produkcji filcowych kapeluszy w dziewiętnastym wieku wywoływało u angielskich kapeluszników słynne psychozy organiczne.

Szkoda, że mnie to nie przyszło do głowy, pomyślał Bulkowsky. Meldunek wywiadu stwierdzał, że śpiewaczka wpadła w histerię, kiedy agent Kościoła poinformował ją, co zamierza kardynał, jeżeli ona nie opowie się za Jezusem. Po ataku hysterii przyszła chwilowa hipotermia, po czym odmówiła zaśpiewania na następnym koncercie przewidzianej w programie piosenki Skala wieków.

Z drugiej strony, myślał, kadm byłby lepszy od rtęci, bo jest trudniejszy do wykrycia. Tajna policja Światopoglądu Naukowego używała od pewnego czasu z dobrym skutkiem śladowych ilości kadmu w eksperymentach na więźniach.

— Więc pieniądze nie wchodzi w grę — powiedziała Galina.

— Nie wykluczałbym tego. Jej ambicją jest wykupienie wielkiego Los Angeles.

— Ale jeżeli ona zginie, będą szemrać koloniści. Oni są od niej uzależnieni.

— Linda Fox nie jest osobą. Ona jest zbiorem osób, typem. Jest dźwiękiem, jaki wydaje sprzęt elektroniczny, bardzo skomplikowany sprzęt elektroniczny. Jest więcej takich jak ona, zawsze takie będą. Można je produkować seryjnie, jak opony.

— W takim razie nie proponuj jej zbyt dużych pieniędzy — roześmiała się Galina.

— Właściwie, to mi jej żal — powiedział Bulkowsky. — Jakie to uczucie, zadał sobie pytanie, kiedy się nie istnieje? To sprzeczność w założeniu. Czuć to przecież istnieć. Może więc ona nie czuje. Bo to, że nie istnieje, jest faktem. Nie naprawdę. Kto, jak kto, ale my to wiemy. My ją pierwsi wymyśliliśmy.

Albo raczej to Wielki Bałwan pierwszy wymyślił Fox. To system sztucznej inteligencji wynalazł ją, powiedział jej, co ma śpiewać i jak. Wielki Bałwan robił dla niej aranżacje, nawet ją miksował. I produkt był pełnym sukcesem.

Wielki Bałwan poprawnie odczytał emocjonalne zapotrzebowanie kolonistów i opracował formułę na zaspokojenie tych potrzeb. System sztucznej inteligencji prowadził na bieżąco sondaż, uzyskując sprzężenie zwrotne: kiedy potrzeby się zmieniały, zmieniała się Linda Fox. Tworzyło to zamkniętą pętlę. Gdyby nagle znikli wszyscy koloniści, Linda Fox przestałaby istnieć w mgnieniu oka. Wielki Bałwan wycofałby ją z obiegu, jak dokument wrzucony do niszcarki.



— Prokuratorze — odezwał się dyżurny robot, podjeżdżając do Bulkowsky'ego.  
— O co chodzi? — spytał poirytowany. Nie lubił, kiedy mu przerywano rozmowę z żoną.  
— Jastrząb — powiedział dyżurny robot.  
— Wielki Bałwan mnie wzywa — powiedział prokurator do żony. — Sprawa pilna. Wybacz. — Odszedł szybkim krokiem do tajnego gabinetu, gdzie czekał na niego starannie chroniony terminal systemu sztucznej inteligencji.  
Ekran pulsował w oczekiwaniu.  
— Ruchy wojsk? — spytał Bulkowsky, siadając przed ekranem.  
— Nie — odezwał się sztuczny głos Wielkiego Bałwana z charakterystyczną nieoznaczonością tonu. — Spisek w celu przemycenia przez Kontrolę Imigracyjną dziecka — potwora. Zamieszanych jest troje kolonistów. Widziałem płód kobiety. Szczegóły później — Wielki Bałwan przerwał połączenie.  
— Kiedy? — spytał Bulkowsky, ale komputer już go nie słyszał, bo się wyłączył. Do diabła, pomyślał. Nie okazuje mi zbyt wiele szacunku. Zanadto jest zajęty obalaniem ontologicznego dowodu na istnienie Boga.

Kardynał Fulton Statler Harms przyjął wiadomość od Wielkiego Bałwana ze zwykłą u niego pewnością siebie.

— Bardzo dziękuję — powiedział, kiedy komputer się wyłączył. Coś obcego, pomyślał. Jakiś wybryk natury, którego Bóg nigdy sobie nie życzył. To jest właśnie autentycznie paskudny aspekt migracji kosmicznej: wraca do nas nie to, co wysłaliśmy. Dostajemy stamtąd coś wynaturzonego.

Cóż, pomyślał, karzemy to zabić, chociaż chętnie zobaczę zapis jego mózgu. Ciekawe, co to jest tym razem. Wąż w jajku, pomyślał. Płód w kobiecie. Najstarsza historia opowiedziana na nowo, zwodnicze stworzenie.

*A wąż był bardziej przebiegły niż wszystkie zwierzęta lądowe, które Pan Bóg stworzył.*

Księga Rodzaju, rozdział trzeci, wers pierwszy. To, co się raz zdarzyło, nie powtórzy się teraz. Tym razem zdusimy zło w zarodku, niezależnie od tego, pod jaką postacią się pojawi.

Będę się za to modlił, pomyślał.

— Wybaczcie mi — zwrócił się do małego audytorium kapłanów oczekujących na audiencję w rozległym holu. — Muszę się na chwilę udać do kaplicy. Wynikła ważna sprawa.

Po chwili ukląkł w ciszy i półmroku, przy świecach płonących w odległych kątach, otaczających nimbem jego i całą kaplicę.



— Ojczy — modlił się — naucz nas rozpoznawać twoje drogi i iść w twoje ślady. Wspomagaj nas i strzeż ode Złego. Abyśmy przejrżeli i zrozumieli jego pokusy. Bo wielkie są jego szalbierstwa i przebiegłość takoz. Daj nam siłę, użycz nam swojej świętej mocy, aby dopaść go w jego kryjówce.

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi i to go nie zdziwiło. Ludzie pobożni zwracają się do Boga, a ludzie szaleni wyobrażają sobie, że Bóg im odpowiada. Odpowiedź musi nadejść z jego wnętrza, z jego własnego serca, choć, oczywiście, za sprawą Ducha. Zawsze tak jest.

Duch, działając w nim pod postacią jego własnych skłonności, potwierdzał jego pierwotny impuls. Przykazanie „Nie pozwolisz żyć czarownicy” obejmowało również przemyconego mutanta. „Czarownica” znaczyła tyle co „potwór”. Miał zatem oparcie w Piśmie.

Zresztą i tak był namiestnikiem Boga na Ziemi.

Na wszelki wypadek jednak sięgnął do swojego wielkiego egzemplarza Biblii, sprawdzając Księgę Wyjścia, rozdział dwudziesty drugi, wers siedemnasty.

*Nie pozwolisz żyć czarownicy.*

A potem, dla pewności, przeczytał wers następny.

*Ktokolwiek by obcował ze zwierzęciem, winien być ukarany śmiercią.*

Przeczytał też komentarz.

*Starożytne czarnoksiężstwo tonęło w zbrodni, grzechu i szalbierstwie, demoralizując ludzi poprzez odrażające praktyki i zabobony. Rozdział zaczyna się od ostrzeżenia przeciwko rozpucie, po czym przechodzi do potępienia przeciwnych naturze czynów i bałwochwalstwa.*

Tak, to niewątpliwie miało tu zastosowanie. Odrażające praktyki i zabobony. Rzeczy zrodzone ze stosunku z obcymi istotami na odległych planetach. Nie pozwolimy im przeniknąć na ten święty świat, pomyślał. Jestem przekonany, że mój kolega prokurator maksimum będzie tego samego zdania.

Nagle doznał olśnienia. To jest inwazja! To, o czym mówimy od, dwóch stuleci. Duch Święty mi mówi, że to jest to!

Przekłete piekielne nasienie, myślał, śpiesząc do swojego gabinetu, skąd miał bezpośrednio i pilnie strzeżone połączenie z prokuratorem.

— Czy chodzi o to dziecko? — spytał Bulkowsky, kiedy, prawie natychmiast, połączenie doszło do skutku. — Ja już jestem w łóżku. Sprawa może zaczekać do rana.

— To jest jakaś ohyda — powiedział kardynał Harms. — Księga Wyjścia, rozdział dwudziesty drugi, wers siedemnasty. „Nie pozw...”

— Wielki Bałwan nie pozwoli temu dotrzeć na Ziemię. Na pewno zatrzymał to na którymś z zewnętrznych punktów kontrolnych.

— Bóg nie życzy sobie potworów na najważniejszym ze swoich światów. Jako nawrócony chrześcijanin powinienes to wiedzieć.

— Jasne, że wiem — powiedział z oburzeniem Bulkowsky.

— Jakie instrukcje mam wydać Wielkiemu Bałwanowi?

— To raczej Wielki Bałwan wyda nam instrukcje, nie sądzisz? — spytał Bulkowsky.

— Będziemy musieli wymodlić sobie wyjście z tego kryzysu. Przyłącz się do mnie w modlitwie. Pochyl głowę.

— Żona mnie woła — powiedział Bulkowsky. — Pomodlimy się jutro. Dobranoc. — Odłożył słuchawkę.

O, Boże Izraela, modlił się Harms z pochyloną głową. Broń nas przed zaniedbaniem i złem, które z niego płynie. Zbudź duszę prokuratora, spraw, aby ocknął się w tej godzinie próby.

Jesteśmy poddawani duchowemu egzaminowi, modlił się, czuję to. Musimy udowodnić swoją wartość, odrzucając tę szatańską obecność. Użycz nam swojej mocy, daj nam miecz swojej siły. Daj nam siodło sprawiedliwości, abyśmy mogli dosiąć wierzchołca... Nie potrafił dokończyć tej myśli, była zbyt emocjonalna. Przyjdź nam z pomocą, dokończył i podniósł głowę. Przepęłniło go poczucie triumfu. Jakbyśmy schwytali coś, co trzeba zabić. Osaczyliśmy to coś i zabijemy je. Chwała niech będzie Panu!

## 8

Lot osiowy z wielką prędkością był dla Rybys Rommey zabójczy. Zjednoczone Linie Kosmiczne zapewniły jej pięć kolejnych miejsc, żeby mogła się położyć, ale mimo to le-dwo mogła mówić. Leżała na boku opatulona kocem.

— Cholerna biurokracja — powiedział ponuro Elias Tate, patrząc na nią. — Gdyby nas nie przetrzymano... — Skrzywił się na samą myśl.

Płód w łonie Rybys, teraz sześciomiesięczny, od dawna milczał. Co będzie, jeżeli płód umrze, zadawał sobie pytanie Herb Asher. Śmierć Boga... ale nie w sposób, jaki ktokol-wiek kiedykolwiek przewidywał. I nikt, oprócz niego, Rybys i Eliasa Tate'a nie będzie wiedział.

Czy Bóg może umrzeć? zastanawiał się. A z nim moja żona.

Ceremonia ślubna była krótka i rzeczowa, formalność pod okiem zarządu głębokie-go kosmosu bez żadnych religijnych czy moralnych podtekstów. Zarówno on, jak Rybys musieli się poddać szczegółowym badaniom lekarskim i jej ciąża została, rzecz jasna, wykryta.

— Ty jesteś ojcem? — spytał go lekarz.

— Tak — powiedział Herb Asher.

Lekarz uśmiechnął się i odnotował to w karcie.

— Uznaliśmy, że powinniśmy się pobrać — powiedział Herb.

— To właściwe podejście. — Lekarz był starszy, dobrze wychowany, chłodny i rze-czowy. — Czy wiesz, że to chłopiec?

— Tak. — W tej sprawie miał pewność.

— Jest jedna rzecz, której nie rozumiem — mówił lekarz. — Czy to było zapłodnie-nie naturalne? Czy nie było to czasem zapłodnienie sztuczne? Bo błona jest nienaru-szona.

— Naprawdę?

— Rzadko, ale to się zdarza. Tak więc z formalnego punktu widzenia twoja żona jest dziewicą.

— Naprawdę?

— Jest też bardzo chora. Ma stwardnienie rozsiane — powiedział lekarz.

— Wiem — stwierdził ze stoickim spokojem Herb Asher.

— Wiesz, że nie ma gwarancji wyleczenia. Uważam, że powrót na Ziemię jest w tej sytuacji doskonałym pomysłem i gorąco popieram to, że jej towarzyszysz, ale to może nic nie dać. Stwardnienie rozsiane to szczególna choroba. Osłonki włókien nerwowych zaczynają twardnieć, co w końcu prowadzi do nieodwracalnego paraliżu. Po dziesięcioleciach intensywnych badań udało nam się ustalić dwie przyczyny. Jedną z nich jest pewien mikroorganizm, ale, i to jest bardzo ważny czynnik, w grę wchodzi pewna postać alergii. Leczenie polega głównie na takim przekształceniu układu immunologicznego... Lekarz mówił dalej i Herb Asher udawał, że słucha. Wiedział już to wszystko, Rybys rozmawiała z nim na ten temat wielokrotnie, pokazywała mu też teksty, które dostawała od MED-a. Podobnie jak ona, stał się ekspertem od tej choroby.

— Czy mogę prosić o wodę? — wymamrotała Rybys, unosząc głowę. Twarz miała pokrytą plamami i spuchniętą, Herb Asher z trudnością ją zrozumiał.

Stewardesa przyniosła wodę w papierowym kubku. Elias z Herbem unieśli Rybys do pozycji siedzącej i podali jej kubek. Cała drżała.

— Już niedługo — powiedział Herb Asher.

— Chryste — jęknęła Rybys. — Chyba nie wytrzymam. Powiedzcie stewardesie, że będę znów wymiotować, niech przyniesie z powrotem tę miskę. Jezu. — Usiadła wyprostowana, z twarzą ściśniętą bólem.

Przyszła stewardesa i pochyliła się nad Rybys.

— Za dwie godziny uruchomimy silniki hamujące, gdybyś więc mogła wytrzymać...

— Wytrzymać? — spytała Rybys. — Ja nawet nie utrzymam tego, co przed chwilą wypiałam. Czy jesteś pewna, że ta cola nie była z czymś? Zrobiło mi się po niej gorzej. Nie macie lemoniady imbirowej? Gdybym się napiła lemoniady imbirowej, to może... Niech to cholera — zaklęła ze złością. — Niech to wszystko cholera. Po co to wszystko? — Spojrzała na Herba, potem na Eliasa.

Jan, pomyślał Herb Asher. Nie możesz nic zrobić? To sadyzm, pozwolić jej tak cierpieć.

W jego umyśle odezwał się głos. Z początku nie mógł zrozumieć, o co chodzi, słyszał słowa, ale nie pojmował ich sensu. „Zabierzcie ją do Ogrodu”, mówił głos.

Do jakiego Ogrodu? pomyślał.

„Weź ją za rękę”.

Herb Asher rozgarnawszy fałdy koca znalazł dłoń żony.

— Dziękuję — powiedziała Rybys i słabo uściśnęła jego rękę.

Po chwili, siedząc pochylony nad nią, zobaczył w jej oczach błysk, ujrzał w nich przestrzeń, jakby patrzył w coś pustego, obejmującego bezmierną dal. Gdzie ty jesteś, pomyślał.

Jest tam, w twojej głowie, cały wszechświat, inny niż ten. Nie zwierciadlane odbicie, ale inny kraj. Widział gwiazdy i skupiska gwiazd, widział mgławice i wielkie chmury gazowe, które świeciły słabym, ale jednak białym, nie czerwonym światłem. Poczł powiew wiatru i usłyszał jakiś szelest. Liście albo gałęzie, pomyślał, słyszę roślinność. Powietrze było ciepłe. To go zdziwiło. Było to świeże powietrze, nie stęchłe, wielokrotnie odzyskiwane powietrze statku kosmicznego.

Głosy ptaków, a kiedy spojrzł w górę, błękitne niebo. Zobaczył bambusowy zagajnik i usłyszał szelest poruszanych wiatrem liści. Zobaczył ogrodzenie, a za nim dzieci. A jednak w tym samym czasie trzymał słabą dłoń żony. Dziwne, myślał. Powietrze jest tak suche, jakby napływało z pustyni. Zobaczył chłopca z kasztanowatymi, falującymi włosami. Przypominały mu włosy Rybys, zanim je straciła, zanim jej na skutek chemoterapii wypadły.

Gdzie ja jestem, zastanawiał się. W jakiejś szkole?

Obok niego zaaferowany dyrektor Plaudet trajkotał o finansowych potrzebach szkoły i innych kłopotach. Jego nie interesowały problemy szkoły, chodziło mu o syna, o stopień uszkodzenia jego mózgu. Chciał wiedzieć wszystko na ten temat.

— Jednego nie rozumiem — mówił Plaudet. — Dlaczego trzymali pana przez dziesięć lat w hibernacji z powodu śledziony. Na litość boską, przeszczep śledziony to pospolita, typowa operacja i nie brakuje organów, które...

— Która półkula jego mózgu jest uszkodzona? — przerwał Herb Asher.

— Elias Tate ma całą dokumentację medyczną, ale pójde do naszego komputera i zażadam wydruku. Manny jakby się trochę ciebie bał, ale to pewnie dlatego, że nigdy do tąd nie widział ojca.

— Zaczekam tu za nim — powiedział Herb Asher — kiedy pójdziesz po wydruk. Chcę wiedzieć wszystko, co się da na temat uszkodzenia.

— Herb — odezwała się Rybys.

Zaskoczony, uświadomił sobie, gdzie się znajduje. Był na statku Zjednoczonych Linii Kosmicznych XR 4 w osiowym locie z Układu Fomalhauta do Słonecznego. Za dwie godziny na pokład wkroczy pierwsza inspekcja imigracyjna i dokona wstępnej kontroli.

— Herb — szepnęła jego żona — przed chwilą widziałam syna.

— W szkole, do której pójdzie.

— Myślę, że dożyję, żeby go tam zobaczyć — mówiła Rybys. — Mam przeczucie... Był tam on i ty, i mały szczurowaty jegomość, który coś gadał, ale mnie nigdzie nie było. Patrzyłam, rozglądałam się. To mnie naprawdę zabije, ale mój syn będzie żył. Powiedział mi to, pamiętasz? Jah powiedział mi, że będę żyła w swoim synu, chyba więc umrę, to znaczy, to ciało umrze, ale jego uratują. Czy byłeś obecny, kiedy Jah to mówił? Nie pamiętam. Byliśmy w ogrodzie, prawda? Bambusowy zagajnik. Widziałam wiejący wiatr. Ten wiatr mówił do mnie, był jak głosy.

— Tak.

— Kiedyś szli na pustynię na czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Elias, a potem Jezus. — Rozejrzała się dokoła. — Elias? Żywiłeś się szarańczą i dzikim miodem, i wzywałeś ludzi do pokuty. Zapowiedziałeś królowi Ahabowi, że nie będzie w tych latach ani rosy, ani deszczu... Tak mówił Pan. Według słowa mego. — Zamknęła oczy.

Ona jest naprawdę chora, pomyślał Herb Asher. Ale widziałem jej syna. Jest piękny i dziki, i... coś jeszcze. Nieśmiały. Bardzo ludzki, pomyślał. To ludzkie dziecko. Może to wszystko dzieje się w naszych umysłach. Może Clemowie tak zakłócili nasze doznania, że wierzymy, widzimy i doświadczamy czegoś, co w rzeczywistości nie istnieje. Poddaję się, pomyślał. Nie wiem.

To ma coś wspólnego z czasem. Tak jakby on mógł oddziaływać na czas. Jestem tutaj, na statku, a za chwilę w Ogrodzie, gdzie wśród innych dzieci jest ten chłopiec, jej syn, za kilka lat. Który czas jest prawdziwy? zadawał sobie pytanie. Ja tutaj, na statku, czy ja w kopule, zanim poznałem Rybys, czyja po jej śmierci, w szkole z Emmanuelem? Poza tym byłem przez ileś tam lat w stanie hibernacji. Miało to coś wspólnego albo będzie miało coś wspólnego z moją śledziona. Czy strzelano do mnie, zastanawiał się. Rybys umarła na swoją chorobę, ale jak ja umarłem? I co się stało albo stanie z Eliaszem?

Elias pochylił się do niego i szepnął:

— Muszę z tobą porozmawiać. — Dał mu znak, że mają się oddalić od Rybys i pozostałych pasażerów. — Nie wolno nam wymieniać imienia Jah. Będziemy odtąd używać słowa „Jehowa”. Utworzono je w roku 1530 i jego użycie jest dozwolone. Rozumiesz sytuację. Imigracja spróbuje podłączyć się do naszych umysłów za pomocą podsłuchu psychotronicznego, ale Jehowa zaćmi nasze umysły i uzyskają niewiele albo nic. Ale w tej sprawie trudno jest coś przewidzieć, bo od tej chwili moc Jehowy słabnie. Wkrótce znajdziemy się w strefie Beliala.

— Jasne — Herb kiwnął głową.

— Wiesz to wszystko.

— To i dużo więcej. — Z tego, co mu mówili Elias i Rybys... Jehowa też powiedział mu dużo we śnie, w bardzo plastycznych snach. Jehowa uczył ich wszystkich, żeby wiedzieli, co robić.

— On jest z nami — mówił Elias — i może przemawiać do nas z jej łona, ale zawsze istnieje możliwość, że bardzo zaawansowane elektroniczne narzędzia monitorujące mogą odebrać jego głos. Dlatego będzie z nami rozmawiał bardzo rzadko. Albo wcale — dodał po chwili.

— Przyszła mi do głowy dziwna myśl — powiedział Herb Asher. — Zastanawiam się, co zrobiłyby władze, gdyby ich komputery wywiadowcze odebrały myśli Boga.

— Cóż — powiedział Elias — oni nie poznaliby, co to jest, Znam ziemskie władze, mam z nimi do czynienia od czterech tysięcy lat w różnych sytuacjach. W różnych

krajach. Na wojnach. Byłem z hrabią Egmontem na holenderskich wojnach o niepodległość, na Wojnie Trzydziestoletniej. Byłem obecny przy jego egzekucji. Znałem Beethovena, choć może — „znałem” nie jest tu właściwym słowem.

— Ty byłeś Beethovenem — powiedział Herb Asher.

— Część mojego ducha wróciła na Ziemię i wstąpiła w niego.

Wulgarny i ognisty, pomyślał Herb. Całym sercem oddany sprawie wolności człowieka. On i jego przyjaciel Goethe krocząc ręką w rękę zrodzili ducha niemieckiego Oświecenia.

— Kim jeszcze byłeś?

— Wieloma ludźmi w historii.

— Tomem Paine’em?

— To my przygotowaliśmy rewolucję amerykańską — rzekł Elias. — Nasza grupa. To my byliśmy kiedyś Przyjaciółmi Boga i Braćmi Różanego Krzyża w roku 1615... Byłem Jakobem Boehme, ale o nim pewnie nie słyszałeś. Mój duch nie utożsamia się z człowiekiem, to nie jest inkarnacja. Część mojego ducha wraca na Ziemię, żeby połączyć się z człowiekiem wybranym przez Boga. Jednym z takich ludzi był Martin Buber, pókój jego szlachetnej duszy. Kochany i dobry człowiek. Arabowie też składali kwiaty na jego grobie. Nawet Arabowie go kochali. Elias umilkł na chwilę. — Niektórzy ludzie, do których zstąpiłem, byli lepsi ode mnie, ale ja mam moc wracania. Bóg mnie nią obdarzył. Właściwie dla dobra Izraela. Przeczenie nieśmiertelności dla ulubionego ludu. Wiesz, Herb, mówi się, że w dawnych czasach, zanim Bóg dał Torę Żydom, proponował ją wszystkim ludom na świecie i wszystkie ją z tego lub innego powodu odrzuciły. Tora mówiła „Nie zabijaj” i wielu nie mogło żyć według tego przykazania, chcieli, żeby religia była oddzielona od moralności, nie chcieli, żeby religia krępowała ich żądze. W końcu Bóg zaproponował Torę Żydom, którzy ją przyjęli.

— Tora jest więc prawem?

— To jest coś więcej niż prawo. Słowo „prawo” jest tu nie wystarczające, mimo że Nowy Testament chrześcijan zawsze używa słowa „Prawo” na oznaczenie Tory.

— Czy możesz mi powiedzieć coś jeszcze o Torze?

— Resz Lakisz powiedział: Jeżeli człowiek ma czyste zamiary, Tora staje się dla niego życiodajnym lekarstwem, oczyszczającym go do życia. Ale jeżeli człowiek ma nieczyste zamiary, Tora staje się śmiertelnością trucizną, oczyszczającą go do śmierci”.

Dwaj mężczyźni siedzieli przez chwilę w milczeniu.

— Opowiem ci coś jeszcze — odezwał się Elias. — Do wielkiego rabina Hillela, który żył w pierwszym wieku, przyszedł człowiek i powiedział: „Nawrócę się pod warunkiem, że nauczysz mnie całej Tory, podczas gdy będę stał na jednej nodze”. Hillel powiedział „Nie czyn drugiemu, co tobie niemiło. To jest cała Tora. Reszta to komentarz, idź i ucz się”. — Uśmiechnął się do Herba Ashera.



— Czy to przykazanie rzeczywiście znajduje się w Torze? — spytał Herb.  
— W pierwszych pięciu księgach Biblii?

— Tak. Księga kapłańska, dziewiętnaście, osiemnaście. Bóg mówi „Będziesz miłował bliźniego jak siebie samego”. Nie wiedziałeś tego, co? Prawie na dwa tysiące lat przed Jezusem.

— Zatem złota reguła wywodzi się z judaizmu.

— Tak, i to z wczesnego judaizmu. Ta zasada została przedstawiona człowiekowi przez samego Boga.

— Muszę się jeszcze dużo nauczyć — stwierdził Herb Asher.

— Czytaj — powiedział Elias. — „Cape, legę”, dwa słowa, które usłyszał święty Augustyn. Po łacinie znaczą „Bierz, czytaj”. Ty też to zrób. Bierz Księgę i czytaj ją. Czeka na ciebie. Ona żyje.

W dalszej podróży Elias odsłonił przed Herbem nowe, intrygujące aspekty Tory, znane tylko nielicznym wybranym.

— Mówię ci o tych sprawach, bo ci ufam — powiedział Elias.; — Uważaj, gdy będziesz z kimś o nich rozmawiał.

Istnieją cztery sposoby czytania Tory, czwarty polega na badaniu jej najgłębszego, ukrytego sensu. Kiedy Bóg rozkazał „Niechaj się stanie światłość!”, miał na myśli tajemnicę, która rozświetla Torę. To jest ukryte pierwotne światło samego Aktu Stworzenia, światło tak szlachetne, że aby nie zostało zbrukane dotknięciem śmiertelników, Bóg zawinął je w serce Tory. Było to niewyczerpane światło, przypominające iskry boskiej światłości, w które wierzyli gnostycy, drobinki boskości rozproszone teraz w świecie, zamknięte, na nie szczęście, w materialnych skorupach ciał fizycznych.

Co najciekawsze, niektórzy średniowieczni mistycy żydowscy wierzyli, że z Egiptu wywędrowało sześćset tysięcy Żydów, którzy otrzymali Torę na górze Synaj. Te sześćset tysięcy dusz żyje, nieustannie odradzając się w każdym pokoleniu. Każda z tych dusz albo iskier ma swój własny stosunek do Tory i w ten sposób istnieje sześćset tysięcy osobnych, unikalnych znaczeń Tory. Idea jest następująca: dla każdej z tych sześćset tysięcy osób Tora jest inna i każda osoba ma w Torze swoją własną, szczególną literę, do której jest przywiązana jej dusza. Tak więc w pewnym sensie istnieje sześćset tysięcy Tor.

Istnieją również trzy eony albo epoki w czasie. Pierwsza w kolejności jest wiekiem łaski, druga czyli obecna wiekiem surowej sprawiedliwości i ograniczenia, następna zaś, która ma dopiero nadejść, wiekiem miłosierdzia. Dla każdego z tych okresów istnieje inna Tora. A jednak jest tylko jedna Tora. Istnieje pierwotna, macierzysta Tora, w której nie ma znaków przestankowych ani odstępów między słowami, właściwie wszystkie litery są przemieszane. W każdym z trzech okresów litery układają się w inne słowa w miarę rozwoju wydarzeń.

Nasz obecny wiek, wiek surowej sprawiedliwości i ograniczenia, wyjaśniał Elias, skazony jest faktem, że w jego Torze jedna z liter, spółgłoska szin, jest wadliwa. Pisze się ją zawsze z trzema pałeczkami, a powinna mieć cztery. W ten sposób Tora, która powstała dla tego wieku, jest wadliwa. Inny pogląd średniowiecznych żydowskich mistyków głosił, że w naszym alfabecie w ogóle brak jednej litery. Z tego powodu nasza Tora zawiera obok nakazów również zakazy. W następnym eonie ta brakująca, niewidzialna litera wróci na swoje miejsce i z Tory znikną wszystkie zakazy. Stąd w tym następnym eonie, czyli po hebrajsku szemittah, ludzie nie będą ograniczeni żadnymi zakazami, a na miejsce surowej sprawiedliwości i ograniczeń przyjdzie swoboda.

Z tego poglądu zrodziła się myśl, mówił Elias, że istnieją niewidzialne części Tory, niewidzialne dla nas teraz, które ujawnią się w przyszłym Wieku Mesjańskim. Cykl kosmiczny sprowadzi ten wiek nieuchronnie: będzie to następny szemittah, bardzo podobny do pierwszego; Tora odtworzy się na nowo z rozsypanych liter.

Zupełnie, jakbym słuchał o komputerze, pomyślał Herb Asher. Wszechświat jest programowany, a potem po poprawkach przeprogramowywany. Fantastyczne.

W dwie godziny później do ich statku przycumował oficjalny statek rządowy i po chwili funkcjonariusze Urzędu Imigracyjnego zaczęli krążyć wśród pasażerów, rozpoczynając inspekcję. I przesłuchania.

Pełen obaw Herb Asher obejmował ramieniem Rybys, starając się jednocześnie siedzieć jak najbliżej Eliasza, żeby czerpać z siły i spokoju starca.

— Powiedz mi — zwrócił się do niego po cichu Herb — najpiękniejszą rzecz, jaką wiesz o Bogu. — Serce mu waliło jak młotem i ledwo mógł oddychać.

— Dobrze — zgodził się Elias. Rabin Juda powiedział, cytując Raw:

*Dzień składa się z dwunastu godzin. Przez pierwsze trzy godziny Przenajświętszy, niech będzie pochwalony, zajęty jest studiowaniem Tory. Przez następne trzy godziny siedzi i sądzi cały swój świat. Kiedy dochodzi do wniosku, że ten świat zasługuje na zniszczenie, wstaje z Tronu Sprawiedliwości i zasiada na Tronie Miłosierdzia. W ciągu trzeciej grupy trzech godzin zapewnia trwanie całemu światu, od największych bestii do wszy. W ciągu czwartej grupy godzin bawi się z Lewiatanem, bo napisane jest: „Lewiatan, którego stworzyłeś na to, aby w nim (morzu) igrał”. (Psalm 104,26)... Według innych zaś w ciągu tej czwartej grupy godzin uczy dzieci w szkole.*

— Dziękuję ci — powiedział Herb Asher. Zbliżało się do nich teraz trzech funkcjonariuszy Urzędu Imigracyjnego w lśniących, nowiutkich mundurach. Mieli też broń.

— Nawet Bóg konsultuje się z Torą jako wzorem i planem budowy wszechświata — mówił Elias, podczas gdy funkcjonariusz wyciągnął rękę po jego dokumenty. Starzec podał mu plik papierów. — I nawet Bóg nie może działać wbrew niej — dokończył.

— Jesteście Elias Tate — powiedział starszy stopniem funkcjonariusz, oglądając dokumenty. — Jaki jest cel waszego powrotu do Układu Słonecznego?

— Ta kobieta jest bardzo chora — wyjaśnił Elias. — Ma skierowanie do szpitala marynarki wojennej w...

— Pytałem o cel waszego powrotu, nie jej. — Funkcjonariusz spojrział na Herba Ashera. — A wy kto jesteście?

— Jestem jej mężem — powiedział Herb, podając swój paszport, zezwolenia i dokumentację.

— Czy ma zaświadczenie, że to nie jest zakaźne?

— Ona ma stwardnienie rozsiane — tłumaczył Herb — które nie jest...

— Nie pytałem, co ona ma, tylko czy to jest zaraźliwe.

— Właśnie mówię. Odpowiadam na wasze pytanie.

— Wstańcie.

Herb wstał.

— Pozwólcie ze mną. — Funkcjonariusz gestem dał znać Asherowi, żeby poszedł za nim. Elias chciał mu towarzyszyć, ale funkcjonariusz odepchnął go brutalnie. — Wy nie — powiedział.

Idąc za funkcjonariuszem Urzędu Imigracyjnego, Herb Asher doszedł środkowym przejściem na tył statku. Wszyscy pozostali pasażerowie siedzieli, wybrano tylko jego.

W małym pomieszczeniu z napisem „Obcym wstęp wzbroniony” funkcjonariusz odwrócił się do Herba Ashera i wpatrywał się w niego z napięciem. Wybałuszył oczy, jakby go zatkało, jakby to, co ma do powiedzenia, nie chciało mu przejść przez gardło. Mijały chwile. Co on, do cholery, wyprawia? myślał Herb Asher. Cisza. Tylko to wściekłe spojrzenie.

— Dobrze — odezwał się wreszcie funkcjonariusz. — Poddaję się. Jaki jest cel waszego powrotu na Ziemię?

— Mówiłem już.

— Czy ona jest bardzo chora?

— Bardzo. Ona umiera.

— Wobec tego jest zbyt chora, żeby podróżować. To jakiś nonsens.

— Jedynie na Ziemi są warunki...

— Tutaj podlegacie ziemskim prawom — powiedział funkcjonariusz. — Chcecie pójść do więzienia za wprowadzanie w błąd urzędnika federalnego? Odsyłam was z powrotem do Fomalhauta.

Całą trójkę. Nie mam więcej czasu. Wracajcie na swoje miejsce i czekajcie na dalsze polecenia.

W głowie Herba Ashera odezwał się głos, neutralny, pozbawiony emocji głos, rodzaj czystej inteligencji.

„Szpital w Bethesda chce zbadać jej chorobę”.

Herb Asher drgnął. Funkcjonariusz spojrział na niego zdziwiony.

— Szpital w Bethesda chce zbadać jej chorobę — powiedział Herb.

— Badania naukowe?

— To jakiś mikroorganizm.

— Mówiliście, że to nic zakaźnego.

„Nie w tym stadium”, odpowiedział neutralny głos.

— Nie w tym stadium — powtórzył Herb.

— Czy obawiają się epidemii? — spytał nagle funkcjonariusz. Herb Asher kiwnął głową.

— Wracajcie na swoje miejsce. — Przedstawiciel Urzędu Imigracyjnego odesłał go z irytacją machnąwszy ręką. — To nie są moje kompetencje. Macie różową kartę, formularz 368? Prawidłowo wypełnioną i podpisaną przez lekarza?

— Tak. — Była to prawda.

— Czy wy albo ten starszy człowiek jesteście zainfekowani?

Głos w jego głowie powiedział: „Tylko w Bethesda mogą to stwierdzić”. W nagłym wewnętrznym przebłysku ujrzał wyrazisty obraz osoby, której głos słyszał. Była to twarz kobiety, spokojna i silna zarazem. Odsunięta do tyłu metalowa maska odsłaniała mądre, niewzruszone oczy; piękna, klasyczna twarz przywodziła na myśl Atenę. Herb był wstrząśnięty, to nie mógł być Jehowa. To była kobieta, ale niepodobna do żadnej znanej mu kobiety. Nie znał jej. Nie rozumiał, kto to jest. Jej głos nie był głosem Jana i to nie mogła być twarz Jaha. Nie wiedział, co ma o tym myśleć.

Funkcjonariusz zamilkł zbity z tropu. Jego brutalna pewność siebie gdzieś się ulotniła.

Żeński głos odezwał się znowu i tym razem Herb zobaczył w myśli głowę z poruszającymi się wargami. „Każda chwila jest droga”.

— Każda chwila jest droga — powtórzył Herb Asher. Jego własny głos zgrzytał mu w uszach.

— Czy nie powinniście przejść kwarantanny? Zapewne należałoby was odosobnić. Ci pozostali pasażerowie... Trzeba by wam dać specjalny statek. To jest do załatwienia. Byłoby lepiej... szybciej dotarłaby na miejsce.

— Chyba tak — zgodził się Herb Asher. Brzmiało to rozsądnie.

— Skontaktuję się z centralą — powiedział funkcjonariusz. — Jak się nazywa ten mikroorganizm? Czy to wirus?

— Osłonki nerwowe...

— Nieważne. Wracajcie na miejsce. — Funkcjonariusz poszedł za Herbem. — Nie wiem, czyj to był pomysł, żeby was wysyłać regularnym lotem pasażerskim, ale ja was wysadzam. Naruszono tutaj żelazne reguły. Czy szpital w Bethesda was oczekuje? Chcecie, żebym ich uprzedził, czy wszystko jest załatwione?

— Tam już na nią czekają. — Tak było. Formalności zostały załatwione.

— Naprawdę trzeba mieć nie po kolei — mówił funkcjonariusz Urzędu Imigracyjnego — żeby was puszcząć transportem publicznym. Ci na Fomalhaucie powinni trochę myśleć.

— Na CY 30-CY 30 B — poprawił Herb Asher.

— Wszystko jedno. Nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Taki błąd... — Funkcjonariusz zaklął. — Jakiś dureń tam na Fomalhaucie pewnie wymyślił, że zaoszczędzi podatnikom trochę grosza... Siadajcie na miejsce, a ja dopilnuję, żeby was zawiadomino, kiedy statek będzie gotów. To powinno... Jezu...

Herb Asher roztrzęsiony wrócił na swoje miejsce. Elias zmierzył go spojrzeniem. Rybys leżała z zamkniętymi oczami nieświadoma tego, co się wokół niej dzieje.

— Spytałem cię o coś — zwrócił się Herb do Eliasza. — Czy próbowałaś kiedyś whisky Laphroaig?

— Nie — odpowiedział Elias zdziwiony.

— To najlepsza whisky na świecie — powiedział Herb. — Dziesięcioletnia, bardzo droga. Gorzelnia działa od 1815 roku. Używają tam tradycyjnych miedzianych kotłów destylacyjnych. Destyluje się dwukrotnie...

— Co się tam działo? — spytał Elias.

— Pozwól mi skończyć. Laphroaig w języku gaelickim znaczy „piękna dolina nad wielką zatoką”. Produkuje się na wyspie Islay w zachodniej Szkocji. Słód jęczmieniowy suszy się w specjalnym piecu nad ogniem z autentycznego torfu. To jedyna whisky, którą się jeszcze robi w ten sposób. Odpowiedni torf znajduje się tylko na wyspie Islay. Dojrzewanie odbywa się w dębowych beczkach. To niewiarygodna whisky, najlepszy trunk na świecie. To jest... — Umilkł w pół zdania.

Podszedł do nich funkcjonariusz Urzędu Imigracyjnego.

— Wasz statek jest gotowy. Proszę za mną. Czy wasza żona może chodzić? Potrzebujecie pomocy?

— Już? — Herb był zdumiony, ale zaraz uświadomił sobie, że statek znajdował się tu od początku. Urząd Imigracyjny musiał przewidywać sytuacje nieprzewidziane. Zwłaszcza tego rodzaju. To znaczy takich, jak ta wyglądała z ich strony.

— Kto nosi metalową maskę? — spytał Herb Eliasza, zdejmując koc z Rybys. — Zsuniętą na włosy. I ma prosty nos, bardzo mocny nos... Teraz mi pomóż. — Razem z Eliasem postawili Rybys na nogi. Funkcjonariusz przyglądał się im ze współczuciem.

— Nie wiem — powiedział Elias.

— Jest jeszcze coś — mówił Herb, podczas gdy krok za krokiem prowadzili Rybys wzdłuż przejścia.

— Zaraz zwymiotuję — słabym głosem powiedziała Rybys.

— Wytrzymaj chwilę. Jesteśmy prawie na miejscu.

Wielki Bałwan posłał sygnał do kardynała Fultona Statlera Harmsa i prokuratora maksimusa, a potem skierował do wszystkich głów państw następujący zagadkowy komunikat:

NA SZTANDARZE PIĘCDZIESIĘCIU NAPISZĄ: ZDOBYTY JEST SZANIEC KRNĄBRNEGO PRZEZ POTĘŻNE DZIAŁANIA BOŻE, ORAZ IMIONA DOWÓDCÓW PIĘCDZIESIĘCIU I ICH DZIESIĘTNIKÓW. KIEDY WYRUSZĄ DO BITWY, NAPISZĄ NA SWOICH WPSOX I UTWORZĄ JEDEN FRONT. SZEREG MA SEĘ SKŁADAĆ Z TYSIĄCA LUDZI LUDZI LUDZI LUDZI LUDZI, MA BYĆ GŁĘBOKI NA SIEDMIU LUDZI STOJĄCYCH JEDEN ZA DRUGIM STOP POWTARZAM WSZYSCY MAJĄ TRZYMAĆ TARCZE Z POLEROWANEGO BRĄZU POWTARZAM BRĄZU PRZYPOMINAJĄCE LUSTRA

Tu komunikat się kończył. W ciągu paru minut wokół urządzeń systemu sztucznej inteligencji kłębił się tłum techników.

Ich werdykt: system należy na pewien czas wyłączyć. Uszkodzeniu uległo coś podstawowego. Ostatnią zrozumiałą informacją, jaką komputer przyjął, był komunikat, że kobieta w ciąży Rybys Rommey-Asher, jej mąż Herbert Asher i towarzyszący im Elias Tate zostali przepuszczeni przez Pierścień Trzeci Urzędu Imigracyjnego i przeniesieni z normalnego statku pasażerskiego na pośpieszny kuter rządowy, mający lądować w Waszyngtonie.

Popełniono błąd, myślał kardynał Harms, stojąc przy martwym ekranie swojego terminalu. Imigracja miała ich przechwycić, a nie ułatwić im lot. To wszystko nie ma sensu. A teraz straciliśmy nasz podstawowy procesor danych, od którego jesteśmy całkowicie uzależnieni.

Zadzwoił do prokuratora maksimusa i usłyszał od jakiegoś sekretarza, że prokurator śpi.

To sukinsyn, pomyślał Harms. To idiota. Mamy jeszcze jedną stację, gdzie możemy ich przechwycić: Główny Urząd Imigracyjny w Waszyngtonie. Ale skoro dotarli tak daleko... dobry Boże, myślał. Potwór wykorzystuje swoje nadnaturalne moce!

Zadzwoił jeszcze raz do prokuratora maksimusa.

— Czy można rozmawiać z Galiną? — spytał wiedząc, że to beznadziejne. Bulkowsky się poddał. Pójście do łóżka w takim momencie równało się kapitulacji.

— Z prokuratorową Bulkowsky? — spytał urzędnik Światopoglądu Naukowego z niedowierzaniem. — Oczywiście że nie.

— Aż waszym sztabem generalnym? Którymś z waszych marszałków?

— Prokurator do was zadzwoni — poinformował funkcjonariusz Światopoglądu Naukowego. Wyraźnie dostali od Bulkowsky'ego polecenie, żeby go nie niepokoić.



— Chryste! — mruknął Harms, rzucając słuchawkę. Ekran przygasł.

Coś tu jest nie w porządku, myślał Harms. Nie powinni dotrzeć tak daleko i Wielki Bałwan dobrze o tym wiedział. System sztucznej inteligencji dosłownie zwariował. To nie była awaria techniczna, uświadomił sobie, to psychotyczna ucieczka. Wielki Bałwan coś rozumiał, ale nie potrafił tego przekazać. A może właśnie przekazał? Czy ten bełkot coś znaczył? zadawał sobie pytanie Harms.

Skontaktował się z komputerem Cal Techu, reprezentującym najwyższą klasę wśród tych, które pozostały. Przekazawszy mu zagadkowy materiał, wydał polecenie jego identyfikacji.

Komputer Cal Techu miał odpowiedź po pięciu minutach:

Zwój z Qumran „Wojna synów  
światłości z synami ciemności”.

Źródło: żydowska ascetyczna  
sekta esseńczyków.

Dziwne, pomyślał Harms. Wiedział o esseńczykach. Wielu teologów zastanawiało się, czy Jezus był esseńczykiem, i niewątpliwie istnieją dowody, że był nim Jan Chrzciciel. Sekta przewidywała rychły koniec świata i to, że bitwa pod Armageddon rozegra się przed końcem pierwszego wieku. Sekta wykazywała silne wpływy zoro-astrianizmu.

Jan Chrzciciel, rozmyślał kardynał. Chrystus sugerował, że to Elias, który powrócił zgodnie z obietnicą Jehowy w Księdze Malachiasza.

*Oto Ja pošlę wam proroka Eliasza przed nadejściem dnia Pańskiego, dnia wielkiego i strasznego. I skłoni serce ojców ku synom, a serce synów ku ich ojcom, abym nie przyszedł i nie poraził ziemi przekleństwem.*

Ostatnie słowa Starego Testamentu, na nich kończy się Stary i zaczyna się Nowy Testament.

Armageddon, myślał. Ostatnia bitwa między synami ciemności a synami światła. Między Jehową a... jak esseńczycy nazywali złą siłę? Belialem. Tak, to był ich termin na szatana. Belial miał prowadzić synów ciemności, Jehowa synów światła. To miała być siódma bitwa.

Ma być sześć bitew, trzy z nich wygrają synowie światła, a trzy synowie ciemności. Co pozostawi Beliala przy władzy. Wtedy sam Jehowa obejmie dowodzenie w decydującej bitwie.

Potwór w łonie tej kobiety to Belial, uświadomił sobie Harms. Wraca, żeby nas obalić. Żeby obalić Jehowę, któremu służymy.



Zagrożona jest władza samego Boga, stwierdził i poczuł wielki gniew.

Kardynał uznał, że w tej sytuacji potrzebna jest medytacja i modlitwa. A także strategia, za pomocą której najeźdźcy zostaną unieszkodliwieni, kiedy dotrą do Waszyngtonu.

Gdyby tylko nie ta awaria Wielkiego Bałwana!

W ponurym nastroju udał się do swojej osobistej kaplicy.

## 9

— Zniszczymy ich statek — powiedział prokurator. — To żaden szczególny problem. Zdarzy się wypadek. Ta trójka, czwórka, jeżeli liczyć płód, zginie. — Wydawało mu się to całkiem proste.

— Wyjdą z tego — odezwał się kardynał Harms na swoim końcu linii. — Nie pytaj mnie jak. — Ponury nastrój nie opuszczał go.

— Waszyngton podlega twojej jurysdykcji — powiedział prokurator. — Wydaj rozkaz zniszczenia ich statku. Natychmiast.

„Natychmiast” było spóźnione o osiem godzin. Osiem cennych godzin, w czasie których prokurator spał sobie w najlepsze. Kardynał Harms patrzył ze złością na obraz swojego współwładcy. A może, przyszło mu na myśl, Bulkowsky głowił się nad rozwiązaniem problemu? Może wcale nie spał. To wszystko pachniało Galiną. Ta para zawsze się naradzała, pracowała zespołowo.

— Co za oryginalne rozwiązanie — powiedział. — Typowa dla ciebie odpowiedź, wystrzelić raketę.

— Galiną uważa, że tak trzeba.

— Domyślam się. Siedzieliście i zastanawialiście się nad tym przez całą noc?

— Nie siedzieliśmy. Ja spałem jak zabity, ale Galiną miała dziwne sny. Jeden z tych, które mi opowiedziała jest... myślę, że warto go zrelacjonować. Chcesz usłyszeć sen Galiny? Ciekaw jestem twojej opinii, bo chyba ma podteksty religijne.

— Wał — powiedział Harms.

— W oceanie pływa wielka biała ryba. Tuż pod powierzchnią, jak wieloryb. Płynię w naszą stronę, to znaczy w stronę Galiny. Jest tam system kanałów ze śluzami. Wielka biała ryba z największą trudnością wpływa do sieci kanałów. Wreszcie z dala od oceanu zostaje złapana w miejscu, gdzie znajdują się ludzie. Ryba zrobiła to umyślnie, chce nakarmić ludzi swoim ciałem. Pojawia się piła, dwuosobowa piła ręczna, jakiej używają drwale do ścinania drzew. Galiną mówiła, że jej zęby wyglądały przerażająco. Ludzie zaczęli ciąć wielką rybę, która ciągle żyła, na plastry. Odcinali plastry żywego mięsa

wielkiej białej ryby, tak przyjaznej ludziom. W swoim śnie Galiną myślała: „To jest złe. Za bardzo krzywdzimy tę rybę”. — Bulkowsky zamilkł na chwilę. — No i co ty na to? — spytał.

— Ta ryba to Chrystus, który ofiaruje swoje ciało człowiekowi, żeby mógł osiągnąć życie wieczne — powiedział kardynał Harms.

— Wszystko bardzo pięknie, ale to niesprawiedliwe wobec ryby. Galiną mówiła, że nie wolno tego robić. Mimo że ryba sama złożyła się w ofierze. Jej cierpienie było zbyt wielkie. W swoim śnie Galiną myślała: „Musimy znaleźć jakieś inne pożywienie, żeby wielka ryba tak nie cierpiała”. A potem nastąpiły niejasne epizody, w których zaglądała do lodówki. Zobaczyła dzbanek wody, dzbanek opleciony słomą, trzcina czy czymś takim... i kostkę różowego pożywienia, jak kostka masła. Na opakowaniu były jakieś słowa, ale nie mogła ich odczytać. Ta lodówka była wspólną własnością małej kolonii ludzi położonej z dala od innych osad. Okazało się, że ten dzbanek wody i ta różowa kostka należały do całej kolonii i wolno było pić tę wodę i jeść to pożywienie, kiedy ktoś poczuł, że zbliża się chwila jego śmierci.

— Ale co się działo po wypiciu...

— Człowiek wracał. Rodził się na nowo.

— To jest hostia pod dwiema postaciami — stwierdził Harms. — Poświęcone wino i chleb. Ciało i krew naszego Pana. Pokarm wiecznego życia. „To jest ciało moje. Bierzcie...”

— Wyglądało na to, że osiedle istnieje w zupełnie innym czasie. Dawno temu. Jakby w starożytności.

— To ciekawe — przerwał mu Harms — ale nadal mamy do rozwiązania sprawę potwornego dziecka.

— Jak już powiedziałem, zorganizujemy wypadek. Ich statek nie dotrze do Waszyngtonu. Kiedy, dokładnie, powinien przybyć? Ile mamy czasu?

— Chwileczkę. — Harms postukał po klawiaturze małego terminalu. — Chryste! — jęknął.

— O co chodzi? Na wysłanie małej rakiety wystarczy parę sekund. Macie je w okolicy.

— Ich statek wylądował. Kiedy spał — powiedział Harms. — Przechodzą teraz przez Urząd Imigracyjny w Waszyngtonie.

— To normalne, że człowiek w nocy śpi — powiedział prokurator.

— To potwór cię uśpił.

— Sypiałem przez całe życie! Jestem tutaj w kurorcie na wypoczynku. Mam kłopoty ze zdrowiem — dodał gniewnie prokurator.

— Zastanawiam się.

— Natychmiast skontaktuj się z Imigracją, żeby ich zatrzymali. Zrób to zaraz.

Harms odłożył słuchawkę i połączył się z Urzędem Imigracyjnym. Dopadnę tę kobietę, tę Rybys Rommey-Asher, i skręcę jej kark, pomyślał. Posiekam ją na kawałki i jej płód razem z nią. Posiekam ich wszystkich i rzucę na pożarcie zwierzętom w zoo.

Zaskoczony zadał sobie pytanie: Czy to ja pomyślałem? Krwiożerczość tych pomysłów zdumiała jego samego. Ja ich naprawdę nienawidzę, uświadomił sobie. I jestem wściekły. Jestem wściekły na Bulkowsky'ego, że w sytuacji kryzysowej przechrapał pełnych osiem godzin. Gdyby to było w mojej mocy, jego też bym posiekał.

Kiedy połączono go z dyrektorem waszyngtońskiego Urzędu Imigracyjnego, spytał najpierw, czy kobieta Rybys Rommey-Asher, jej mąż i Elias Tate jeszcze tam są.

— Sprawdzę, eminencjo — odpowiedział szef biura. Cisza, bardzo długa cisza. Harms odliczał sekundy klnąc i modląc się na przemian. Wreszcie dyrektor wrócił. — Jeszcze ich sprawdzamy.

— Zatrzymajcie ich. Nie wypuszczajcie ich pod żadnym pozorem. Ta kobieta jest w ciąży. Poinformujcie ją... wiecie, o kim mówię? Rybys Rommey-Asher. Poinformujcie ją, że będzie mieć przymusowe usunięcie ciąży. Niech wasi ludzie wymyślą jaki chcą powód.

— Czy eminencja rzeczywiście chce, żeby dokonano aborcji? Czy to tylko pretekst...

— Chcę, żeby usunięto ciążę w ciągu godziny — powiedział Harms. — Chcę, żeby płód został zabity. Dopuszczę cię do tajemnicy. Omawiałem tę sprawę z prokuratorem maksimusem, to kwestia o doniosłości ogólnoświatowej. Ten płód jest wybrykiem przyrody, mutantem popromiennym. Może nawet wynikiem krzyżówki między gatunkowej. Rozumiesz?

— O — powiedział dyrektor Urzędu Imigracyjnego — krzyżówka międzygatunkowa. Tak. Zabijemy to miejscowym wypaleniem. Wstrzykniemy materiał radioaktywny wprost przez powłoki brzuszne. Powiem jednemu z naszych lekarzy...

— Powiedz mu, żeby usunął płód albo zabił go w niej — rozkazał Harms — ale zabijcie to i zróbcie to natychmiast.

— Będę musiał mieć podpis — powiedział dyrektor Urzędu Imigracyjnego. — Nie wolno mi tego zrobić bez autoryzacji.

— Prześlijcie formularz — westchnął Harms.

Z jego aparatu wysunęły się stronice formularza. Harms wziął je, znalazł miejsce na podpis, podpisał i wsunął strony z powrotem do aparatu.

Siedząc z Rybys w poczekalni Urzędu Imigracyjnego, Herb Asher zastanawiał się, gdzie się podział Elias Tate. Powiedział, że idzie do toalety, ale zbyt długo nie wracał.

— Kiedy będę mogła się położyć? — wyjęczała Rybys.

— Już niedługo — powiedział. — Wzięli nasze papiery. — Nie wdawał się w szczegóły, licząc się z tym, że w poczekalni może być podsłuch.

— Gdzie jest Elias?

— Zaraz wróci.

Podszedł do nich funkcjonariusz Urzędu, nie w mundurze, ale z odznaką.

— Gdzie jest trzecia osoba z waszej grupy? — Zerknął do swoich papierów. — Elias Tate.

— W toalecie — powiedział Herb Asher. — Czy można by odprawić tę kobietę? Widzicie, że jest bardzo chora.

— Chcemy ją przebadać — stwierdził beznamyślnie funkcjonariusz. — Do odprawy wymagane jest orzeczenie lekarskie.

— Ona już była badana! Przez swojego lekarza, a potem...

— To rutynowa procedura — uciał funkcjonariusz.

— To co z tego — powiedział Herb Asher. — To okrutne i niepotrzebne.

— Zaraz przyjdzie lekarz — oświadczył funkcjonariusz. — Przesłuchamy was w czasie, kiedy ona będzie badana. Żeby zaoszczędzić wam czasu. Jej nie będziemy przesłuchiwać, najwyżej pobieżnie. Zdaję sobie sprawę z jej poważnego stanu.

— Na litość boską — powiedział Herb — chyba to widać! Funkcjonariusz oddalił się, ale prawie natychmiast wrócił z ponurą twarzą.

— W toalecie nikogo nie ma.

— W takim razie nie wiem, gdzie on jest.

— Może go już odprawili. — Funkcjonariusz oddalił się pośpiesznie, mówiąc coś do trzymanego w ręku aparatu.

Elias chyba uciekł, pomyślał Herb Asher.

— Proszę za mną — odezwał się głos. Była to lekarka w białym kitlu. Młoda, w okularach, z włosami związanymi w koński ogon, energicznie poprowadziła Herba Ashera i jego żonę krótkim, sterylnie wyglądającym i sterylnie pachnącym korytarzem do gabinetu lekarskiego.

— Proszę się położyć — powiedziała do Ryby s, podsadzając ją na stół do badań.

— Jestem Rommey-Asher — mówiła Rybys, pokonując ból. — Czy możecie dać mi jakiś zastrzyk antywymiotny? I to szybko? Naprawdę szybko. Teraz.

— Dlaczego wobec choroby żony — mówiła lekarka sadowiąc się za biurkiem — ciąża nie została przerwana?

— Wszystko to już omawialiśmy — powiedział ze złością.

— Mimo to możemy zażądać aborcji. Nie chcemy, żeby się urodziło dziecko niekształcone, to byłoby sprzeczne z naszą polityką.

Herb spojrział na lekarkę z przerażeniem.

— Ależ ona jest w szóstym miesiącu — powiedział.

— W naszych dokumentach jest w piątym miesiącu, a to mieści się w zakresie legalności.

— Nie wolno wam tego zrobić bez jej zgody! — zaprotestował Herb, a jego strach przeradzał się w panikę.

— Teraz, kiedy wróciliście na Ziemię, decyzja nie należy już do was — powiedziała lekarka. — Sprawą zajmie się komisja lekarska.

Herb Asher miał pewność, że zapadnie decyzja o przymusowej aborcji. Wiedział, co postanowi komisja.

Z kąta sali dobiegły odrażające dźwięki ckliwej muzyki smyczkowej. Te same dźwięki, uświadomił sobie Herb, które rozlegały się co jakiś czas w jego kopule. Po chwili jednak muzyka zmieniła się i Herb zrozumiał, że zbliża się popularna piosenka Lindy Fox. Podczas gdy lekarka siedziała i wypełniała medyczne formularze, z oddali słychać było głos piosenkarki, który przynosił pocieszenie.

*Wróćcie, śliczności moje!  
Nad twym wiernym sługą  
Grzech się tak znęcać.  
Niech nie czekam długo.*

Wargi lekarki nieświadomie poruszały się, powtarzając słowa popularnej pieśni Dowlanda.

Nagle do Herba dotarło, że głos, którego słucha, jedynie przypomina głos Lindy Fox i teraz już nie śpiewa, tylko mówi.

Ten cichy głos powiedział wyraźnie:

— Nie będzie aborcji. Będą narodziny.

Siedząca za biurkiem lekarka nie zauważyła zmiany. Jan spreparował sygnał dźwiękowy, zrozumiał Herb Asher. Patrzył, jak lekarka zamiera z piórem uniesionym nad formularzem.

Podświadomość, pomyślał widząc wahanie kobiety. Wyobraża sobie, że nadal słyszy znajomą piosenkę, znane słowa. Jest w transie. Jak zahipnotyzowana.

Piosenka wróciła.

— Prawo nie pozwala nam przerwać ciąży w szóstym miesiącu — powiedziała lekarka z wahaniem. — Musiała zajść jakaś pomyłka. Z papierów wynika, że jest w piątym, ale skoro mówicie, że w szóstym...

— Możecie ją zbadać, jak chcecie — powiedział Herb Asher. — To co najmniej szósty miesiąc. Możecie sami ustalić.

— Ja... — Lekarka krzywiła się, rozcierając czoło. Przymknęła oczy z wyrazem bólu na twarzy. — Nie widzę powodu, żeby... — Urwała, jakby nie mogła sobie przypomnieć, co chciała powiedzieć. — Nie widzę powodu — powtórzyła po chwili — żeby to podważać. — Przycisnęła jakiś guzik na telefonie.

Otworzyły się drzwi, w których stanął umundurowany funkcjonariusz Urzędu Imigracyjnego. W chwilę później dołączył do niego celnik, również w mundurze.

— Sprawa jest wyjaśniona — powiedziała lekarka do funkcjonariusza Urzędu. — Nie możemy jej zmusić do usunięcia ciąży, jest zbyt zaawansowana.

Funkcjonariusz patrzył na nią znacząco.

— Takie są przepisy — powiedziała lekarka.

— Słuchajcie, Asher — wtrącił się celnik — muszę was o coś spytać. Wasza żona wymienia w deklaracji celnej dwie filakterie. Co to jest filakteria?

— Nie wiem — odpowiedział Herb Asher.

— Nie jesteście Żydem? Każdy Żyd wie, co to jest filakteria. Wasza żona jest więc Żydówką, a wy nie jesteście Żydem?

— Ona należy do Kościoła Jezusa Chrystusa, ale... — Herb urwał. Czuł, że krok za krokiem zbliża się do pułapki. Było przecież nie do pomyślenia, żeby mąż nie znał religii swej żony. Wciągają mnie w sprawy, o których wolę nie mówić, myślał. — Ja jestem chrześcijaninem — powiedział — chociaż zostałem wychowany w Światopoglądzie Naukowym. Należałem do partyjnej organizacji młodzieżowej. Ale teraz...

— Ale wasza żona jest Żydówką. I stąd te filakterie. Nigdy nie widzieliście, jak je zakłada? Jedna idzie na głowę, druga na lewą rękę. To takie małe sześciennie pudełeczka ze skóry z fragmentami hebrajskiego tekstu. Wydaje mi się dziwne, że nic o tym nie wiecie. Od jak dawna się znacie?

— Od dawna — powiedział Herb Asher.

— Czy ona rzeczywiście jest waszą żoną? Jeżeli jest w szóstym miesiącu ciąży... — Funkcjonariusz zajrzał do leżących na biurku dokumentów. — Była w ciąży, kiedy się z nią ożeniłście. Jesteście ojcem tego dziecka?

— Oczywiście — powiedział Herb.

— Jaką macie grupę krwi? A, powinno tu być zapisane. — Funkcjonariusz zaczął wertować prawne i lekarskie formularze. — Zaraz, gdzie to...

Zadzwoił telefon. Lekarka podniosła słuchawkę i przedstawiła się.

— To do was — powiedziała, przekazując słuchawkę funkcjonariuszowi Urzędu Imigracyjnego.

Funkcjonariusz służbiście wyprężony słuchał w milczeniu, a potem zasłoniwszy dłonią mikrofon, zwrócił się do Herba Ashera.

— Grupa krwi się zgadza.. Wy dwoje jesteście wolni, ale chcemy porozmawiać z Eliaszem Tate'em, tym starszym mężczyzną, który... — zamilkł i znów słuchał głosu z telefonu.

— Możecie wezwać taksówkę z automatu w holu — powiedział celnik.

— Możemy odejść? — spytał Herb Asher.

Celnik kiwnął głową.



— Coś tu się nie zgadza — powiedziała lekarka, która znów zdjęła okulary i siedziała, przecierając oczy.

— Jest jeszcze jedna sprawa — zwrócił się do niej celnik i położył przed nią stos dokumentów.

— Czy wiecie, gdzie jest Tate? — zawołał funkcjonariusz Urzędu Imigracyjnego w ślad za wychodzącymi z sali zabiegowej Herbem i Rybys.

— Nie mam pojęcia — odpowiedział Herb i znalazł się na korytarzu. Podtrzymując Rybys, szedł wolno z powrotem do holu. — Siadaj — powiedział do żony, pozwalając jej osunąć się na fotel. Kilkoro oczekujących gapiło się na nich bezmyślnie. — Zadzwoń. Zaraz wracam. Czy masz jakieś drobne? Potrzebuję pięciodolarówki.

— Chryste — sieknęła Rybys. — Nie, nie mam.

— Przeszliśmy — powiedział do niej szeptem.

— No i dobrze! — odpowiedziała z irytacją.

— Zadzwoń po taksówkę. — Przetrzęsając kieszenie w poszukiwaniu pięciodolarówki, był w euforii. Jan interweniował, z daleka i słabo, ale to wystarczyło.

W dziesięć minut później znajdowali się wraz z bagażem na pokładzie latającej żółtej taksówki, startującej z waszyngtońskiego kosmodromu w kierunku szpitala Bethesda w Chevy Chase.

— Gdzie się, do diabła, podziewa Elias? — zdołała wyjąkać Rybys.

— Odwrócił ich uwagę — powiedział Herb. — Odciągnął ich od nas.

— Wspaniale. To znaczy, że może być teraz wszędzie i nigdzie.

Nagle pojawiła się wielka latająca ciężarówka, pędząca wprost na nich z niedozwoloną prędkością.

Robot prowadzący taksówkę wydał okrzyk przerażenia i zaraz zostali potrąceni przez ciężki pojazd. Wszystko zdarzyło się w jednej chwili. Gwałtowna fala wstrząsu sprawiła, że taksówka wpadła w korkociąg. Herb Asher tulił żonę w ramionach, domy gwałtownie rosły i wiedział, wiedział z bezwzględną pewnością, co się stało. To bydłaki, pomyślał przeniknięty bólem, świadomość tego, co się dzieje, sprawiała mu fizyczne cierpienie. W taksówce rozdzwoniły się sygnały ostrzegawcze.

Ochrona Jaha nie wystarczyła, myślał, podczas gdy pojazd opadał coraz niżej, jak uschnięty liść.

Była za słaba. Za słaba tutaj.

Taksówka uderzyła o skraj drapacza chmur.

Nadeszła ciemność i Herb Asher stracił przytomność.

Leżał w szpitalnym łóżku podłączony przewodami i rurkami do niezliczonych urządzeń, niczym jakiś cyborg.

— Asher? — odezwał się męski głos. — Asher, słyszysz mnie?

Spróbował skinąć głową, ale bezskutecznie.

— Odniosłeś poważne obrażenia wewnętrzne — mówił męski głos. — Jestem doktor Pope. Byłeś nieprzytomny przez pięć dni. Przeszedłeś operację i usunięto ci śledzionę. To jeszcze nie wszystko. Zostałeś poddany hibernacji do czasu znalezienia... Słyszysz mnie?

— Tak.

— ...Do czasu znalezienia odpowiednich dawców organu zastępczego. Lista oczekujących nie jest zbyt długa, powinieneś przebywać w hibernacji nie dłużej niż parę tygodni. Dokładnie...

— Co z moją żoną?

— Twoja żona nie żyje. Zbyt długa przerwa w działalności mózgu. W jej przypadku hibernacja nie wchodziła w grę. Byłaby bezskuteczna.

— A dziecko?

— Płód żyje — powiedział doktor Pope. — Wuj twojej żony, Elias Tate, zgłosił się i przyjął na siebie odpowiedzialność prawną. Usunęliśmy płód z jej ciała i umieściliśmy w inkubatorze. Wszystkie nasze badania stwierdzają, że nie doznał żadnych uszkodzeń, co zakrawa na cud.

Dokładnie, pomyślał Herb Asher ponuro.

— Twoja żona chciała, żeby go nazwać Emmanuel.

— Wiem.

Tracąc przytomność Herb Asher pomyślał, że plany Jaha nie zostały całkowicie zrujnowane. Jan nie był do końca pokonany. Wciąż jest nadzieja.

Choć niewielka.

— Belial — szepnął.

— Słucham? — doktor Pope pochylił się, żeby lepiej słyszeć. — Belial? Czy to ktoś, z kim chciałbyś się skontaktować? Ktoś, kto powinien zostać powiadomiony?

— On wie — powiedział Herb Asher.

— Coś poszło nie tak — powiedział naczelny prałat Kościoła chrześcijańsko-islamskiego do prokuratora maksimusa Światopoglądu Naukowego. — Coś tu nawaliło. Oni przeszli przez kontrolę imigracyjną.

— Dokąd się udali? Musieli dokądś pojechać.

— Elias Tate znikł jeszcze przed odprawą celną. Nie mamy pojęcia, gdzie jest teraz. Co do Asherów... — kardynał zawahał się. — Ostatnio widziano ich, jak wsiadali do taksówki.

— Znajdziemy ich — powiedział Bulkowsky.

— Z bożą pomocą — dodał kardynał robiąc znak krzyża. Bulkowsky widząc to, też się przeżegnał.

— Siła złego — powiedział Bulkowsky.

— Tak — potwierdził kardynał — musimy jej stawić czoło.

— Ale w końcu zło przegrywa.

— Tak, absolutnie. Idę teraz do kaplicy pomodlić się. Tobie radzę zrobić to samo.

Bulkowsky przyglądał mu się z uniesioną brwią. Wyraz jego twarzy był nieodgad-  
niony.

## 10

Kiedy Herb Asher się ocknął, zapoznano go ze wstrząsającymi faktami. Spędził w stanie hibernacji nie tygodnie, lecz lata. Lekarze nie potrafili wyjaśnić, dlaczego trzeba było tak długo czekać na organy zastępcze. Okoliczności niezależne od nas, odpowiadali. Kwestie proceduralne.

— Co z Emmanuelem? — spytał.

— Ktoś włamał się do szpitala i porwał twojego syna z inkubatora — powiedział doktor Pope, który był stary, siwy i bardziej dystyngowany niż ostatnio.

— Kiedy?

— Prawie natychmiast. Według naszych danych płód przebywał w inkubatorze zaledwie jeden dzień.

— Czy wiecie, kto to zrobił?

— Jak wynika z naszych materiałów, bo nasze inkubatory są pod nieustanną kontrolą, był to starszy, brodaty mężczyzna... Sprawiał wrażenie szalonego — dodał po chwili doktor Pope. — Musisz liczyć się z dużym prawdopodobieństwem, że twój syn nie żyje, prawdę mówiąc, że nie żyje od dziesięciu lat, albo z przyczyn naturalnych, to jest na skutek wyjęcia z inkubatora... albo na skutek działań tego starego brodatego człowieka. Rozmyślnych albo przypadkowych. Policja nie trafiła na ślad żadnego z nich. Ogromnie mi przykro.

Elias Tate, pomyślał Herb. Wyniósł Emmanuela w bezpieczne miejsce. Przymknął oczy, czując przyływ wdzięczności.

— Jak się czujesz? — spytał doktor Pope.

— Miałem sny. Nie wiedziałem, że ludzie zamrożeni zachowują świadomość.

— Nie miałeś świadomości.

— Śniłem stale o mojej żonie. — Poczul unoszący się nad nim gorzki żal, który spłynął i wypełnił go do granic wytrzymałości. — Zawsze znajdowałem się tam z nią. Kiedy się poznaliśmy, zanim się poznaliśmy. Podróż na Ziemię. Drobne szczegóły. Talerze z zepsutym jedzeniem... była nieporządna.

— Ale ma pan syna.

— Tak. — Zastanawiał się, jak ma odnaleźć Eliasa i Emmanuela. To oni będą musieli mnie odnaleźć, uświadomił sobie.

Pozostał w szpitalu przez miesiąc, przechodząc terapię ruchową i wracając do sił, aż pewnego chłodnego poranka w połowie marca wreszcie go wypisano. Z walizką w ręce zszedł frontowymi schodami, osłabiony i przestraszony, ale szczęśliwy, że jest wolny. Przez cały okres terapii spodziewał się, że władze go dopadną. Nie dopadły. Zastanawiał się, dlaczego.

Stojąc w gromadce osób, usiłujących przywołać latającą żółtą taksówkę, zauważył ślepego żebraka, starego, siwego, wielkiego człowieka w brudnym ubraniu. Żebrak trzymał kubek.

— Elias — powiedział Herb Asher.

Podszedł do niego, przyglądając się staremu przyjacielowi. Przez chwilę żaden z nich się nie odzywał, aż wreszcie Elias Tate powiedział:

— Cześć, Herbert.

— Rybys mówiła mi, że często przybierasz postać żebraka — powiedział Herb Asher. Wyciągnął ramiona, żeby uścisnąć starca, ale Elias pokręcił głową.

— Jest Wielkanoc — powiedział — a ja jestem tutaj. Siła mojego ducha jest zbyt wielka, nie powinieneś mnie dotykać. Teraz, w tej chwili, mój duch jest w całości.

— Ty nie jesteś człowiekiem — stwierdził Herb Asher porażony.

— Jestem wieloma ludźmi — powiedział Elias. — Cieszę się, że cię znów widzę. Emmanuel uprzedził mnie, że dziś wyjdiesz.

— Czy chłopak jest zdrowy?

— Jest piękny.

— Widziałem go. Raz, jakiś czas temu. W wizji, którą... — zastanowił się. — Którą zesłał mi Jehowa. Żeby mi pomóc.

— Czy miałeś sny?

— O Rybys. I o tobie też. O wszystkim, co się zdarzyło. Przeżywałem to stale na nowo.

— Ale teraz żyjesz naprawdę. Witaj z powrotem, Herbercie Asher. Mamy wiele do zrobienia.

— Czy mamy szansę? Czy mamy jakąś realną szansę?

— Chłopiec ma dziesięć lat — powiedział Elias. — Namieszał im w głowach, zakłócił ich myślenie. Sprawił, że zapomnieli. Ale... — Elias zamilkł na chwilę. — On też zapomniał. Sam zobaczysz. Kilka lat temu zaczął sobie przypominać, usłyszał pewną piosenkę i pamięć mu częściowo wróciła. Może wystarczająco, a może nie. Może ty przypomnisz mu więcej. On sam siebie zaprogramował, od początku, jeszcze przed wypadkiem.

— Został więc poszkodowany? W tym wypadku? — wydusił z siebie Herb Asher z największym trudem.

Elias kiwnął ponuro głową.

— Uraz mózgu — powiedział Herb Asher, widząc wyraz twarzy przyjaciela.

Starzec ponownie kiwnął głową, stary żebrak z kubkiem. Nieśmiertelny Eliasz tutaj, w dniu Wielkanocy. Jak zawsze. Odwieczny wierny przyjaciel człowieka. Oberwany, niechlujny i bardzo mądry.

— Wraca twój ojciec, prawda? — spytała Zina.

Siedzieli razem na ławce w parku Rock Creek nad zamarzniętym stawem. Osłaniały ich nagie gałęzie drzew. Nastąpiły mrozy i oboje byli grubo ubrani. Ale niebo nad głową było czyste. Emmanuel patrzył przez chwilę w górę.

— Co mówi twoja tabliczka? — spytała Zina.

— Nie muszę radzić się tabliczki.

— On nie jest twoim ojcem.

— Jest dobrym człowiekiem — powiedział Emmanuel. — To nie jego wina, że moja matka zginęła. Ucieszę się, gdy zobaczę go znowu. Było mi go brak. — Upłynęło wiele czasu, pomyślał. Podług miary przyjętej tutaj, w Dolnym Królestwie.

Jakież to tragiczne królestwo, zamyślił się. Jego mieszkańcy są więźniami, a ich największą tragedią jest to, że nie zdają sobie z tego sprawy, myślą, że są wolni, bo nigdy nie byli wolni i nie wiedzą, co to znaczy być wolnym. Ten świat to więzienie i niewielu to zrozumiało. Ale ja wiem, pomyślał. Bo po to tu jestem. Żeby rozwalić te mury, skruszyć żelazne bramy, rozerwać wszystkie łańcuchy. „Nie zawiążesz pyska wołowi młóca-cemu”, pomyślał, wspomniawszy Torę. Nie będziesz więził wolnej istoty, nie będziesz jej trzymał w kajdanach. Tak mówi Pan, twój Bóg. Tak mówię ja.

Oni nie wiedzą, komu służą. To jest istota ich nieszczęścia: służba w błędzie, służba niewłaściwej sprawie. Są jak zatruci metalem, myślał. Metalem, który ich zamyka i metalem we krwi, to jest metalowy świat. Napędzany kołami zębatymi, maszynierią, która obraca się, produkując cierpienie i śmierć... Oni tak przywykli do śmierci, uświadomił sobie, jakby śmierć też była czymś naturalnym. Ile to czasu upłynęło, odkąd znali Ogród? To miejsce kwiatów i łagodnych zwierząt. Kiedy będę mógł znów znaleźć dla nich to miejsce?

Istnieją dwie rzeczywistości, rozmyślał. Czarne Żelazne Więzienie, zwane Jaskinią Skarbów, w którym teraz żyją, i Ogród Palmowy z jego rozległymi przestrzeniami i światłem, w którym początkowo mieszkali. Teraz są dosłownie ślepi, myślał. Widzą tylko rzeczy najbliższe, a wszystko, co znajduje się dalej, jest dla nich teraz naprawdę niewidzialne. Co jakiś czas któryś z nich domyśli się, że kiedyś mieli zdolności dziś zatracone, co jakiś czas ktoś odkryje prawdę, że nie są teraz tacy, jak byli kiedyś, i że nie mieszkają tam, gdzie kiedyś mieszkali. Ale na powrót wszystko zapominają, tak jak ja zapomniałem. I nadal nie wszystko pamiętam, uświadomił sobie. Nadal widzę tylko częściowo. Ja też jestem częściowo ślepy.

Ale już nie na długo.

— Chcesz pepsi? — spytała Zina.

— Jest za zimno. Chcę tylko posiedzieć.

— Nie martw się. — Położyła dłoń w rękawiczkę na jego ramieniu. — Bądź radosny.

— Jestem tylko zmęczony. Nic mi nie będzie. Jest tyle do zrobienia. Przepraszam. To wielki ciężar.

— Chyba się nie boisz?

— Już nie.

— Jesteś smutny. Kiwnął głową.

— Poczujesz się lepiej, kiedy znów zobaczysz Herba Ashera — powiedziała Zina.

— Widzę go teraz.

— To dobrze — powiedziała Zina zadowolona. — I to bez pomocy tabletki.

— Coraz rzadziej z niej korzystam, bo wiedza jest z każdym dniem bardziej we mnie.

Jak sama wiesz. I wiesz dlaczego.

Zina nic na to nie odpowiedziała.

— Jesteśmy sobie bliscy, ty i ja. Zawsze kochałem cię najbardziej ze wszystkich. I zawsze będę cię kochał. Zostaniesz ze mną i będziesz mi pomagać, prawda? — Znał odpowiedź, wiedział, że tak będzie. Zina była z nim od początku, tak jak powiedziała, była jego mistrzynią i rozkoszą. Ona zaś, jak powiada Pismo, znajduje radość przy synach ludzkich. W ten sposób za jej pośrednictwem on też kocha ludzkość, która jest też jego rozkoszą.

— Moglibyśmy napić się czegoś ciepłego — powiedziała Zina.

— Ja chcę tylko posiedzieć — mruknął. Będzie tu siedział aż do czasu, kiedy będzie można pójść i przywitać Herba Ashera, dokończył w myśli. On mi opowie o Rybys, jego wspomnienia o niej sprawią mi radość, radość, której mi teraz tak brakuje.

Kocham go, pomyślał. Kocham męża mojej matki, mojego oficjalnego ojca. To dobry człowiek, pełen zalet i zasługuje na szacunek.

Jednak w odróżnieniu od innych dobrych ludzi Herb Asher wie, kim jestem. Dlatego mogę z nim rozmawiać otwarcie, tak jak z Eliaszem. I z Ziną. To mi pomoże, myślał. Będę mniej przygnębiony. Nie tak, jak teraz, kiedy jestem zmartwiony i przytłoczony moimi troskami. Ten ciężar stanie się w pewnym stopniu lżejszy, bo będę go dzielił.

Poza tym, myślał, jest jeszcze tyle rzeczy, których nie pamiętam. Nie jestem taki, jaki byłem. Podobnie jak oni, jak ludzie, upadłem. Ta jasna gwiazda zaranna, która spadła, nie spadła sama, pociągnęła za sobą wszystko, łącznie ze mną. Upadła z nią część mojej własnej istoty i jestem teraz istotą upadłą.

Potem jednak, siedząc z Ziną na ławce w parku w ten zimny dzień, na krótko przed wiosenną równonocą, pomyślał: Kiedy moja matka walczyła o życie, Herbert Asher wylegiwał się na swojej koi, snując marzenia o fantomatycznym życiu z Lindą Fox. Ani



razu nie próbował jej pomóc, ani razu nie spytał, co jej dolega i czy coś może dla niej zrobić. Nie zrobił nic, dopóki ja sam, osobiście, nie zmusiłem go, żeby do niej poszedł. Nie kocham tego człowieka, powiedział sobie. Znam go i wiem, że stracił prawo do mojej miłości, utracił moją miłość przez swoją obojętność.

Dlatego i ja nie będę się o niego troszczył. W rewanżu.

Dlaczego miałbym komuś z nich pomagać? pytał sam siebie. Robią to, co słuszne, tylko kiedy się ich do tego zmusi, kiedy nie mają innego wyjścia. Upadli ze swojej własnej woli, na skutek swoich własnych uczynków. Moja matka przez nich zginęła, to oni ją zamordowali. Mnie też by zamordowali, gdyby odkryli, gdzie jestem. Dają mi spokój tylko dlatego, że zmaćłem im zmysły. Wysoko i nisko dybią na moje życie, tak jak Achab dawno temu dybał na życie Eliasza. Są bezwartościowym rodzajem i nie dbam, czy upadną. Nie zależy mi na nich ani trochę. Chcąc ich ratować, muszę walczyć z nimi samymi. Zawsze byli tacy.

— Wyglądasz na bardzo przygnębionego — zauważyła Zina.

— Po co to wszystko? — powiedział. — Oni są tacy, jacy są. Czuję się coraz bardziej znużony. I coraz mniej mi zależy, w miarę, jak wraca mi pamięć. Od dziesięciu lat żyję na tym świecie i od dziesięciu lat oni na mnie polują. Niech giną. Czyż to nie ja dałem im prawo odwetu: „Oko za oko, ząb za ząb”? Czy nie jest to zapisane w Torze? Wypędzili mnie z tego świata dwa tysiące lat temu, a kiedy wracam, chcą mnie zabić. Zgodnie z prawem odwetu powinienem i ja życzyć im śmierci. Takie jest święte prawo Izraela. To moje prawo, moje słowo. Zina milczała.

— Poradź mi — poprosił Emmanuel. — Zawsze słucham twoich rad.

Zina powiedziała:

*Pewnego dnia prorok Eliasza przyszedł do rabina Baruki na targu w Lapet. Rabin Baruka spytał go: „Czy wśród tych ludzi na targu jest ktoś, kto dostąpi życia w przyszłym świecie?”... Wtedy pojawiło się dwóch ludzi i Eliasza powiedział: „Ci dwaj dostąpią życia w przyszłym świecie”. „Czym się zajmujecie?” spytał ich rabin Baruka. Jesteśmy wesółkami — odpowiedzieli. — Kiedy widzimy kogoś smutnego, rozweselamy go. Kiedy widzimy ludzi kłócących się, próbujemy ich pogodzić”.*

— Sprawiaś, że jestem mniej smutny — powiedział Emmanuel. — I mniej zmęczony. Robisz tak zawsze. Jak powiada o tobie Pismo:

*Dzień po dniu byłam przy twoim boku, byłam twoją mistrzynią i rozkoszą, igrając na okręgu ziemi, znajdując radość przy synach ludzkich.*

I powiada jeszcze Pismo:

*Ją to pokochałem, jej od młodości szukałem: pragnąłem ją sobie wziąć za oblubienicę i stałem się miłośnikiem jej piękna.*

Ale to był Salomon, nie ja.

*Postanowiłem więc wziąć ją za towarzyszkę życia, wiedząc, że będzie mi doradczynią w dobrym, a w troskach i smutku pociechą.*

Salomon był mądrym człowiekiem, że tak cię kochał.

Dziewczynka uśmiechnęła się. Nie odezwała się, ale jej ciemne oczy rozbłysły.

— Dlaczego się śmiejesz? — spytał.

— Bo wykazałeś prawdę Pisma, które mówi:

*Wszedłszy do swego domu przy niej odpoczneń, bo obcowanie z nią nie sprawia przykrości, ani współzycie z nią nie przynosi udręki, ale wesele i radość.*

Pamiętaj, że zawarłeś Przymierze z człowiekiem. I że stworzyłeś go na swój obraz i podobieństwo. Nie możesz zerwać tego Przymierza, dałeś człowiekowi obietnicę, że nigdy go nie zerwiesz.

— To prawda — przyznał Emmanuel. — Dobrze mi radzisz. — I rozweselasz moje serce, pomyślał. Ty przede wszystkim, ty, która istniałaś przed stworzeniem świata. Jak ci dwaj wesołkowie, o których Eliasz powiedział, że będą zbawieni. Twój taniec, twój śpiew i dźwięk dzwoneczków. — Wiem — powiedział — co znaczy twoje imię.

— Zina? To tylko imię.

— To rumuńskie słowo na... — Umilkł, dziewczynka cała drżała, oczy miała szeroko otwarte.

— Od jak dawna to wiesz? — spytała.

— Od lat. Posłuchaj:

*Znam łąkę dzikim tymiankiem zarostą  
I stokrotkami i fijołkiem chwiejnym,  
Tam wonne róże z jaśminem się plotą  
Przykryte dachem pachnących powojów.  
I wąż tam zrzuca łusek swych emalię,*

Dokończę. Posłuchaj:

*A każda łuska jest odzieniem elfa\** [\*Przełożył K.I. Gałczyński.].

— A wiedziałem to — dokończył — przez cały ten czas.

— Tak, Zina znaczy elf — przyznała, wpatrując się w niego wielkimi oczami.

— Nie jesteś Świętą Mądrością — powiedział. — Ty jesteś Dianą, królową elfów.

Zimny wiatr zaszeleścił w gałęziach drzew, a na drugim brzegu skutej lodem wody poderwało się kilka suchych liści.

Wiatr wokół ich dwojga szumiał, jakby coś szeptał. Emmanuel słyszał w tym szumie słowa. Wiatr mówił:

### STRZEŻ SIĘ!

Chłopiec zastanawiał się, czy ona też to słyszała.

Nadal jednak pozostawali przyjaciółmi. Zina opowiedziała Emmanuelowi o swoim wczesnym wcieleniu. Tysiące lat temu była egipską boginią Ma'at, uosabiającą kosmiczny ład i sprawiedliwość. Kiedy ktoś umierał, jego serce porównywano na wadze ze strusim piórem Ma'at. W ten sposób określano ciężar jego grzechów.

Zasadą, przy pomocy której ustalano stopień winy, był stopień prawdomówności. Wyrok zależał od tego, czy dana osoba mówiła prawdę. Sądowi przewodniczył wprawdzie Ozyrys, ponieważ jednak to Ma'at było boginią prawdomówności, orzeczenie zależało od jej decyzji.

— Potem — mówiła Zina — idea sądu nad duszami ludzi przewędrowała do Persji. W starożytnej perskiej religii, mazdaizmie, zmarła osoba musiała przejść przez most rozdzielający. Jeżeli człowiek był zły, most stawał się coraz węższy, aż człowiek spadał z niego w ognistą czelusć piekła. Stąd właśnie judaizm w późniejszym stadium i chrześcijaństwo czerpały swoje wyobrażenia o dniach ostatecznych.

Osobę dobrą, która zdołała przebyć most rozdzielający, witał duch jej religii: piękna, młoda kobieta o wspaniałych, dużych piersiach. Jeżeli jednak osoba była zła, duch religii przybierał postać wychudłej, starej jędzy z wiszącymi cyckami. Można było zatem na pierwszy rzut oka zorientować się, do której kategorii się należy.

— Czy ty byłaś duchem religii dla osób dobrych? — spytał Emmanuel.

Zina nie odpowiedziała na to pytanie, przeszła do innych spraw, bardziej, jej zdaniem, palących.

W tych sądach nad zmarłymi, wywodzących się z Egiptu i Persji, ocena była bezlitosna i dusza grzesznika nie miała de facto żadnych szans. Z chwilą śmierci księga rejestrująca dobre i złe uczynki zamykała się, i nikt, nawet bogowie, nie mógł zmienić bilansu. W pewnym sensie procedura sądowa miała charakter mechaniczny. Rachunek zysków i strat był prowadzony na bieżąco za życia człowieka i teraz ten rachunek wprowadzano do maszyny liczącej. Z chwilą kiedy lista znalazła się w maszynie, sprawa była zakończona. Tryby maszyny miały grzesznika pod obojętnym okiem bogów.

Ale pewnego dnia, mówiła Zina, na drodze prowadzącej do mostu rozdzielającego pojawiła się nowa postać. Była to zagadkowa osoba składająca się jakby ze zmiennego ciągu ról. Czasami nazywano ją Pocieszycielem. Czasami obrońcą. Czasami Rzecznikiem. Czasami Wspomożycielem. Czasami Doradcą. Nikt nie wiedział, skąd on się wziął. Przez tysiące lat nie było go tam i nagle się zjawił. Stał na poboczu ruchliwej drogi, którą dusze wędrowały do mostu rozdzielającego, i jako niejasna postać czasami, choć rzadko, sprawiająca wrażenie kobiety, dawał znaki wszystkim przechodzącym, chcąc zwrócić ich uwagę. Chodziło o to, żeby Rzecznik porozumiał się z duszą, zanim ta wejdzie na most rozdzielający, bo wtedy było już za późno.

— Na co za późno? — spytał Emmanuel.

— Zatrzymawszy osobę zbliżającą się do mostu rozdzielającego, Rzecznik pytał ją, czy chce być reprezentowana w zbliżającej się próbie.

— Przez Rzecznika?

— Rzecznik — wyjaśniała Zina — przyjmował wtedy rolę obrońcy, ofiarowywał się wystąpić po stronie tej osoby, ale ofiarowywał coś jeszcze. Proponował, że przedstawi mechanizmowi sprawiedliwości swój rachunek zysków i strat zamiast rachunku tej osoby. Jeżeli ten ktoś był niewinny, nie miało to znaczenia, ale dla grzesznika oznaczało uniewinnienie zamiast wyroku skazującego.

— To nieuczciwe — powiedział Emmanuel. — Winnych należy karać.

— Dlaczego?

— Bo takie jest prawo.

— Wobec tego dla winnych nie ma nadziei.

— Oni nie zasługują na nadzieję — powiedział Emmanuel.

— A co, jeżeli wszyscy są winni? O tym nie pomyślał.

— A co przedstawia rachunek zysków i strat Rzecznika? — spytał.

— Nic. To czysty kawałek papieru. Dokument, w którym nic nie jest zapisane.

— Machina sprawiedliwości nie może tego przyjąć.

— Przyjmuje — powiedziała Zina. — Zakłada, że otrzymała rachunek osoby całkowicie bezgrzesznej.

— Ale wobec tego nie będzie mogła działać. Nie otrzyma wstępnych danych.

— O to właśnie chodzi.

— Wobec tego maszyna sprawiedliwości zostaje oszukana.

— Pozbawiona ofiary. A czy nie o to chodzi? Czy muszą być ofiary? Co za korzyść płynie z nie kończącego się orszaku ofiar? Czy to naprawia wyrządzone zło?

— Nie — przyznał Emmanuel.

— Pomysł polega na tym, żeby wprowadzić do systemu miłosierdzie. Rzecznik jest *amicus curiae*, przyjacielem sądu. Sąd godzi się, aby mu doradzać, a Rzecznik stwierdza, że rozpatrywana sprawa stanowi wyjątek i ogólna zasada karania nie znajduje tu zastosowania.

- I robi to dla wszystkich? Dla każdego grzesznika?
- Dla każdego, który przyjmie jego propozycję obrony i pomocy.
- W takim razie mielibyśmy nie kończyć się orszak wyjątków, bo przecież żaden zdrowy na umyśle grzesznik nie odrzuciłby takiej propozycji. Każdy chciałby być sądzony jako wyjątek, jako przypadek z uwzględnieniem okoliczności łagodzących.
- Rzec w tym, że taka osoba musiałaby przed samą sobą przyznać swoją winę. Mogłaby też postawić na to, że okaże się niewinna i wobec tego nie potrzebuje pomocy Rzecznika.
- To byłby głupi wybór — powiedział Emmanuel po chwili namysłu. — Ktoś taki mógłby się mylić, a przecież, przyjmując pomoc Rzecznika, nic nie traci.
- W rzeczywistości jednak większość dusz, mających stanąć przed sądem, odrzuca pomoc Rzecznika — powiedziała Zina.
- Na jakiej podstawie? — Nie mógł zgłębić ich rozumowania.
- Na tej podstawie, że są pewni swojej niewinności. Żeby otrzymać pomoc, człowiek musi przyjąć pesymistyczne założenie, że jest winien, nawet jeżeli w swojej własnej ocenie czuje się niewinny. Prawdziwie niewinni nie potrzebują Rzecznika, podobnie jak zdrowi nie potrzebują lekarza. W takiej sytuacji założenie optymistyczne jest śmiertelnie niebezpieczne. Jest to teoria zwolnienia za kaucją, którą stosują małe zwierzątka, kiedy kopią sobie norę. Jeżeli są sprytne, budują zapasowe wyjście, wychodząc z pesymistycznego założenia, że drapieźnik znajdzie pierwsze. Zwierzątek, które nie przyjęły tej teorii, nie ma już na świecie.
- To poniżające dla człowieka, że musi się uznać za grzesznika — powiedział Emmanuel.
- Dla susła poniżające jest przyznanie, że jego nora może być niedoskonała i drapieźnik potrafi ją znaleźć.
- Mówisz o sytuacji antagonistycznej. Czy boska sprawiedliwość jest sytuacją antagonistyczną? Czy w tym sądzie jest oskarżyciel?
- Tak, w boskim sądzie występuje oskarżyciel człowieka, to szatan. Jest adwokat, który broni oskarżonego i szatan, który przeciwko niemu występuje i go oskarża. Rzecznik stoi przy człowieku, broni go i wstawia się za nim, szatan staje przeciwko człowiekowi i przedstawia dowody na jego niekorzyść. Czy chciałbyś, żeby człowiek miał oskarżyciela, a nie miał obrońcy? Czy to byłoby sprawiedliwe?
- Ale obowiązuje domniemanie niewinności.
- Oczy dziewczynki błysnęły.
- Jest to dokładnie to, co mówi obrońca na każdej sprawie. Dlatego zastępuje rejestr win klienta swoim własnym nieskazitelnym bilansem i usprawiedliwia podopiecznego, stawiając się na jego miejscu.
- Czy to ty jesteś tym Rzecznikiem? — spytał Emmanuel.

— Nie. On jest o wiele bardziej zagadkową postacią niż ja. Jeżeli masz trudności ze mną, z określeniem...

— Mam — powiedział Emmanuel.

— On jest stosunkowo nowy w tym świecie. Nie występuje we wcześniejszych eonach. Jest przykładem ewolucji boskiej strategii, jednym z elementów, za pomocą którego ma zostać naprawiona pierwotna szkoda. Jednym z wielu, ale najważniejszym.

— Czy ja go kiedyś spotkam?

— Ty nie będziesz sądzony, więc pewnie nie. Ale wszyscy ludzie zobaczą go, jak stoi na poboczu ruchliwej drogi, proponując im swoją pomoc. Proponując ją w odpowiednim czasie, zanim wejdą na most rozdzielający i staną przed sądem. Rzecznik zawsze pojawia się w odpowiednim czasie. Jest to część jego natury.

— Chciałbym go spotkać — powiedział Emmanuel.

— Prześledź drogę jakiegokolwiek istoty ludzkiej, a dojdiesz do punktu, w którym ta istota spotyka go w swojej wędrówce. W ten sposób i ja dowiedziałam się o nim, bo ja też nie podlegam sądowi. — Zina wskazała tabliczkę, którą dała kiedyś Emmanuelowi. — Zwróć się do niej po dodatkowe informacje na temat Rzecznika.

Na tabliczce ukazało się słowo:

## WZYWAĆ

— Czy to wszystko, co możesz mi powiedzieć? — spytał Emmanuel.

Pokazało się nowe słowo, w języku greckim:

## PARAKALEIN

Zastanawiał się nad tym, zastanawiał się bardzo mocno, nad tą nową istotą, która pojawiła się w świecie... którą można było przywołać w potrzebie, którą mogli wezwać na pomoc ludzie zagrożeni wyrokiem skazującym. Była to jeszcze jedna z wielu tajemnic przedstawionych mu przez Zinę. Tyle ich się już nagromadziło. Myślenie o nich sprawiało mu przyjemność. Choć czuł się zagubiony.

Wzywać na pomoc: parakalein. Dziwne, myślał. Świat zmienia się, upadając coraz niżej. Występują w nim dwie różne tendencje: upadek i jednocześnie skierowany w górę ruch naprawy. Przeciwstawne ruchy w postaci dialektyki wszelkiego aktu twórczego i sił ścierających się w nim.

A jeżeli Zina przewodziła siłom upadku? Kusiła do dalszego upadku? Tego jeszcze nie wiedział.

# 11

Wyciągnawszy ramiona, Herb Asher przytulił chłopca z całej siły.

— A to jest Zina — powiedział Elias Tate. — Koleżanka Emmanuela. — Wziął dziewczynkę za rękę i przyprowadził ją do Herba Ashera. — Jest trochę starsza od Manny'ego.

— Cześć — powiedział Herb Asher, ale nie zwrócił na nią większej uwagi. Chciał patrzeć na syna Rybys. Dziesięć lat, pomyślał. Dziecko rosło, podczas gdy ja śniłem i śniłem, myśląc, że żyję, a tymczasem nie żyłem.

— Ona mu pomaga — powiedział Elias. — Uczy go. Bardziej niż szkoła. Bardziej niż ja.

Spojrząwszy na dziewczynkę, Herb Asher ujrzał piękną, bladą buzię w kształcie serduszka z oczami, w których tańczyły światełka. Jakie ładne dziecko, pomyślał i zwrócił się z powrotem do syna Rybys. Nagle jednak, jakby go coś tknęło, spojrzał jeszcze raz na dziewczynkę.

W jej twarzy pojawił się jakiś figlarny błysk. Szczególnie w oczach. Tak, pomyślał, jest coś w tym spojrzeniu, jakaś mądrość.

— Są razem od czterech lat — powiedział Elias. — Ona dała mu tabliczkę najnowszej generacji. To jakaś nowoczesna końcówka komputera, która zadaje mu pytania... stawia mu pytanie i naprowadza na odpowiedź, prawda, Manny?

— Jak się masz, Herbie Asher — powiedział Emmanuel. W przeciwieństwie do dziewczynki był poważny i jakby przygaszony.

— Cześć — odpowiedział Asher — Jaki jesteś podobny do matki.

— W tym tyglu rośniemy — rzucił zagadkowo Emmanuel. Nie wyjaśniał, co miał na myśli.

— Czy... — Herb nie wiedział, co powiedzieć. — Wszystko w porządku?

— Tak — chłopiec kiwnął głową.

— Dźwigasz wielki ciężar — powiedział Herb.

— Tabliczka płata figle — stwierdził Emmanuel. Zapadła cisza.

— O co chodzi? — zwrócił się Herb do Elias.



— Coś jest nie tak, prawda? — spytał Elias chłopca.

— Kiedy moja matka umarła — powiedział Emmanuel wpatrując się w Herba Ashera — słuchałeś ułudy. Ona nie istnieje, ta twoja Fox. To ułuda i nic więcej.

— To było dawno temu — powiedział Herb.

— Ta ułuda jest z nami w tym świecie — stwierdził Emmanuel.

— Mnie to nie obchodzi — powiedział Herb.

— Ale mnie obchodzi. Mam zamiar rozwiązać ten problem. Nie teraz, ale w odpowiednim czasie. Ty zapadłeś w sen, bo jakiś głos kazał ci zasnąć. Ten świat, cała ta planeta, wszyscy jej mieszkańcy — wszystko tutaj jest pogrążone we śnie. Przyglądałem się temu światu przez dziesięć lat i nie zobaczyłem nic, co można by powiedzieć na jego usprawiedliwienie. Robi to, co ty robiłeś. Jest tam, gdzie ty byłeś. Może ty nadal śpisz? Czy śpisz, Herbie Asher? Kiedy leżałeś zamrożony, śniłeś o mojej matce. Podłączyłem się do tych twoich snów. Dużo się z nich dowiedziałem o matce. Jestem nią tak samo jak sobą. Zgodnie z obietnicą, którą otrzymała, ona żyje we mnie i w sobie, uczyniłem ją nieśmiertelną. Twoja żona jest tutaj, nie w tamtej zaśmieconej kopule. Czy zdajesz sobie z tego sprawę? Spójrz na mnie i ujrysz Rybys, na którą nie zwracałeś uwagi.

— Ja... — zaczął Herb Asher.

— Nie masz mi nic do powiedzenia — przerwał mu Emmanuel. — Słucham twojego serca, nie twoich słów. Znałem cię wtedy i znam cię teraz. „Herbercie, Herbercie”, wołałem do ciebie. Wezwałem cię na powrót do życia dla dobra twojego i jej, a ponieważ było to dla niej, było to również dla mnie. Kiedy pomagałeś jej, pomagałeś również mnie. A kiedy lekceważyłeś ją, lekceważyłeś też mnie. Tak mówi twój Bóg.

Elias otoczył Herba Ashera ramieniem, żeby mu dodać odwagi.

— Będę ci zawsze mówił prawdę, Herbie Asher — ciągnął chłopiec. — W Bogu nie ma fałszu. Chcę, żebyś żył. Już raz przywołałem cię do życia, kiedy leżałeś w psychologicznej śmierci. Bóg nie pragnie śmierci żadnej żywej istoty. Bóg nie znajduje przyjemności w nieistnieniu. Czy wiesz, kim jest Bóg, Herbie Asher? Bóg jest tym, który powołuje do istnienia. Innymi słowy, jeżeli szukasz podstawy wszelkiego bytu, nieomylnie znajdziesz Boga. Możesz wrócić do Boga, wychodząc od wszechświata fenomenalnego, albo możesz wychodzić od Stwórcy do wszechświata fenomenów. Każde zakłada istnienie drugiego. Stwórca nie byłby Stwórcą, gdyby nie było wszechświata, a wszechświat przestałby istnieć, gdyby Stwórca nie podtrzymywał jego istnienia. Stwórca nie poprzedza wszechświata w czasie, on w ogóle nie istnieje w czasie. Bóg stwarza wszechświat nieustannie, jest z nim, nie zaś nad nim ani za nim. Ty nie możesz tego zrozumieć, bo sam jesteś stworzony i istniejesz w czasie. Ale w końcu wrócisz do Stwórcy i wtedy nie będziesz już zamknięty w czasie. Jesteś oddechem Stwórcy i kiedy on robi wdech i wydech, ty żyjesz. Zapamiętaj to, bo to jest wszystko, co musisz wiedzieć o Bogu. Najpierw Bóg robi wydech i wtedy wszystko powstaje, a potem, w pewnym momencie, wszystko

do niego wraca i to jest wdech. Ten cykl jest wieczny. Opuszczasz mnie, jesteś z dala ode mnie, zawracasz, łączysz się ze mną. Ty i wszystko inne. To jest proces, to jest działanie, moje działanie. To rytm mojej własnej istoty, rytm, który żywi was wszystkich.

Zdumiewające, pomyślał Herb Asher. Mówi te słowa dziesięcioletni chłopiec, jej syn.

— Emmanuelu — odezwała się Zina — jesteś napuszony. Chłopiec uśmiechnął się do niej.

— Wolałabyś gierki? To by ci się bardziej podobało? Są wydarzenia, które muszą ukształtować. Muszę wzniecić ogień, który pali, który spopiela. Pismo mówi:

*Albowiem On jest jak ogień złotnika.*

Pismo mówi też:

*Ale kto przetrwa dzień jego nadejścia?*

Ja powiadam jednak, że będzie coś więcej. Ja mówię:

*Oto nadchodzi dzień palący jak piec, a wszyscy pyszni i wszyscy wy rządzący krzywdę będą słomą, więc spali ich ten nadchodzący dzień, tak że nie pozostawi po nich ani korzenia, ani gałązki.*

— Co ty na to, Herbie Asher? — Emmanuel wpatrywał się w niego, oczekując odpowiedzi.

— Ale dla was, czczących moje imię, wszędzie słońce sprawiedliwości i uzdrowienie w jego skrzydłach — odezwała się Zina.

— To prawda — powiedział Emmanuel.

— Wyjdziecie swobodnie i będziecie podskakiwać jak tuczone cielęta — wtrącił cicho Elias.

— Tak — Emmanuel skinął głową.

— Boję się. Naprawdę się boję. — powiedział Herb Asher, odpowiadając chłopcu spojrzeniem na spojrzenie. Był zadowolony, że czuje na ramieniu przyjazną dłoń Eliasa.

— On nie uczyni tych przerażających rzeczy. To tylko postrach dla ludzi — powiedziała Zina uspokajającym, łagodnym tonem.

— Zina! — skarcił ją Elias.

— To prawda — roześmiała się. — Spytajcie jego samego.

— Nie będziesz wystawać Pana Boga swego na próbę — powiedział Emmanuel.

— Ja się nie boję — stwierdziła spokojnie Zina.

— Żelazną różgą będę wami rządzić i jak naczynia gliniane was pokruszę — powiedział do niej Emmanuel.

— Nie — zaprzeczyła Zina i zwróciła się do Herba Ashera. — Nie ma się czego bać. To sposób wyrażania się, nic więcej. Jeżeli poczujesz strach, przyjdź do mnie, a ja z tobą porozmawiam.

— To prawda — potwierdził Emmanuel. — Jeżeli cię schwytają i wtrącają do więzienia, ona pójdzie z tobą. Nigdy cię nie opuści. — Przez jego twarz przebiegł grymas bólu. Nagle był z powrotem dziesięcioletnim chłopcem. — Ale...

— O co chodzi? — spytał Elias.

— Nie powiem teraz — odezwał się z wysiłkiem. Herb Asher z niedowierzaniem dostrzegł w oczach chłopca łzy. — Może nie powiem tego nigdy. Ona wie, o co chodzi.

— To prawda — powiedziała Zina i uśmiechnęła się. W tym jej uśmiechu było coś przewrotnego albo tak się wydało Herbowi Asherowi. To go zastanowiło. Nie rozumiał niewidocznej nici porozumienia między synem Rybys a tą dziewczynką. To rodziło w nim podejrzliwość i lęk. Poczucie głębokiego niepokoju.

Tego wieczoru jedli kolację w czwórkę.

— Gdzie mieszkasz? — spytał Herb Asher dziewczynki. — Czy masz jakąś rodzinę? Ojca i matkę?

— Formalnie jestem pod opieką szkoły państwowej, do której chodzimy — powiedziała Zina — ale faktycznie jestem teraz adoptowana przez Eliasa. Elias jest w trakcie przejmowania opieki nade mną.

— Stanowimy we troje rodzinę — powiedział Elias, nie przerywając posiłku. — Teraz ty też jesteś z nami, Herb.

— Może wrócę do swojej kopuły — stwierdził Herb. — W układzie CY30-CY30B. Elias zastygł z uniesionym widelcem.

— Dlaczego?

— Nie czuję się tu dobrze. — Nie przemyślał tego do końca, jego odczucia pozostały nie sprecyzowane. Choć były intensywne. — Tu się czuje ucisk. Tam jest więcej poczucia swobody.

— Swobody, żeby leżeć na koi i słuchać Lindy Fox? — spytał Elias.

— Nie. — Potrząsnął głową.

— Emmanuelu — wtrąciła się Zina — straszysz go tymi opowieściami o zesłaniu ognia na Ziemię. On pamięta biblijne plagi. To, co się stało w Egipcie.

— Chcę wrócić do domu — stwierdził Herb po prostu.

— Tęsknisz za Rybys — powiedział Emmanuel.

— Tak. — To była prawda.

— Jej tam nie ma — przypomniał mu Emmanuel. Jadł powoli, z namaszczeniem, kęs za kęsem. Zupełnie jakby jedzenie było dla niego jakimś uroczystym rytuałem. Jakby spożywał coś uświęconego.

— Nie możesz jej przywrócić do życia? — spytał Emmanuela. Chłopiec nie odpowiedział. Jadł dalej.

— Nie odpowiesz? — spytał Herb z goryczą.

— Nie po to tutaj jestem — odpowiedział Emmanuel. — Ona rozumiała. Ty nie musisz rozumieć, ale było ważne, żeby ona wiedziała. Dałem jej to zrozumienie. Pamiętasz, byłeś tam wtedy, w dniu, kiedy jej powiedziałem, co ją czeka.

— W porządku — powiedział Herb.

— Ona żyje teraz gdzie indziej — tłumaczył Emmanuel. — Ona...

— W porządku — powtórzył Herb z gniewem, z wielkim gniewem.

— Nie rozumiesz sytuacji, Herbercie — zwrócił się do niego Emmanuel, mówiąc wolno i spokojnie. — Ja nie walczę o dobry świat, ani o sprawiedliwy, ani o piękny. Tu chodzi o samo istnienie wszechświata. Ostateczne zwycięstwo Beliala nie oznacza uwięzienia ludzkości, przedłużenia jej niewolnictwa, ale niebyt. Beze mnie nie ma nic, nawet Beliala, którego stworzyłem.

— Jedz kolację — napomniała go łagodnie Zina.

— Potęga zła — kontynuował Emmanuel — polega na unicestwianiu rzeczywistości, na unicestwianiu samego istnienia. To stopniowe zanikanie wszystkiego, co istnieje, aż stanie się, jak Linda Fox, przywidzeniem. Ten proces został uruchomiony. Zaczął się od grzechu pierworodnego. Część kosmosu odpadła. Sama istota Boga doznała uszczerbku, możesz to sobie wyobrazić, Herbie Asher? Zagrożenie samej podstawy bytu. Możesz to sobie uzmysłwić? Zagrożenie dla istnienia samego Boga, czy to do ciebie dociera? Bo Bóg jest wszystkim, co stoi między... — przerwał. — Nie możesz sobie tego nawet wyobrazić. Żadne stworzenie nie potrafi sobie wyobrazić nieistnienia, zwłaszcza własnego nieistnienia. Ja muszę zapewniać istnienie, wszelkie istnienie. Włącznie z twoim.

Herb Asher milczał.

— Nadciąga wojna — mówił Emmanuel. — Wybierzemy miejsce bitwy. Dla nas dwóch, dla Beliala i dla mnie, stół, na którym zagramy. Na którym rozstrzygną się losy wszechświata, istnienia samego istnienia. Ja rozpoczynam ostateczną część tej odwiecznej wojny. To ja wkroczyłem na terytorium Beliala, to ja wyszedłem mu naprzeciw, nie on mnie. Czas pokaże, czy to była słuszna decyzja.

— Czy nie potrafisz przewidzieć wyniku? — spytał Herb.

Emmanuel przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu.

— Potrafisz — stwierdził Herb. Znasz wynik, uświadomił sobie. Wiesz teraz i wiedziałeś, kiedy wszedłeś w łono Rybys. Wiedziałeś od początku świata, właściwie wcześniej, przed stworzeniem świata.

— Będą grali według ustalonych reguł — powiedziała Zina.

— Więc to dlatego Belial cię nie zaatakował — domyślił się Herb. — To dlatego mogłeś tu żyć i dorastać przez dziesięć lat. On wie, że tu jesteś...

— Czy on wie? — spytał Emmanuel.

Cisza.

— Ja mu nie mówiłem — powiedział Emmanuel. — To nie mój obowiązek. Musi się dowiedzieć sam. Nie chodzi mi o rząd. Mam na myśli tę władzę, która rządzi naprawdę, w porównaniu z którą ten rząd, wszystkie rządy, to cienie.

— Powie mu, kiedy będzie gotów — powiedziała Zina.

— Czy jesteś gotów, Emmanuelu? — spytał Herb.

Chłopiec uśmiechnął się. Dziecinny uśmiech, całkowicie inny od surowego oblicza sprzed chwili. Milczy. Zabawa, uświadomił sobie Herb Asher. Dziecięce igraszki!

Widząc to zadrżał.

Milczenie naruszyła Zina.

— Czas jest dzieckiem rzucającym kości. Królestwo jest w ręku dziecka.

— Co to jest? — spytał Elias.

— To nie jest z judaizmu — powiedziała Zina niejasno i nie rozwijała tematu.

Ta jego część, która pochodzi od matki, ma dziesięć lat, a ta, która jest Jahem, nie ma wieku, to sama nieskończoność, rozmyślał Herb Asher. Połączenie bardzo młodego z beczasowym, dokładnie to, co stwierdziła Zina w swoim zagadkowym cytacie.

Może to połączenie nie jest czymś niezwykłym. Ktoś kiedyś je zauważył i wyraził słowami.

— Wyprawiasz się do królestwa Beliala — powiedziała Zina, nie przerywając jedzenia — ale czy miałbyś odwagę wybrać się do swojego królestwa?

— Cóż to za królestwo? — spytał Emmanuel. Elias Tate patrzył na dziewczynkę, równie zdumiony jak Herb Asher. Jeden Emmanuel chyba ją rozumiał, bo nie wyglądał na zaskoczonego. Mimo swojego pytania on wie, myślał Herb. On wie.

— Takie, w którym wyglądam nie tak, jak tutaj.

Minęła chwila milczenia, Emmanuel pogrążył się w zadumie. Nie odpowiedział, siedział zamysłony, jakby jego umysł gościł gdzieś daleko. Przelatując niezliczone światy, pomyślał Herb Asher. Jakie to dziwne. O czym oni mówią?

— Ja nie mam czasu, Zino — powiedział Emmanuel wolno i starannie. — Muszę sobie poradzić z przerażającym światem.

— Myślę, że się boisz. — Zina zajęła się szarlotką i lodami.

— Nie — zaprzeczył Emmanuel.

— No to chodź. — W jej oczach rozbłyły naraz kolor i ogień, chytrość i radość.

— Wyzywam cię — wyciągnęła do chłopca rękę.

— Chcesz być moim psychopompem — stwierdził ponuro.

— Tak, będę twoją przewodniczką.  
— Chcesz przewodzić swojemu Panu i Bogu?  
— Chciałabym ci pokazać, skąd dochodzi dźwięk dzwoneczków. Krainę, gdzie się rodzi ich głos. Co ty na to?  
— Pójdę — powiedział.  
— O czym wy mówicie? — spytał zaniepokojony Elias. — Manny, co to ma znaczyć! O co jej chodzi? Ona cię nie zabierze do żadnego miejsca, o którym ja nie wiem.  
Emmanuel spojrział na niego.  
— Masz dużo pracy — powiedział Elias.  
— Nie ma świata, w którym nie ma mnie. Jeżeli to jest rzeczywiste miejsce, a nie wymysł. Zina, czy twoje królestwo jest wymysłem?  
— Nie, ono jest rzeczywiste.  
— Gdzie się ono znajduje? — spytał Elias.  
— Tutaj — odpowiedziała.  
— Co to znaczy „tutaj”? Ja widzę, co jest tutaj. Tutaj to tutaj.  
— Ona ma rację — wtrącił się Emmanuel. — Dusza Boga — zwrócił się do Ziny — rozumie cię.  
— I ufa mi?  
— To jest gra — powiedział Emmanuel. — Dla ciebie wszystko jest grą. Zagram w tę grę. Mogę to zrobić. Zagram i wrócę. Do tego świata.  
— Czy ten świat jest dla ciebie tak cenny? — spytała.  
— To przerażające miejsce. Ale to tutaj muszę być w tym wielkim i strasznym dniu.  
— Daruj sobie ten dzień — powiedziała Zina, — Ja go sobie odpuszczę. Pokażę ci te dzwoneczki, które słyszysz, a ten dzień...  
— On i tak nadejdzie — powiedział Emmanuel. — Takie jest przeznaczenie.  
— To zagrajmy teraz — powiedziała Zina zagadkowo. Herb i Elias nadal nie rozumieli. Każde z nich wie, co drugie mówi, a ja nie, myślał Herb Asher. Dokąd ona go zabiera, skoro to jest tutaj? Przecież jesteśmy tutaj?  
— Chodzi o Tajne Królestwo — wyjaśnił Emmanuel.  
— Do licha, nie! — krzyknął Elias i cisnął kubkiem o ścianę, roztrzaskując go w drobny mak. — Manny, ja słyszałem o tym miejscu!  
— Co to jest? — spytał Herb Asher zdumiony wybuchem starca.  
— To właściwy termin — powiedziała spokojnie Zina. — „Pośredniej natury pomiędzy aniołem a człowiekiem” — zacytowała.  
— Ona cię zwodzi! — zakrzyknął z gniewem Elias i pochyliwszy się, chwycił chłopca swoimi wielkimi dłońmi.  
— To prawda — przyznał Emmanuel.

— Czy wiesz, dokąd ona cię zabiera? Wiesz i nie boisz się. A to jest błąd. Powinieneś się bać. Wynoś się stąd! — zwrócił się do Ziny. — Nie wiedziałem, czym jesteś. — Patrzył na nią z wściekłością i rozczarowaniem, wargi mu drżały. — Nie znałem cię, nie rozumiałem.

— On wiedział — odezwał się Zina. — Emmanuel mnie poznał. Tabliczka mu powiedziała.

— Skończmy kolację, a potem pójdę, z tobą Zina — zdecydował Emmanuel. — Zajął się jedzeniem na swój systematyczny sposób z obojętnym wyrazem twarzy. — Mam dla ciebie niespodziankę, Zina — powiedział.

— Tak? Co to jest?

— Coś, czego nie wiesz. — Emmanuel przestał jeść. — To było ustalone od początku. Widziałem to, zanim powstał wszechświat. Moją wizytę w twoim kraju.

— Zatem wiesz, jak to się skończy — powiedziała Zina. Po raz pierwszy zawahała się, wydała się niepewna. — Chwilami zapominam, że ty wiesz wszystko.

— Nie wszystko. Z powodu wypadku, uszkodzenia mózgu. To zadziało jak element losowy, wprowadzając przypadek.

— Czy to znaczy, że Bóg gra w kości? — spytała Zina, robiąc zdumioną minę.

— Jeżeli trzeba — powiedział Emmanuel. — Jak nie ma innego sposobu.

— Zaplanowałeś to — powiedziała Zina. — A może nie. Nie potrafię tego odgadnąć. Miałaś uszkodzony mózg, mogłaś nie wiedzieć... Rozgrywasz mnie, Emmanuelu. — Roześmiała się. — Bardzo dobrze. W ten sposób nie mam pewności. Znakomicie, moje gratulacje.

— Musisz to zrobić nie wiedząc, czy ja to zaplanowałem, czy nie. W ten sposób zyskuję przewagę.

Zina wzruszyła ramionami, ale Herb Asher wyczuwał, że nie odzyskała dawnej pewności siebie. Emmanuel zbił ją z tropu. To dobrze, pomyślał.

— Nie opuszczaj mnie, Panie — powiedział Elias drżącym głosem. — Weź mnie z sobą.

— Dobrze. — Chłopiec kiwnął głową.

— A co ja mam robić? — spytał Herb Asher.

— Chodź — powiedziała Zina.

— „Tajne Królestwo” — myślał na głos Elias. — Nie wierzyłem, że ono istnieje. — Wpatrywał się w dziewczynkę zdezorientowany. — Ono nie istnieje i o to chodzi!

— Istnieje — powiedziała Zina. — I to tutaj. Chodź z nami, Herbie Asher. Jesteś mile widziany. Ale tam jestem inna niż tutaj. Wszyscy jesteśmy inni. Z wyjątkiem ciebie, Emmanuelu.

— Panie... — zwrócił się Elias do chłopca.



— Są drzwi prowadzące do jej królestwa — powiedział Emmanuel. — Można je znaleźć wszędzie, gdzie istnieje złoty podział, prawda Zino?

— Prawda — potwierdziła.

— Oparty na stałej Fibonacciego — ciągnął Emmanuel. — Stosunek jak 1:0,618034. Starożytni Grecy znali to jako złoty podział i złoty prostokąt. Wykorzystywali go w architekturze, na przykład w Partenonie. Dla nich był to model geometryczny, ale w średniowieczu Fibonacci z Pizy przedstawił go w postaci liczbowej.

— Tylko w tym pokoju widzę kilkoro drzwi — stwierdziła Zina. — Stosunek boków — zwróciła się do Herba Ashera — jest taki jak w kartach do gry: trzy do pięciu. Można go znaleźć w skorupach ślimaków i w kosmicznych mgławicach, od wzoru, w jaki rosną włosy na twojej głowie do...

— Przenika cały wszechświat, od mikro do makrokosmosu. Nazywano go jednym z imion Boga.

W małym pokoiku gościnnym w domu Eliasa Herb Asher szykował się do snu.

— Czy mogę z tobą porozmawiać? — spytał Elias, stając w drzwiach w grubym, nieco wygniecionym szlafroku i w wielkich rannych pantoflach.

Herb skinął głową.

— Ona go zabiera — powiedział Elias, wchodząc do pokoju i siadając. — Czy zdajesz sobie z tego sprawę? Niebezpieczeństwo przyszło z nieoczekiwanej strony. Ze strony, z której się go nie spodziewałem — poprawił się. Z twarzą nabiegłą krwią siedział, splatając i rozplatając dłonie. — Wróg przybrał dziwną postać.

— Belial? — spytał Herb nagle zmrożony.

— Nie mam pojęcia, Herb. Znam tę dziewczynką od czterech lat. Często o niej myślę i na swój sposób ją kocham. Prawie tak, jak Manny'ego. Znalazł w niej przyjaciółkę. Wygląda na to, że wiedział, może nie od razu... ale gdzieś tam, po drodze się domyślił. Sprawdziłem, skorzystałem z mojej końcówki komputerowej i poszukałem słowa *zina*. To po rumuńsku znaczy elf. Inne słowo odnalazł Emmanuel. Ona podeszła do niego w pierwszym dniu szkoły. Teraz rozumiem, dlaczego. Ona czekała, spodziewała się go, rozumiesz?

— Stąd ta przewrotność, którą w niej zauważyłem — powiedział Herb Asher. Czuł zmęczenie, miał za sobą długi dzień.

— Ona będzie go prowadzić, a on pójdzie za nią. Świadomie, jak sądzę — mówił Elias. — On widzi przyszłość. Nazywa się to aprioryczną wiedzą na temat wszechświata. Kiedyś znał całą przyszłość. Teraz już nie. To dziwne, kiedy się pomyśli, że przewidywał swoją własną niezdolność do przewidywania, swoją niepamięć. Muszę mu po prostu zawierzyć, nie ma innej drogi... — Zrobił nieokreślony ruch ręką. — Rozumiesz.

— Nikt nie może mu rozkazywać.

— Herb, ja nie chcę go stracić.

— Jak on może się zagubić?

— Doszło do rozdarcia w Naturze Boga, do pierwotnej schizmy. To jest źródło wszystkiego, warunków tutaj, Beliala i całej reszty. To zdarzenie, które spowodowało, że część Boskiej Natury upadła. Nastąpił podział i część pozostała transcendentalna, część zaś... uległa degradacji. Upadła wraz ze stworzeniem, wraz ze światem. Bóg utracił kontakt z częścią samego siebie.

— Czy może ulec dalszemu rozszczepieniu?

— Może — stwierdził Elias. — Może nastąpić nowy punkt krytyczny. Może właśnie do niego doszliśmy. Nie wiem. Nie wiem nawet, czy on wie. Jego część ludzka, ta pochodząca od Rybys, wie, co to strach, ale ta druga połowa nie zna strachu. Z powodów oczywistych. I może to źle.

Tej nocy Herb Asher miał sen, że śpiewa mu kobieta. Była to jakby Linda Fox, a jednak nie ona. Widział ją, jej przerażające piękno, dzikość i światło, i zachwycającą twarz z oczami, które promieniowały miłością. On i ta kobieta znajdowali się w samochodzie i ona prowadziła. On tylko patrzył i nie mógł się nadziwić jej urodzie. Kobieta śpiewała:

*Ranne pantofle włóż, bo świta!*

*W pantoflach dzień powitaj!*

Ale on nie musiał nigdzie iść, bo ta niezwykła kobieta zabierała go tam. Miała na sobie długą białą szatę, a w jej splątanych włosach zobaczył koronę. Była bardzo młodą kobietą, ale jednak kobietą, nie dzieckiem jak Zina.

Kiedy się rano obudził, uroda tej kobiety i jej śpiew prześladowały go, nie mógł ich zapomnieć. Jest piękniejsza niż Fox, pomyślał. Nigdy bym w to nie uwierzył, ale wolałbym ją. Kto to jest?

— Dzień dobry — powiedziała Zina, która szła do łazienki umyć zęby. Herb odnotował, że jest w rannych pantoflach. Podobnie jak Elias, kiedy się pojawił. Jak to rozumieć? zadawał sobie pytanie Herb.

Nie potrafił sobie na nie odpowiedzieć.

## 12

- Tańczysz i śpiewasz całą noc — powiedział Emmanuel. I to jest piękne, pomyślał.  
— Pokaż mi — dodał.  
— No to zaczynajmy — powiedziała Zina.

Siedział w cieniu palm i wiedział, że znajduje się w Ogrodzie, ale był to ogród, który on sam kiedyś stworzył. Zina nie wprowadziła go do swego królestwa, to było odtworzenie jego własnego królestwa.

Budyniu i pojazdy, ale nikt się nie śpieszył. Ludzie siedzieli tu i tam, ciesząc się słońcem. Jakaś młoda kobieta rozpięła bluzkę i jej piersi błyszczały od potu, słońce świeciło jasno i gorąco.

- Nie — odezwał się Emmanuel — to nie jest Tajne Królestwo.  
— Prowadzę cię dłuższą drogą. Chyba to nic złego. Czy coś ci się nie podoba w tym miejscu? Czy czegoś mu brakuje? Wiesz, że nic mu nie brakuje, to przecież Raj.  
— Tak go stworzyłem.  
— Dobrze — powiedziała Zina. — To jest Raj, który ty stworzyłeś, a ja ci pokażę coś lepszego. Chodź. — Wzięła go za rękę. — Drzwi tego banku stanowią złoty prostokąt, możemy wejść tamtędy. Przejście równie dobre jak każde inne. — Trzymając go za rękę, poprowadziła do skrzyżowania, gdzie zaczekali na zmianę świateł, a potem chodnikiem, mijając siedzących na ławkach ludzi, doszli do banku.

Emmanuel zatrzymał się na schodach.

- Ja...  
— Drzwi są tutaj — powiedziała Zina i poprowadziła go schodami. — Tutaj kończy się twoje królestwo i zaczyna się moje. Odtąd obowiązują moje prawa. — oświadczyła, ściskając mocniej jego rękę.  
— Niech tak będzie — powiedział i poszedł za nią.

— Czy masz książeczkę bankową? — spytał robot w kasie.

— W torebce. — Młoda kobieta stojąca obok Emmanuela sięgnęła do przewieszanej przez ramię skórzanej torebki, przebierając wśród kluczy, kosmetyków, listów i różnych drobiazgów, aż jej szybkie palce znalazły wreszcie potrzebną książeczkę. — Chcę podjąć... ile ja mam na koncie?

— Stan konta jest zapisany w twojej książeczce — powiedział kasjer robot swoim beznamiętnym głosem.

— To prawda. — Otworzywszy książeczkę, sprawdziła liczby, po czym wypełniła odpowiedni druczek.

— Likwidujesz rachunek? — spytał robot kasjer, kiedy Zina wręczyła mu książeczkę i druczek.

— Tak.

— Czyżby nasze usługi nie były...

— Nie twój zakichany interes, dlaczego likwiduję rachunek. — Oparłszy ostre łokcie na kontuarze, kołysała się na piętach. Emmanuel zauważył, że ma wysokie obcasy. Była teraz starsza. Miała na sobie kolorowy bawełniany podkoszulek i dżinsy, a włosy spięte grzebieniem. Zobaczył też, że jest w okularach przeciwsłonecznych. Uśmiechnęła się do niego.

Już się zmieniła, pomyślał.

Po chwili stali na lądowisku na dachu budynku banku i Zina szukała w torebce kluczyków do swojego latającego samochodu.

— Piękny dzień — powiedziała. — Wsiadaj, otworzę ci okno. — Wsunęła się za kierownicę i sięgnęła ręką do klamki.

— Ładny samochód — powiedział, jednocześnie myśląc: odsłania swoje królestwo stopniowo. Tak jak zabrała mnie najpierw do mojego własnego ogrodu, tak teraz prowadzi mnie krok za krokiem przez różne, coraz to wyższe poziomy swego królestwa. W miarę, jak będziemy wnikać w nie coraz głębiej, będzie zrywać zasłony jedną po drugiej. To tutaj, to tylko powierzchnia. To są czary, pomyślał. Uwaga!

— Podoba ci się mój samochód? Latam nim do pracy...

— Kłamiesz, Zina — przerwał jej brutalnie.

— O co ci chodzi? — Samochód wzbil się w ciepłe, południowe niebo, włączając się w normalny ruch. Ale uśmiech ją zdradzał. — To tylko początek — powiedziała. — Nie chcę cię przestraszyć.

— Tutaj, w tym świecie, nie jesteś dzieckiem. To była postać, którą przybrałaś, maska.

— To jest moja prawdziwa postać. Słowo daję.

— Ty nie masz prawdziwej postaci, Zino. Ja cię znam. Dla ciebie każdy kształt jest możliwy. Taki, jaki cię pociąga w danej chwili. Żyjesz od chwili do chwili, jak bańka mydlana.

Zina odwróciła się do niego, nie przestając jednak obserwować trasy.

— Jesteś teraz w moim świecie, Jah. Uważaj.

— Mogę zniszczyć ten twój świat.

— On powróci. On jest zawsze i wszędzie. Nie oddaliliśmy się nigdzie od miejsca, w którym byliśmy, o kilka mil stąd jest szkoła, do której ty i ja chodzimy, a także dom, w którym Elias i Herb Asher zastanawiają się, co robić. Przestrzennie nie jest to inne miejsce i dobrze o tym wiesz.

— Ale tutaj ty ustanawiasz prawa.

— Beliala tu nie ma.

To go zdziwiło. Tego nie przewidział i uświadomiwszy to sobie, zrozumiał, że w istocie nie przewidział całej sytuacji. Przeoczenie jednego elementu oznaczało przeoczenie wszystkiego.

— On nigdy nie przeniknął do mojego królestwa — mówiła Zina, torując sobie drogę w ruchu powietrznym nad Waszyngtonem. — On nawet o nim nie wie. Przelecimy nad parkiem i obejrzymy japońskie drzewa wiśniowe. Kwitną teraz.

— Naprawdę? — Wydawało mu się, że jest na to za wcześnie.

— Właśnie teraz kwitną — powiedziała Zina i skierowała samochód do centrum miasta.

— W twoim świecie jest wiosna. — Zrozumiał. Widział teraz liście i kwiaty na drzewach w dole, całe obszary jasnej zieleni.

— Opuść sobie szybę — powiedziała. — Nie jest zimno.

— Po ciepłe w Ogrodzie Palmowym...

— Lejący się z nieba żar — przerwała mu Zina. — Spopielający świat i zmieniający go w pustynię. Zawsze miałeś skłonność do pustynnych okolic. Posłuchaj mnie, Jehowo. Pokażę ci rzeczy, o których nic nie wiesz. Przeniosłeś się z ziemi spalonej w krajobraz wiecznego mrozu: kryształki metanu, gdzieś tam małe kopuły i głupkowaci aborygeni. Ty nie wiesz nic! — Jej oczy ciskały gromy. — Wałęsasz się po nieużytkach i obiecujesz swojemu ludowi nieosiągalny azyl. Żadna twoja obietnica się nie spełniła. To może i lepiej, bo najczęściej obiecywałeś, że ich przeklniesz, pokarzesz i zniszczysz. Teraz siedź cicho. Nadszedł czas mój i mojego królestwa. To jest mój świat, jest wiosna, powietrze nie wysusza roślin i ty też. W moim królestwie nikogo nie skrzywdzisz, rozumiesz?

— Kim ty jesteś? — spytał Emmanuel.

— Jestem Zina, królowa elfów — powiedziała ze śmiechem.

— Myślę... — Był zbity z tropu. — Ty...

— Jehowo — powiedziała kobieta — nie wiesz, kim jestem i gdzie jesteś. Czy to jest Tajne Królestwo, czy dałeś się nabrać.

— Czy mnie oszukałaś?

— Jestem twoją przewodniczką. Jak mówi *Sefer Jecira*:

*Pojmij tę wielką mądrość, zrozum tę wiedzę, wniknij w nią i rozważ ją, uczyni ją oczywistą i wprowadź Stwórcę z powrotem na Jego tron.*

— I to właśnie zrobię — dokończyła. — Ale drogą, w którą nie uwierzysz. To jest droga, której ty nie znasz. Będziesz musiał uwierzyć mnie, zaufasz jak Dante swojej przewodniczce, która cię poprowadzi przez coraz wyższe światy.

— Ty jesteś Adwersarzem — powiedział Emmanuel.

— Tak, jestem — przyznała Zina.

Ale to nie wszystko, pomyślał. To nie takie proste. Jesteś istotą złożoną, ty, która prowadzisz ten samochód. Paradoksy i przeciwieństwa, a przede wszystkim twoje zamiłowanie do gier. Twoja chęć zabawy. Tak to muszę traktować, uświadomił sobie, jako zabawę.

— Wchodzę do gry — zgodził się. — Jestem gotów.

— Dobrze. — Kiwnęła głową. — Czy możesz wyjąć mi papierosy z torebki? Coraz większy ruch, trudno będzie znaleźć miejsce do parkowania.

Przeszukał jej torebkę. Na próżno.

— Nie możesz ich znaleźć? Poszukaj dobrze, muszą tam być.

— Masz tyle rzeczy w torebce. — Znalazł wreszcie paczkę salemów i podał jej.

— Czy Bóg nie przypala kobiecie papierosa? — Wyjęła z paczki papierosa i wcisnęła zapalniczkę na tablicy rozdzielczej.

— Skąd dziesięcioletni chłopiec może się na tym znać?

— To dziwne — zauważyła Zina. — Jestem w takim wieku, że mogłabym być twoją matką, ale jednak to ty jesteś starszy ode mnie. Oto paradoks; wiedziałeś, że znajdziesz tu paradoksy. Moje królestwo obfituje w nie, tak jak przed chwilą myślałeś. Czy chcesz wracać, Jehowo? Do swojego Ogrodu Palmowego? On jest nierzeczywisty, jak sam wiesz. Pozostanie taki, dopóki nie odniesiesz decydującego zwycięstwa nad Adwersarzem. Ten świat przeminął i jest teraz tylko wspomnieniem.

— Ty jesteś Adwersarzem — powiedział zdziwiony — ale nie jesteś Belialem.

— W moim świecie Belial siedzi w klatce w waszyngtońskim zoo — powiedziała Zina. — Jako okaz życia pozaziemskiego... budzący odrazę okaz. Istota z Syriusza, z czwartej planety w układzie Syriusza. Ludzie stoją i gapią się na niego z niedowierzaniem.

Emmanuel roześmiał się.

— Myślisz, że żartuję. Zabiorę cię do tego zoo. Pokażę ci.

— Myślę, że mówisz prawdę. — Roześmiał się jeszcze raz, spodobał mu się ten pomysł. — Zły w klatce w zoo. Czy z odpowiednią temperaturą, grawitacją, atmosferą i importowanym pożywieniem? Jako egzotyczna forma życia?

— Jest piekielnie wściekły.

— Domyślam się. A co zaplanowałaś dla mnie, Zino?

— Prawdę, Jehowo — odpowiedziała poważnie. — Zanim stąd odejdziesz, pokażę ci prawdę. Nigdy nie uwięziłabym naszego Pana i Boga. Możesz swobodnie wędrować po moim królestwie, jesteś tu całkowicie wolny. Masz na to moje słowo.

— Bańka mydlana. Słowo elfa.

Z pewnymi kłopotami Zina znalazła miejsce na zaparkowanie swojego latającego samochodu.

— W porządku — powiedziała. — Przespacerujmy się i popatrzmy na kwitnące wiśnie. One mają mój kolor, Jehowo, różowy. To jest mój znak firmowy. Kiedy się widzi różowe światło, to znak, że ja jestem blisko.

— Znam ten odcień różowego. To ludzka reakcja fosfenowa na pełnowidmowe światło białe, na czyste światło słoneczne.

— Spójrz na ludzi — powiedziała zamykając samochód.

Rozejrzał się i nie zobaczył nikogo. Obsypane kwiatami drzewa otaczały basen przyprawowy wielkim półkolem, ale mimo zaparkowanych samochodów nie było widać ani jednego przechodnia.

— Więc to jest oszustwo — powiedział.

— Jehowo, jesteś tu po to, żebyśmy mogła powstrzymać ten wielki i straszny dzień. Nie chcę oglądać tego świata dotkniętego plagami. Chcę, żebyś zobaczył to, czego nie widzisz. Jesteśmy tutaj tylko we dwoje, jesteśmy tu sam na sam. Stopniowo odsłonię przed tobą moje królestwo, a kiedy skończę, wycofasz swoje przekleństwo dla tego świata. Obserwuję cię od lat. Widzę twoją niechęć do rodzaju ludzkiego i twoje poczucie jego bezwartościowości. A ja ci powiadam, on nie jest bezwartościowy, on nie zasługuje na unicestwienie, jak ty to ujmujesz w swoim pompatycznym języku. Świat jest piękny, ja jestem piękna i kwiaty wiśni są piękne. Nawet robot kasjer z banku też jest piękny. Siła Beliala to tylko zaćmienie, ukrycie prawdziwego świata i jeżeli uderzysz w ten prawdziwy świat, po co przybyłeś na Ziemię, to zniszczysz też piękno, dobroć i urok. Pamiętasz tego psa zdychającego w przydrożnym rowie? Pamiętasz, co czułeś do niego, pamiętasz, czym dla ciebie był? Pamiętasz epitafium, które Elias ułożył dla tego psa, pamiętasz jego śmierć? I jego godność? A jednocześnie pamiętaj, że ten pies był niewinny. Jego śmierć wynikała z okrutnej konieczności. Złej i okrutnej konieczności. Ten pies...

— Wiem — powiedział Emmanuel.

— Co wiesz? Że tego psa spotkała niesprawiedliwość? Że urodził się, żeby doznać niezасłużonego cierpienia? To nie Belial zabił tego psa, to ty, Jehowo, Pan Zastępów. Belial nie sprowadził śmierci na świat, bo śmierć istniała tu od zawsze, śmierć ma na tej planecie długą tradycję, a to, co przydarzyło się temu psu, to los wszystkich stworzonych przez ciebie istot. Płakałeś nad tym psem, prawda? Myślę, że wtedy rozumiałeś,



ale teraz zapomniałeś. Gdybym miała ci cokolwiek przypomnieć, przypomniabym ci tego psa i to, co wtedy czułeś. Chciałabym ci przypomnieć, jak pies wskazał ci drogę. To jest droga miłosierdzia, najszlachetniejsza ze wszystkich dróg, a nie sądzę, żebyś ty tak naprawdę wiedział, co to jest miłosierdzie. Przybyłeś tutaj, żeby zniszczyć swojego adwersarza, Beliala, a nie żeby wyzwolić ludzkość, przybyłeś tu, żeby stoczyć wojnę, rozpętać wojnę. Czy to jest twoja rola? Wątpię. Gdzie jest ten pokój, który obiecałeś człowiekowi? Przybyłeś tu z mieczem i miliony zginą, to będzie ten zdychający pies pomnożony miliony razy. Płakałeś nad tym psem, płakałeś nad swoją matką, i nawet nad Belialem, ale powiadam ci, że jeżeli chcesz otrzeć wszystkie łzy, jak mówi Pismo, to odejdz i zostaw ten świat w spokoju, bo całe zło tego świata, to, co nazywasz „Belialem” i swoim „Adwersarzem”, to forma iluzji. To nie są źli ludzie, to nie jest zły świat. Zamiast wypowiadać mu wojnę, podaruj mu kwiaty. — Ułamała gałązkę kwitnącej wiśni i podała mu, a on odruchowo ją przyjął.

— Masz dużą siłę przekonywania — powiedział.

— To umiejętność zawodowa. Mówię o sprawach, na których się znam. Nie ma kłamstwa w tobie i nie ma kłamstwa we mnie, ale tam, gdzie ty rzucasz przekleństwo, ja gram. I które z nas znalazło Drogę? Przez dwa tysiące lat czekałeś się, żeby wślizgnąć się na powrót do fortecy Beliala i pokonać go. Ja ci proponuję, żebyś znalazł sobie inne zajęcie. Chodź ze mną, popatrzmy na kwiaty. To jest lepsze. A świat będzie się rozwijał tak jak zawsze. Jest wiosna, kwitną kwiaty, a tam, gdzie jestem ja, jest też taniec i odgłos dzwonek. Słyszałeś dzwonki i wiesz, że ich piękno jest większe niż siła złego. W pewien sposób ich piękno jest większe niż twoja moc, Jehowo, Panie Zastępów. Czy nie mam racji?

— Magia — powiedział. — Czary.

— Piękno jest magią, a wojna to rzeczywistość. Wolisz trzeźwość wojny czy urzeczenie, które widzisz tutaj, w moim świecie? Teraz jesteśmy sami, później pojawią się ludzie, zaludnię na nowo swoje królestwo. Ale chcę rozmawiać z tobą wprost. Czy wiesz, kim jestem? Nie wiesz, ale w końcu krok za krokiem doprowadzę cię do twojego tronu i wtedy ty, Stwórca, dowiesz się, kim jestem. Zgadywałeś, ale nie odgadłeś. Nie jestem Świętą Mądrością, ani Dianą ani Ziną, ani Pallas Ateną. Jestem czymś innym. Jestem królową wiosny, a jednak i nią nie jestem. Wszystko to, jak powiedziałaś, bańka mydlana. To, kim jestem, czym jestem naprawdę, będziesz musiał odkryć sam. A teraz chodźmy.

Poszli ścieżką nad wodą wśród drzew.

— Ty i ja jesteśmy przyjaciółmi — powiedział Emmanuel. — Chętnie cię słucham.

— Zrezygnuj więc ze swojego wielkiego i strasznego dnia. Śmierć w ogniu to nic dobrego, to najgorsza z możliwych śmierci. Ty jesteś słonecznym żarem, który wypala zbiory. Od czterech lat jesteśmy razem, ty i ja. Obserwowałam, jak odzyskujesz pamięć

i żałowałam, że ją odzyskujesz. Skrzywdziłeś tę nieszczęsną kobietę, która była twoją matką, wpędziłeś w chorobę swoją własną matkę, którą podobno kochasz, którą opłakiwałeś. Zamiast toczyć wojnę ze złem, wylecz tego psa zdychającego w rowie i tym samym otrzyj łzy sobie samemu. Nie mogłam patrzeć, jak płaczesz. Płakałeś, bo odzyskałeś swoją naturę i zrozumiałeś ją. Płakałeś, bo uświadomiłeś sobie, czym jesteś.

Milczał.

— Ładnie pachnie — powiedziała Zina.

— Rzeczywiście.

— Sprowadzę ludzi — powiedziała Zina. — Jednego za drugim, aż będzie ich wszędzie pełno. Przyjrzyj im się i jeżeli zobaczysz kogoś, kogo chciałbyś zgładzić, powiedz mi, a ja usunę tę osobę na powrót. Tylko musisz przyjrzeć się osobie, którą chcesz zgładzić, musisz ujrzeć w tej osobie tamtego przejechanego i zdychającego psa. Jedynie wtedy będziesz miał prawo zgładzić tę osobę, tylko kiedy zapłaczesz, będziesz mógł zabić. Rozumiesz?

— Wystarczająco.

— Dlaczego nie zapłakałeś nad tym psem, zanim samochód go przejechał? Dlaczego czekałeś, aż było za późno? Pies godził się ze swoim losem, ale ja nie. Jestem twoją przewodniczką i doradczynią i mówię ci, że to, co robisz, jest złe. Posłuchaj mnie. Nie rób tego.

— Przyszedłem, żeby wyzwolić ich z ucisku.

— Nie jesteś w pełni sił. Ja to wiem, wiem, co stało się z boską istotą, wiem o pierwotnym rozdarciu. Dla mnie to nie tajemnica. W takim stanie zamierzasz wyzwolić ich z ucisku przez wielki i straszny dzień. Czy to jest mądre? Czy tak uwalnia się więźniów?

— Muszę złamać siłę...

— Gdzie jest ta siła? Rząd? Bulkowsky i Harms? To idioci, to kabaret. Chciałbyś ich zabić? Prawo odwetu, które ustanowiłeś, mówi: „Oko za oko, ząb za ząb”. A ja powiadam: nie przeciwstawiaj się złu siłą. Musisz żyć według swoich własnych zasad, nie możesz stawiać oporu swojemu adwersarzowi Belialowi. W moim królestwie on nie ma władzy, jego tu nie ma. Jest tylko dziwoląg w klatce w zoo. Karmimy go i poimy, zapewniamy mu właściwą atmosferę i temperaturę, staramy się w miarę możliwości uprzyjemnić mu życie. W moim królestwie nie zabijamy. Tutaj nie ma i nigdy nie będzie żadnego wielkiego i straszego dnia. Zostań w moim królestwie albo uczyni moje królestwo swoim, ale oszczędź Beliala, oszczędź wszystkich. A wtedy nie będziesz musiał płakać i łzy zostaną, tak jak obiecałeś, osuszone.

— Ty jesteś Chrystusem — powiedział Emmanuel.

— Nie, nie jestem — roześmiała się Zina.

— Cytujesz go.

— Nawet diabeł może cytować Pismo Święte.

Pojawiły się wokół nich grupy osób w lekkich letnich strojach. Mężczyźni w koszulach, kobiety w sukienkach. I, jak zauważył, dużo dzieci.

— Królowo elfów — powiedział. — Zwodzisz mnie, sprowadzasz mnie z drogi za pomocą błysków światła, tańca, śpiewu i odgłosu dzwoneczków. Zawsze ten odgłos dzwoneczków.

— Głos dzwoneczków niesie wiatr, a wiatr mówi prawdę. Zawsze. Pustynny wiatr. Ty wiesz, widziałam, jak słuchasz wiatru. Dzwoneczki są muzyką wiatru, wsłuchuj się w nie.

Wtedy usłyszał dzwoneczki elfów. Odzywały się w oddali, wiele małych dzwoneczków, nie dzwoneczków kościelnych, ale dzwoneczków zaczarowanych.

Był to najpiękniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszał.

— Ja sam nie potrafię stworzyć takiego dźwięku — powiedział do Ziny. — Jak się to robi?

— Za pomocą czujności. Głos dzwoneczków budzi, wrywa ze snu. Ty wyrwałeś Herba Ashera z jego snu za pomocą brutalnej interwencji, ja budzę za pomocą piękna.

Powiał łagodny wiosenny wiatr, jeszcze jedna ułuda jej królestwa.

## 13

Jestem karmiony trucizną, pomyślał Emmanuel. Opary jej królestwa zatruwają mnie i osłabiają moją wolę.

— Mylisz się — powiedziała Zina.

— Czuję się słabszy.

— Czujesz mniejszy gniew. Chodźmy po Herba Ashera. Chcę, żeby był tu z nami. Ograniczę pole naszej gry, dostosuję je specjalnie dla niego.

— W jaki sposób?

— Będziemy rywalizować o niego — powiedziała Zina. — Chodź. — Dała chłopcu znak, żeby szedł za nią.

Herb Asher siedział w barze koktajlowym nad szklanką szkockiej z wodą. Czekał od godziny na program artystyczny. W barze było pełno ludzi, nieustanny gwar drażnił jego uszy. A jednak, mimo wysokiej opłaty za wstęp, nie żałował, że tu przyszedł.

— Nie rozumiem, co ty w niej widzisz — powiedziała siedząca naprzeciwko niego Rybys.

— Dziewczyna daleko zajdzie, jeżeli tylko dostanie możliwość startu. — Herb zastanawiał się, czy są na sali łowcy talentów z wytwórni płytowych. Mam nadzieję, że tak, pomyślał.

— Chciałabym już pójść. Nie czuję się najlepiej. Czy możemy wyjść?

— Wolałbym nie.

Rybys nerwowo upiła łyk ze swojej szklanki.

— Taki tu hałas — powiedziała tak, że ledwo było ją słyszeć. Herb spojrzał na zegarek.

— Dochodzi dziewiąta. Jej pierwsze wejście przewidziane jest na dziewiątą.

— Kto to jest? — spytała Rybys.

— To nowa młoda śpiewaczka. Zaadaptowała pieśni Johna Dowlanda na...

— Kto to jest John Dowland? Nigdy o nim nie słyszałam.

— Anglia, koniec XVI wieku. Linda Fox unowocześniła jego pieśni na lutnię. Był pierwszym kompozytorem piszącym na głos solo. Przedtem śpiewały cztery albo więcej osób... stara forma madrygałowa. Nie potrafię tego wytłumaczyć, trzeba ją usłyszeć.

— Skoro jest tak dobra, to dlaczego nie ma jej w telewizji?

— Będzie.

Na scenie zapłonęły światła. Na podium wskoczyło trzech muzyków i zaczęli majstrować przy nagłośnieniu. Wszyscy mieli wibrolutnie.

Czyjaś dłoń spoczęła na ramieniu Herba.

— Cześć.

Podniósł wzrok i zobaczył nieznaną młodą kobietę. A ona jakby mnie znała, pomyślał.

— Przepraszam... — zaczął.

— Czy możemy się dosiąść? — Kobieta, ładna, we wzorzystej koszulce i džinsach, z torebką na ramieniu, wzięła krzesło i usiadła koło Herba. — Siadaj, Manny — zwróciła się do małego chłopca, który stał niepewnie przy stole. Jakie piękne dziecko, pomyślał Herb Asher. Skąd on się tu wziął? Tu nie wpuszczają dzieci.

— Czy to twoi znajomi? — spytała Rybys.

— Herb nie widział mnie od czasu studiów. Jak się masz, Herb? Nie poznajesz mnie?

— Ładna, ciemnowłosa młoda kobieta wyciągnęła do niego rękę. Herb automatycznie uścisnął jej dłoń i w tym momencie przypomniał ją sobie. Chodzili razem na zajęcia politechniczne.

— Zina — powiedział uradowany — Zina Pallas.

— A to mój młodszy brat — powiedziała Zina, nakazując chłopcu gestem, żeby usiadł. — Manny. Manny Pallas. — Zwróciła się do Rybys. — Herb nic się nie zmienił. Poznałam go, jak tylko go zobaczyłam. Przyszliście tutaj zobaczyć Linde Fox. Nigdy jej nie słyszałam, ale mówią, że jest naprawdę dobra.

— Bardzo dobra — powiedział Herb zadowolony z jej poparcia.

— Dobry wieczór — powiedział do niego chłopiec.

— Miło cię poznać, Manny. — Podał chłopcu rękę. — To moja żona, Rybys.

— Więc jesteście małżeństwem — powiedziała Zina. — Czy mogę zapalić?

— Zapaliła papierosa. — Wciąż próbuję to rzucić, ale kiedy przestaję palić, zaczynam dużo jeść i tyję w oczach.

— Czy twoja torebka jest z prawdziwej skóry? — spytała zaciekawiona Rybys.

— Tak. — Zina podała jej torebkę.

— Nigdy jeszcze nie widziałam torebki z prawdziwej skóry — stwierdziła Rybys.

— O, jest — powiedział Herb Asher.

Na scenie pojawiła się Linda Fox, rozległy się oklaski.

— Wygląda jak kelnerka z pizzerii — zauważyła Rybys.

— Jeżeli chce zrobić karierę, musi trochę schudnąć — powiedziała Zina, odbierając torebkę. — To znaczy wygląda nieźle, ale...

— Co wy z tą tuszą — zdenerwował się Herb Asher.

— Herbercie, Herbercie — odezwał się Manny.

— Słucham — Asher pochylił się w jego stronę.

— Przypomnij sobie.

Zdziwiony chciał spytać, co ma sobie przypomnieć, ale w tym momencie Linda Fox wzięła do ręki mikrofon, przymknęła oczy i zaczęła śpiewać. Miała zaokrągloną twarz i prawie podwójny podbródek, ale jej skóra była piękna, a co najważniejsze, jej długie rzęsy trzepotały, kiedy śpiewała. To go fascynowało i siedział jak oczarowany. Linda miała też wyjątkowo śmiały dekolt i nie nosiła biustonosza, nawet ze swojego miejsca widział zarys jej sutek.

*Skargę wniosę? Czy będę się modlił?*

*Czy złorzeczył? Czy o litość prosił?*

*W sobie między niebiańską miłością*

*Rozdwojony a ziemską rozkoszą?*

— Nie znoszę tej piosenki — powiedziała Rybys głośno. — Słyszałam ją już.

Kilka osób syknęło na nią, żeby była cicho.

— Ale nie w jej wykonaniu — ciągnęła Rybys — Ona nie jest nawet oryginalna.

— Ucichła, ale najwyraźniej była nie w humorze.

Kiedy piosenka dobiegła końca i publiczność zaczęła klaskać, Herb Asher zwrócił się do żony:

— Nie mogłaś słyszeć tej piosenki. Nie śpiewa jej nikt oprócz Lindy Fox.

— Po prostu lubisz się gapić na jej sutki — powiedziała Rybys.

— Czy może mnie pan zaprowadzić do toalety? — poprosił Herba Ashera mały chłopiec.

— Teraz? — spytał niezadowolony. — Nie możesz zaczekać, aż ona skończy śpiewać?

— Teraz — powiedział chłopiec.

Z niechęcią poprowadził Manny'ego przez labirynt stolików do drzwi w tyle sali, jednak przed wejściem do toalety chłopiec zatrzymał Herba.

— Stąd możesz ją lepiej widzieć — powiedział.

Była to prawda. Znajdował się teraz bliżej sceny. Stali z chłopcem w milczeniu, podczas gdy Linda Fox śpiewała:

„Krynice rzewne, nie płaczcie już więcej!” Kiedy skończyła, chłopiec zwrócił się do Herba Ashera.

— Nie pamiętasz, prawda? Ona cię zaczarowała. Obudź się, Herbercie Asher. Znasz mnie dobrze i ja znam ciebie. Linda Fox nie śpiewa swoich piosenek w podrzędnym hollywoodzkim barze, ona jest słynna w całej galaktyce. Jest największą gwiazdą estrady tego dziesięciolecia. Naczelnym prałat i prokurator maximus zapraszają ją na...

— Zaraz bidzie znów śpiewać — przerwał mu Herb Asher. — Nie słuchał słów chłopca, które nic dla niego nie znaczyły. Gadatliwy dzieciak, który przeszkadza mu słuchać Lindy Fox. Licho nadało.

— Herbercie, Herbercie — powiedział Manny, kiedy piosenka się skończyła. — Czy chcesz ją poznać? Czy o to ci chodzi?

— Co? — mruknął mając wzrok i całą uwagę skupioną na Lindzie Fox. Boże, myślał, co za figura. Ledwo się mieści w sukni. Chciałbym, pomyślał, żeby moja żona była tak zbudowana.

— Będzie tędy przechodzić, kiedy skończy — powiedział Manny. — Stój tutaj, to ona przejdzie tuż koło ciebie.

— Żartujesz — powiedział Herb Asher.

— Nie. Będziesz miał to, czego pragniesz najbardziej na świecie... to, o czym marzyłeś leżąc na koi w swojej kopule.

— W jakiej kopule? — spytał Herb Asher.

— „Ty, który byłeś gwiazdą najjaśniejszą, spadłeś z nieba na ziemię” — zacytował Manny.

— Chodzi ci o jedną z tych kopuł na kolonizowanych planetach? — spytał Herb Asher.

— Widzę, że nie mogę cię skłonić do słuchania. Gdybym mógł ci powiedzieć...

— Ona tu idzie — przerwał mu Herb Asher. — Skąd wiedziałeś? — Zrobił kilka kroków w jej stronę. Linda Fox szła szybko, drobnymi kroczkami, z przyjaznym wyrazem twarzy.

— Dziękuję, dziękuję — mówiła do ludzi, którzy się do niej zwracali. Zatrzymała się na chwilę, żeby dać autograf schludnie ubranemu czarnemu chłopakowi.

Podeszła kelnerka i puknęła Herba Ashera w ramię.

— Musisz stąd zabrać tego chłopca. Nie wolno nam tu wpuszczać nieletnich.

— Przepraszam — powiedział Herb.

— Natychmiast.

— Dobrze. — Wziął Manny'ego za rękę i z niechęcią poprowadził go z powrotem do stolika. Odwróciwszy się, kątem oka zobaczył, że Fox przechodzi obok miejsca, w którym przed chwilą stali. Manny miał rację. Jeszcze kilka sekund i mógłby się do niej odezwać. Może nawet zamieniliby kilka słów.

— Ona chce cię zwieść, Herbie Asher — powiedział Manny. — Dała ci to i zabrała z powrotem. Jeżeli chcesz spotkać się z Lindą Fox, ja się tym zajmę, obiecuję ci. Zapamiętaj to sobie, bo tak będzie. Nie pozwolę, żeby cię oszukiwano.



— Nie wiem, o czym mówisz — powiedział Herb — ale gdybym mógł się z nią spotkać...

— Spotkasz się z nią.

— Jesteś dziwnym dzieckiem — stwierdził Herb Asher. Kiedy przechodzili pod lampą, zauważył coś, co go poruszyło. Zatrzymał się i chwyciwszy Manny'ego, przesunął go w snop światła. Jesteś podobny do Rybys, pomyślał. Przez chwilę wstrząsnął nim rozbłysk pamięci, jakby jego umysł otworzył się i wdarły się weń niezmiernie przestrzenie, wszechświat pełen gwiazd.

— Herbercie — mówił chłopiec — ona nie istnieje. Linda Fox jest twoim przywidzeniem, ale ja mogę ją uczynić rzeczywistą. Ja stwarzam byty, to ja przemieniam nierzeczywistość w rzeczywistość i mogę zrobić to dla ciebie w jej przypadku.

— Co się stało? — spytała Rybys, kiedy dotarli do stolika.

— Manny musi opuścić lokal — powiedział Herb Asher do Ziny Pallas. — Kelnerka kazała. Żałuję, ale chyba musicie wyjść.

Zina wzięła torebkę i papierosy i wstała.

— Przykro mi. — powiedziała. — Chyba przeszkodziłam wam w oglądaniu Fox.

Rybys też wstała.

— Chodźmy z nimi. Rozbolała mnie głowa, chciałabym już jechać do domu.

— Dobrze — powiedział Herb Asher z rezygnacją. Oszukany, pomyślał. Tak mówił Manny. Nie pozwolę, żeby cię oszukiwano. A tak się właśnie stało. Zostałem tego wieczoru oszukany. Cóż, może kiedy indziej. Ciekawe byłoby zamienić z nią parę słów, może dostać autograf. Z bliska było widać, że ma sztuczne rzęsy, pomyślał. Jakie to przynębiające. Może piersi też ma sztuczne, myślał. Teraz są takie poduszki. Poczul się rozczarowany i nieszczęśliwy i teraz on też chciał już wyjść.

Nie udał się ten wieczór, myślał, wyprowadzając Rybys, Zinę i Manny'ego z klubu na ciemną ulicę. Tyle sobie obiecywałem... nagle przypomniał sobie to, co mówił chłopiec, te dziwne rzeczy i nanosekundę rozbłysku pamięci: obrazy, które pojawiły się w jego umyśle, tak krótkie, a tak przekonywające. To nie jest zwykłe dziecko, uświadomił sobie. A jego podobieństwo do mojej żony, widzę je teraz, kiedy stoją obok siebie. Mógłby być jej synem. Niesamowite. Przebiegł go dreszcz, mimo że na dworze było ciepło.

— Spełniłam jego życzenie — mówiła Zina. — Dałam mu to, o czym marzył. W czasie tych miesięcy leżenia na koi. Z jej trójwymiarowymi plakatami i kasetami.

— Nic mu nie dałaś — powiedział Emmanuel. — Co więcej, obrabowałaś go. Zabrałaś mu coś.

— Ona jest produktem mediów — mówiła Zina. Szli przez nocny Hollywood do samochodu Ziny. — To nie moja wina, że Linda Fox jest nierzeczywista.

— Tutaj, w twoim królestwie, to rozróżnienie nic nie znaczy.

— A co ty możesz mu dać? — spytała Zina. — Tylko chorobę... chorobę jego żony. I jej śmierć w twojej służbie. Czy twój dar jest lepszy niż mój?

— Ja dałem mu obietnicę i ja nie kłamię — powiedział Emmanuel. I dotrzymam tej obietnicy, pomyślał. W tym królestwie albo w moim królestwie, to nieważne, bo w każdym wypadku uczynię Linde Fox rzeczywistością. To jest moc, którą posiadam i nie jest to siła czarów, jest to najcenniejszy dar ze wszystkich: rzeczywistość.

— O czym myślisz? — spytała Zina.

— Że lepszy żywy pies niż martwy książę.

— Kto to powiedział?

— To po prostu głos rozsądku.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Że twoje czary nie dały mu nic, a świat rzeczywisty...

— Świat rzeczywisty zamroził go na dziesięć lat. Czy piękny sen nie jest lepszy od okrutnej rzeczywistości? Wolałbyś cierpieć w świecie prawdziwym niż przeżywać radość w krainie... — Zawahała się.

— Upojenia — dokończył. — Tym jest ta twoja kraina, to świat pijany. Pijany tańcem i radością. Ja twierdzę, że cecha realności jest ważniejsza od wszystkich innych, bo skoro znika rzeczywistość, nie pozostaje nic. Sen jest niczym. Nie zgadzam się z tobą, twierdzę, że oszukałaś Herba Ashera. Twierdzę, że postąpiłaś z nim okrutnie. Widziałem jego reakcję, zmierzyłem głębię jego zawodu. I ja mu to wynagrodzę.

— Sprawisz, że Fox stanie się rzeczywistością?

— Chcesz powiedzieć, że nie potrafisz?

— Chcę powiedzieć, że to nie ma znaczenia. Rzeczywista czy nie, jest nic niewarta. W ten sposób nic nie osiągniesz.

— Przyjmuję zakład — powiedział Emmanuel.

— Zgoda — Zina wyciągnęła rękę.

Uścisnęli sobie dłonie, stojąc na hollywoodzkim chodniku w blasku elektrycznych świateł.

— W moim świecie wiele rzeczy wygląda inaczej — mówiła Zina podczas lotu powrotnego do Waszyngtonu. — Może chciałbyś poznać przewodniczącego partii Nicholasa Bulkowsky'ego?

— Nie jest więc prokuratorem?

— Partia komunistyczna nie ma tu tej światowej potęgi, do której jesteś przyzwyczajony. Nazwa „Światopogląd Naukowy” nie jest tu używana. Fulton Statler Harms też nie jest naczelnym prałatem Kościoła chrześcijańsko-islamskiego, bo takowy nie istnieje. Jest kardynałem Kościoła rzymskokatolickiego i nie ma władzy nad życiem milionów.

— To dobrze — powiedział Emmanuel.

— Zatem rządę dobrze w swoim królestwie, czy tak? Bo jeżeli się zgadzasz...

— To są dobre strony.

— Powiedz, jakie masz zastrzeżenia.

— To tylko złudzenie. W świecie rzeczywistym obaj ci ludzie mają władzę i do spółki rządzą planetą.

— Powiem ci coś, czego nie rozumiesz. Dokonaliśmy zmian w przeszłości. Dopilnowaliśmy, żeby Kościół chrześcijańsko-islamski i Światopogląd Naukowy nie powstały. Świat, który tutaj widzisz, mój świat, jest światem alternatywnym wobec twojego i równie rzeczywistym.

— Nie wierzę ci — powiedział Emmanuel.

— Jest wiele światów.

— Ja jestem twórcą światów, ja i tylko ja. Nikt inny nie może stworzyć świata. Ja jestem tym, który powołuje do istnienia, ty nie.

— A jednak...

— Nie rozumiesz — powiedział Emmanuel. — Jest wiele możliwości, które nie zostały zrealizowane. Ja wybieram spośród możliwych bytów te, które wolę, i nadaję im realność.

— Wobec tego dokonywałeś marnych wyborów. Byłoby dużo lepiej, gdyby Kościół chrześcijańsko-islamski i Światopogląd Naukowy nigdy nie powstały.

— Przyznajesz zatem, że twój świat nie jest rzeczywisty? Że to imitacja?

Zina zawahała się.

— To jest świat, który oddzielił się w decydujących punktach dzięki naszemu oddziaływaniu na przeszłość. Nazwij to magią, jeżeli chcesz, albo nazwij to technologią, tak czy inaczej, potrafimy cofnąć się w czasie i naprawiać błędy historii. I to właśnie zrobiliśmy. W tym alternatywnym świecie Bulkowsky i Harms są postaciami drugorzędnymi, istnieją, ale inaczej niż w twoim świecie. To jest równie rzeczywisty wybór możliwych bytów.

— I Belial — powiedział Emmanuel. — Belial siedzi w klatce w zoo, a procesje ludzi, całe ich gromady, przychodzą się na niego gapić.

— Zgadza się.

— Kłamstwa. To jest realizacja życzeń. Nie można budować świata na życzeniach. Podstawa rzeczywistości jest szara, bo nie można w niej serwować zaspokajających pragnienia fałszywych wizji, trzeba trzymać się tego, co jest możliwe: tak mówi prawo konieczności. Bo konieczność jest fundamentem rzeczywistości. Cokolwiek istnieje, istnieje, bo musi, bo nie może być inaczej. Nie jest tym, czym jest, bo ktoś sobie tak zażyczył, ale dlatego, że musi być tym i właśnie tym, do najdrobniejszego szczegółu. Wiem, bo to moje dzieło. Ty masz swoją pracę, a ja mam swoją i ja swoją rozumiem, rozumiem, na czym polega prawo konieczności.

Po chwili milczenia odezwała się Zina:

*Martwy jest arkadyjski las,  
Choć karmił sny dawnego świata.  
Antyczny urok dla niej zgasł;  
Choć głowę nieraz wstecz odwraca,  
Wabi ją Szarej Prawdy blask.*

— To pierwszy wiersz Yeatsa — dokończyła.

— Znam ten wiersz — powiedział Emmanuel. — Kończy się tak:

*Ona już nie śni! Sam więc weź  
Na swe powieki mak i śnij!  
Sen bowiem jest istnością też.*

— „Istność” znaczy tyle co prawda — dodał.

— Nie musisz mi tłumaczyć — powiedziała Zina. — Ale ty nie zgadzasz się z tym wierszem.

— Szara prawda jest lepsza niż sen. To też jest prawda. To jest prawda wszystkich prawd, że prawda jest lepsza niż jakiekolwiek kłamstwo, choćby najpiękniejsze. Nie wierzę temu światu, bo jest zbyt cukierkowy. Twój świat jest zbyt piękny, żeby mógł być prawdziwy. Twój świat to zachcianka. Kiedy Herb Asher zobaczył Fox, zobaczył oszustwo i to oszustwo jest istotą twojego świata. — I ja to oszustwo zdemaskuję, dopowiedział w myśli.

Zastąpię je prawdą, myślał. Czymś, czego ty nie rozumiesz.

Fox jako rzeczywistość będzie dla Herba Ashera bardziej do przyjęcia niż jakiekolwiek marzenie o niej. Wiem to i stawiam wszystko, że tak będzie. To dla mnie sprawa być albo nie być.

— Zgadza się — potwierdziła Zina.

— Każda pozorna rzeczywistość, która wychodzi naprzeciw życzeniom, jest podejrzana. Znakiem firmowym oszustwa jest to, że przybiera postać, jakiej sobie zażyczysz. Dostrzegam to tutaj. Chciałabyś, żeby Nicholas Bulkowsky nie miał wielkiej władzy, chciałabyś, żeby Fulton Harms był podrzędną postacią, a nie częścią historii. Twój świat jest usłużny i to go zdradza. Mój świat jest uparty. Nie ulega. Świat oporny i niepoprawny jest światem prawdziwym.

— Ten świat morduje tych, którzy zmuszeni są w nim żyć.

— To nie jest cała prawda. Mój świat nie jest taki zły, są w nim inne rzeczy oprócz bólu i śmierci. Na Ziemi, na prawdziwej Ziemi jest piękno i radość i... — Zamilkł. Dał się oszukać. Zina znów zwyciężyła.

— Zatem Ziemia nie jest taka zła — powiedziała. — Nie zasługuje na to, żeby ją zniszczyć w ogniu. Jest tam piękno, radość i miłość, i są dobrzy ludzie. Mimo rządów Beliala. Mówiłam ci to, a ty mi przeczyłeś, kiedy spacerowaliśmy wśród japońskich wiśni. Co powiesz teraz, Panie Zastępów, Boże Abrahama? Czy nie przyznałeś mi racji?

— Jesteś bardzo sprytna, Zino — stwierdził. Uśmiechnęła się, oczy jej rozblęły.

— W takim razie powstrzymaj ten wielki i straszny dzień, który zapowiadasz w Piśmie. Tak jak cię prosiłam.

Po raz pierwszy poczuł smak porażki. Dał się sprowokować do niemądrej wypowiedzi. Ależ ona sprytna, ale bystra.

— I Pismo powiada:

Ja jestem Mądrością, ja obdarzam przenikliwością i wskazuję drogę do wiedzy i roztropności.

— Ale powiedziałaś mi, że nie jesteś Świętą Mądrością. Że tylko ją udawałaś.

— Do ciebie należy odkrycie, kim jestem. Ty sam musisz rozszyfrować moją tożsamość, ja tego za ciebie nie zrobię.

— A tymczasem sztuczki.

— Tak — potwierdziła Zina — bo przez te sztuczki się uczysz. Spojrzał na nią szeroko otwartymi oczami.

— Zwodzisz mnie, żebym się ocknął! Tak jak ja obudziłem Herba Ashera!

— Może.

— Czy jesteś moim bodźcem odblokowującym? — Nie odrywając od niej wzroku powiedział niskim, surowym głosem: — Myślę, że stworzyłem cię, żebyś przywróciła mi pamięć, żebyś przywróciła mi mnie samego.

— Żebym cię zaprowadziła z powrotem na twój tron.

— Czy tak było?

Zina, prowadząc swój latający samochód, nie odpowiedziała.

— Odpowiedz mi.

— Może.

— Jeżeli cię stworzyłem, to mogę...

— Stworzyłeś wszystko.

— Nie rozumiem cię. Nie nadażam za tobą. Zbliżasz się do mnie i uciekasz.

— Ale kiedy tak robię, ty się budzisz.

— Tak — przyznał Emmanuel. — I wnioskuję z tego, że jesteś odblokowującym bodźcem, który uruchomiłem dawno temu, wiedząc, że mój mózg zostanie uszkodzony i że zapomnę. A ty stopniowo przywracasz mi moją tożsamość. Dlatego... myślę, że wiem, kim jesteś.

— Kim? — spytała odwracając się w jego stronę.

— Nie powiem. I nie wyczytasz tego z mojego umysłu, bo to ukryłem. Natychmiast, jak tylko pomyślałem. — To jest za trudne, uświadomił sobie, nawet dla mnie. Nie mogę w to uwierzyć.

Lecieli dalej, w stronę Atlantyku i Waszyngtonu.

## 14

Herb Asher pozostawał pod głębokim wrażeniem, że znał tego chłopca, Manny'ego Pallasa, w jakimś innym czasie, może w innym życiu. Ile razy żyjemy? zadawał sobie pytanie. Czy jesteśmy nagrani na taśmie? Czy to jakieś powtórzenie?

— Ten chłopak był do ciebie podobny — powiedział do Rybys.

— Naprawdę? Nie zauważyłam. — Rybys, jak zwykle, usiłowała uszyć sobie sukienkę na podstawie wykrojów i nic jej nie wychodziło; kawałki materiału leżały porozrzucaane po całym pokoju między brudnymi naczyniami, przepełnionymi popielniczkami i zmiętymi, poplamionymi czasopismami.

Herb postanowił naradzić się ze swoim starszym, czarnoskórym wspólnikiem Eliasem Tate'em. Od kilku lat on i Tate prowadzili wspólnie sklep muzyczny: Tate traktował jednak ich sklep, Electronic Audio, jako zajęcie uboczne: jego głównym zainteresowaniem była działalność kaznodziejska. Tate głosił kazania w położonym na uboczku małym kościółku, gromadzącym przeważnie czarnoskórych słuchaczy. Jego posłanie było zawsze takie samo:

Czyńcie pokutę! Królestwo Boże jest blisko!

Herbowi Asherowi wydawało się to dziwną fiksacją jak na człowieka tak inteligentnego, ale, ostatecznie, była to sprawa Tate'a. Rzadko o tym rozmawiali.

— Spotkałem niezwykłego i bardzo dziwnego chłopca wczoraj wieczorem w koktajlbarze w Hollywood — zwrócił się Herb do swojego wspólnika, kiedy siedzieli w sali przesłuchań sklepu muzycznego.

— Co robiłeś w Hollywood? Chciałeś się dostać do filmu? — mruknął Tate, zajęty składaniem podzespołu do laserowego odtwarzacza.

— Słuchałem nowej pieśniarki nazwiskiem Linda Fox.

— Nigdy o niej nie słyszałem.

— Jest piekielnie seksowna i bardzo dobra. Ona...

— Jesteś żonaty.



— Wolno mi pomarzyć.

— Może chciałbyś ją zaprosić na spotkanie z publicznością w naszym sklepie?

— Nasz sklep nie jest odpowiedni.

— Mamy sklep muzyczny. Ona śpiewa, a to jest muzyka. A może ona jest niesłyszalna?

— O ile wiem, nie nagrała dotychczas żadnej kasety ani płyty i nie występowała w telewizji. Usłyszałem ją przypadkiem w zeszłym miesiącu, kiedy byłem na targach muzycznych w Anaheim. Mówiłem ci, że powinieneś też tam pojechać.

— Chorobą tego świata jest seks — stwierdził Tate. — To obłąkana i zboczona planeta.

— I wszyscy pójdziemy do piekła?

— Nie mam co do tego wątpliwości.

— Wiedz, że jesteś staromodny. Naprawdę. Masz kodeks etyczny z epoki średniowiecza.

— O, dużo starszy — stwierdził Tate. Umieścił dysk na talerzu obrotowym i puścił go w ruch. Wzór na ekranie był prawidłowy, ale nie doskonały. Tate skrzywił się niezadowolony.

— Niedużo brakowało, żebyśmy porozmawiali. Byłem tuż przy niej, kwestia paru sekund. Z bliska jest piękniejsza od wszystkich kobiet, jakie spotkałem. Szkoda, że jej nie widziałeś. Wiem, mam takie przeczucie, że zajdzie na sam szczyt.

— W porządku — powiedział Tate uspokajająco. — Wierzę ci. Napisz do niej list z wyrazami podziwu. Powiedz jej to.

— Elias — zmienił temat Herb — ten chłopiec, którego poznałem wczoraj wieczorem, jest podobny do Rybys.

— Naprawdę? — Elias spojrzał na niego z ciekawością.

— Gdyby Rybys potrafiła się skupić choć na sekundę, zauważyłaby to. Ona za grosz nie umie się skoncentrować. Ani razu nie spojrzała na tego chłopca. Mógłby być jej synem.

— Może jest coś, czego nie wiesz.

— Odwal się.

— Chciałbym zobaczyć tego chłopca — stwierdził Elias.

— Miałem uczucie, że go skądś znam, z jakiegoś innego życia. Przez sekundę zacząłem sobie przypominać, a potem... — Zrobił nieokreślony gest — znów mi uciekło. Nie zdołałem tego uchwycić. Było coś jeszcze... jakbym pamiętał cały inny świat. Zupełnie inne życie.

Elias przerwał pracę.

— Opisz mi go.

— Byłeś starszy. I nie miałeś czarnej skóry. Bardzo stary człowiek w długiej szacie. Nie znajdowałem się na Ziemi, przemknął mi przed oczami zlodowaciały niezmierny krajobraz. Elias, może ja jestem z innej planety i jakaś potężna organizacja wprowadziła mi do mózgu fałszywe wspomnienia, przesłaniając prawdziwe? A chłopiec, spotkanie z tym chłopcem spowodowało, że prawdziwa pamięć zaczęła wracać? Miałem też poczucie, że Rybys jest bardzo chora. Prawdę mówiąc, że umiera. I coś na temat uzbrojonych funkcjonariuszy Imigracji.

— Funkcjonariusze Imigracji nie noszą broni.

— I statek. Długa podróż z bardzo dużą prędkością. Pośpiech.

A przede wszystkim... obecność. Niepokojąca obecność. Nieludzka. Może to był obcy, przedstawiciel rasy, do której i ja należę, z mojej rodzinnej planety.

— Herb — powiedział Elias — gadasz głupoty.

— Wiem. Ale przez chwilę doznałem tego wszystkiego. I... posłuchaj. — Zrobił nerwowy gest. — Wypadek. Nasz statek zderza się z drugim statkiem. Moje ciało pamiętało, pamiętało wstrząs, pamiętało uszkodzenie.

— Idź do hipnoterapeuty — poradził Elias. — Każ mu się uśpić i wszystko sobie przypomnisz. Niewątpliwie jesteś jakimś niesamowitym przybyszem z kosmosu zaprogramowanym do wysadzenia w powietrze tej planety. Bombę pewnienosisz w sobie.

— To nie jest śmieszne — powiedział Herb.

— No dobrze, jesteś przedstawicielem jakiejś mądrej, superza-awansowanej duchowo szlachetnej rasy i zostałeś przysłany, żeby oświecić ludzkość. Żeby nas zbawić.

W umyśle Herba Ashera natychmiast rozbłysły wspomnienia, które zaraz znów zgasły. Prawie od razu.

— O co chodzi? — spytał Elias, przyglądając mu się z zaciekawieniem.

— Dalsze wspomnienia. Po twoich ostatnich słowach.

— Dobrze by było, gdybyś czasem poczytał Biblię — stwierdził Elias po chwili milczenia.

— Moja misja miała coś wspólnego z Biblią.

— Może jesteś posłańcem — powiedział Elias. — Może masz światu coś przekazać. Od Boga.

— Przestań żartować.

— Ja nie żartuję. Nie teraz. — Widocznie mówił prawdę, jego ciemna twarz przybrała wyraz skupienia.

— Co się dzieje? — spytał Herb.

— Czasem myślę, że ta planeta jest zaczarowana. Żyjemy we śnie albo w jakimś transie i coś każe nam widzieć to, co chce, żebyśmy widzieli i myśleli to, co chce, żebyśmy pamiętali i myśleli. Co znaczy, że jesteśmy tym, czym to coś chce, żebyśmy byli. A to z kolei znaczy, że jesteśmy pozbawieni prawdziwego istnienia. Jesteśmy zdani na łaskę czyjegoś widzimisię.

- Dziwne — powiedział Herb Asher.
- Tak, bardzo dziwne — zgodził się jego współnik.

Pod koniec dnia pracy, kiedy Herb Asher i Elias Tate szykowali się do zamknięcia sklepu, zjawiała się młoda kobieta w zamszowej kurtce, dżinsach, mokasynach i z czerwoną jedwabną przepaską we włosach.

— Cześć — powiedziała do Herba z rękami w kieszeni kurtki. — Jak się masz?

— Zina! — Ucieszył się Herb. A jakiś głos w jego głowie mówił: Jak ona mnie znalazła? To jest trzy tysiące mil od Hollywoodu. Pewnie przez komputerowy indeks adresowy. A jednak... coś tu się nie zgadzało. Mimo wszystko odrzucenie wizyty pięknej dziewczyny byłoby sprzeczne z jego naturą.

— Czy masz czas na małą kawę? — spytała.

— Jasne.

Wkrótce siedzieli naprzeciwko siebie w pobliskiej restauracji.

— Chcę porozmawiać z tobą o Mannym — zaczęła Zina, mieszając kawę z cukrem i śmietanką.

— Dlaczego on jest podobny do mojej żony? — spytał Herb.

— Naprawdę? Nie zauważyłam. Manny ma wyrzuty sumienia, że przez niego nie poznałeś się z Lindą Fox.

— Nie jestem pewien, czy to się stało przez niego.

— Szła prosto na ciebie.

— Szła w naszą stronę, ale to nie znaczy, że doszłoby do rozmowy.

— On chce, żebyś się z nią spotkał. Ma wielkie wyrzuty sumienia. Całą noc nie spał.

— Co proponuje? — spytał Herb zdziwiony.

— Żebyś napisał do niej list z wyrazami podziwu. Wyjaśniający sytuację. Jest przekonany, że ona odpowie.

— Mało prawdopodobne.

— Zrobisz Manny'emu przyjemność — powiedziała cicho Zina. — Nawet jeśli ona nie odpowie.

— Równie chętnie spotkałbym się z tobą. — Jego słowa były starannie wyważone. Wyważone i odmierzone.

— Tak? — Spojrzała na niego. Ależ miała czarne te oczy!

— Z wami obojgiem. Z tobą i z twoim braciszkiem.

— Manny doznał uszkodzenia mózgu. Jego matka została ranna w wypadku powietrznym, kiedy była z nim w ciąży. Spędził kilka miesięcy w inkubatorze, ale dostarczono go tam z opóźnieniem. Dlatego... — Zabębniła palcami po stole. — Jest niepełnosprawny. Chodzi do szkoły specjalnej. Z powodu tego uszkodzenia neurologicznego miewa naprawdę szalone pomysły. Na przykład... — Zawahała się. — A, co tam. Mówi, że jest Bogiem.

— Powinien wobec tego poznać mojego współnika — powiedział Herb Asher.  
Zina gwałtownie potrząsnęła głową.  
— Nie, nie chcę, żeby spotykał się z Eliasem.  
— Skąd znasz Eliasa? — spytał czując ponownie jakiś szczególny dreszcz ostrzeżenia.  
— Udałam się najpierw do waszego mieszkania i rozmawiałam z Rybys. Spędziłyśmy razem kilka godzin, wspomniała o sklepie i o Eliasie. Jak inaczej znalazłabym wasz sklep? Nie jest zarejestrowany pod twoim nazwiskiem.  
— Elias bardzo poważnie traktuje religię.  
— To samo mówiła mi Rybys i dlatego nie chcę, żeby Manny się z nim spotkał. Mogliby się nawzajem wciągać coraz głębiej w manię teologiczną.  
— Moim zdaniem Elias jest bardzo zrównoważony — powiedział Herb.  
— Tak, i Manny też pod wieloma względami jest zrównoważony, ale gdy się spotka dwóch wierzących, robi się... Wiesz, nie kończące się rozmowy o Jezusie i zbliżającym się końcu świata. Bitwa pod Armageddon i ogień niebieski. — Zadrżała. — Na samą myśl przechodzą mnie ciarki. Piekło i potępienie.  
— Jakbym słyszał Eliasa — powiedział Herb. Był prawie pewien, że ona wie. Widocznie od Rybys, tak, na pewno.  
— Herb — zwróciła się do niego Zina — czy zrobisz dla Manny'ego to, o co prosi? Napiszesz do Fox? — Wyraz jej twarzy uległ zmianie.  
— Ta Fox, ciekawe czy ona się przyjmie? — zastanawiał się Herb. — Ma wrodzony talent.  
— Czy napiszesz do Lindy Fox, że chciałbyś się z nią spotkać? — ciągnęła Zina. — Zapytaj ją, gdzie będzie występować, te daty są ustalane z dużym wyprzedzeniem. Napisz jej, że masz sklep muzyczny. Ona nie jest bardzo znana. To nie będzie tak, jakbyś pisał do jakiejś sławnej w całym kraju gwiazdy, która otrzymuje tony listów. Manny jest pewien, że ona ci odpisze.  
— Na pewno napiszę.  
Zina uśmiechnęła się, jej czarne oczy zatańczyły.  
— Nie ma sprawy. Pójdę do sklepu i tam napiszę list. Możemy go wysłać razem.  
Zina wyjęła z torebki kopertę.  
— Manny napisał ten list za ciebie. Chce, żebyś to właśnie jej przekazał. Możesz coś zmienić, ale nie zmieniaj wiele. Manny włożył w to dużo wysiłku.  
— W porządku. — Herb wziął z rąk Ziny kopertę. — Wracajmy do sklepu — powiedział wstając.

Podczas gdy siedział przy swojej maszynie, przepisując list Manny'ego do Fox, jak o niej mówiła Zina, ona przechadzała się po zamkniętym sklepie, paląc nerwowo.

— Czy jest coś, czego nie wiem? — spytał Herb. Wyczuwał, że chodzi o coś jeszcze. Zina wyglądała na bardzo spiętą.

— Manny i ja założyliśmy się — wyjaśniła Zina. — Chodzi o to... zasadniczo o to, czy Linda Fox odpowie, czy nie. Zakład jest nieco bardziej skomplikowany, ale to jest istota sprawy. Czy masz coś przeciwko temu?

— Nie. A które z was postawiło na co?

Zina milczała.

— No dobrze. — Zastanawiał się, dlaczego nie odpowiedziała i dlaczego było to dla niej takie ważne. O czym to, ich zdaniem, zdecyduje? zadawał sobie pytanie. — Nie wspominajcie tylko o tym mojej żonie — dodał pogrążony w jakichś swoich myślach.

I wtedy, nagle, doznał dojmującego przeczucia, że coś od tego zależało, coś ważnego na skalę przekraczającą jego wyobraźnię.

— Czy jestem w coś wrabiany? — spytał.

— W jaki sposób?

— Nie wiem. — Skończył pisać, wcisnął klawisz ze słowem „druk” i maszyna do pisania, model z pamięcią, natychmiast wydrukowała jego list i wyrzuciła go do pojemnika.

— Z moim podpisem — powiedział Herb.

— Tak, list jest od ciebie.

Podpisał list i zaadresował kopertę, przepisując adres z listu Manny'ego. Nagle zastanowiło go, skąd Zina i Manny znali domowy adres Lindy Fox, który widniał na pięknie napisanym holograficznym liście chłopca. Nie do wytwórni, ale domowy, w Sherman Oaks.

Dziwne, pomyślał. Czyżby jej adres nie był zastrzeżony?

Może i nie. Nie była zbyt sławna, jak mu niejednokrotnie przypominano.

— Nie sądzę, żeby odpisała — powiedział.

— Cóż, wówczas trochę srebrnych grosików przejdzie z ręki do ręki.

— Kraina elfów — rzucił natychmiast.

— Co? — spytała Zina zaskoczona.

— Książka dla dzieci Srebrne grosiki. Klasyka. Jest tam zdanie: „Żeby dostać się do krainy elfów, trzeba mieć srebrny grosik”. — Jako dziecko Herb miał tę książkę.

Zina roześmiała się. Nerwowo, jak mu się wydało.

— Zina, czuję, że coś jest nie tak — powiedział.

— Według mnie, wszystko jest w porządku. — Zręcznym ruchem wzięła od niego kopertę. — Ja wyślę — obiecała.

— Dziękuję. Zobaczmy się jeszcze? — spytał.

— Oczywiście. — Zbliżywszy się do niego, wydeła wargi i pocałowała go w usta.

Rozejrzał się i zobaczył krzewy bambusa, ale wśród zarośli przebiegał kolor, jakby ognie świętego Elma. Ten kolor, lśniąca, połyskliwa czerwień, wydawał się żywy. Zbierał się to tu, to ówdzie, a tam, gdzie się zebrał, tworzył słowa lub raczej coś na podobieństwo słów. Jak gdyby cały świat stał się językiem.

Goja tu robie? zastanawiał się gorączkowo. Co się stało? Jeszcze przed chwilą mnie tu nie było.

Czerwony, połyskliwy ogień, jak widzialna elektryczność, przekazywał mu przesłanie rozrzucone wśród krzewów bambusa, dziecięcych huśtawek i kęp suchej trawy.

*Będiesz miłował Pana Boga swego  
całym swoim sercem, całą swoją duszą  
i całym swoim umysłem.*

— Tak — powiedział. Czuł lęk, ale ponieważ płynne języki ognia były tak piękne, zachwyty przeważał nad strachem i rozglądał się oczarowany. Ogień poruszał się, zbliżał się i oddalał, płynął tędy i owędy, tworząc sadzawki. Herb Asher wiedział, że patrzy na żywą istotę. Albo raczej na krew żywej istoty. Ten ogień był żywą krwią, nie fizyczną, ale magiczną, przemienioną.

Schyliwszy się, drżącą ręką dotknął krwi i poczuł przenikający go dreszcz; wiedział, że ta żywa krew wniknęła w jego ciało. Natychmiast w jego umyśle uformowały się słowa:

Strzeż się!

— Pomóż mi — poprosił nieśmiało.

Podniósłszy głowę, ujrzał przed sobą nieskończoną przestrzeń, bezmiar tak rozległy, że nie był w stanie go pojąć. Ta przestrzeń przekraczała wszelkie rozmiary i on sam rozrastał się wraz z nią.

O mój Boże, myślał, drżąc jak w febrze. Krew, żywe słowa i tuż obok jakiś rozum udający świat, a może świat udający rozum, coś zamaskowanego, jakiś byt świadomy jego istnienia.

Nagle oślepił go promień różowego światła, poczuł straszny ból głowy i zasłonił oczy rękami. Oślepiłem! pomyślał. Z bólem i różowym światłem przyszło zrozumienie, nie pozostawiająca cienia wątpliwości wiedza. Wiedział, że Zina nie jest istotą ludzką i wiedział też, że chłopiec Manny nie jest ludzkim dzieckiem. Świat, w którym przebywa, nie jest światem realnym, tak mu powiedział promień różowego światła. Ten świat był symulacją i coś żywego, rozumnego i dobrego chciało, żeby on to wiedział.

Coś troszczy się o mnie i przeniknęło do tego świata, żeby mnie ostrzec, uświadomił sobie, i to coś przybrało postać tego świata, żeby pan tego świata, władca tego nierzeczywistego królestwa nie wiedział, że to coś tu jest i że ujawniło mi prawdę. To straszna tajemnica, pomyślał. Można zostać zabitym za to, że się ją poznało. Jestem w...

Nie bój się

— Dobrze — powiedział, ale nadal cały się trząsał. Słowa w jego głowie, wiedza w jego głowie. Ale był nadal ślepy i ból też nie ustępował. — Kim jesteś? — spytał. — powiedz mi, jak się nazywasz.

Valis.

— Kto to jest Valis? — spytał.

Twój Pan i Bóg

— Nie rób mi krzywdy — poprosił.

Nie bój się, człowieku

Jego wzrok zaczął się poprawiać. Odjął ręce od oczu i zobaczył Zinę w zamszowej kurtce i džinsach. Minęła zaledwie sekunda. Zina odsuwała się po pocałunku. Czy ona wiedziała? Skąd mogła wiedzieć? Tylko on i Valis wiedzieli.

— Jesteś elfem — powiedział.

— Czym? — Zina wybuchnęła śmiechem.

— Ta informacja została mi przekazana, ja wiem. Wiem wszystko. Pamiętam CY30-CY30B, pamiętam moją kopułę. Pamiętam chorobę Rybys i podróż na ziemię. Wypadek. Pamiętam tamten cały inny świat, prawdziwy świat. Ono przedostało się do tego świata i zbudziło mnie. — Mówiąc to, wpatrywał się w nią, a Zina odpowiadała mu intensywnym spojrzeniem.

— Moje imię znaczy tyle co elf, ale to nie znaczy, że jestem elfem. Emmanuel znaczy „Bóg z nami”, ale to nie czyni go Bogiem.

— Pamiętam Jaha — powiedział Herb Asher.

— Oo. Cóż. Wspaniale.

— Emmanuel to jest Jan.

— Wychodzę — powiedziała Zina. Z rękami w kieszeniach kurtki szybkim krokiem podeszła do frontowych drzwi sklepu, przekreśliła klucz w zamku i znikła na zewnątrz. W jednej chwili już jej nie było.



Ona ma mój list, przypomniał sobie Herb Asher. Mój list do Fox.

Pobiegł za Zina.

Ani śladu. Rozglądał się we wszystkich kierunkach. Samochody i ludzie, ale Ziny nigdzie nie było. Znikła.

Ona go wysła, pomyślał. Ten zakład między nią a Emmanuelem dotyczy mojej osoby. Zakładają się o mnie, a stawką jest wszechświat. Nieprawdopodobne. A jednak promień różowego światła tak właśnie mu powiedział. Przekazał mu to wszystko w jednej chwili, bez żadnego upływu czasu.

Rozdygotany, z wciąż bolącą głową wrócił do sklepu, gdzie usiadł masując sobie czoło.

Ona doprowadzi do mojego spotkania z Fox, pomyślał. I z tego spotkania, w zależności od jego wyniku, struktura wszechświata... Nie miał pewności, co się stanie, ale o to chodziło: o strukturę samej rzeczywistości, o wszechświat i wszystkie żyjące w nim istoty.

Chodzi o myślenie, myślał, wiedząc to dlatego i tylko dlatego, że dotknął go promień różowego światła, który był żywą, naelektryzowaną krwią, krwią jakiejś ogromnej superistoty. *Sein*, myślał. Niemieckie słowo, co ono znaczy? *Das Nichts*. Przeciwieństwo *Sein*. *Sein* to tyle co być, istnieć, to tyle, co rzeczywisty wszechświat. *Das Nichts* to tyle, co nic, tyle, co wszechświat symulowany, sen, w którym się znajduję. Wiem, bo tak mi powiedział różowy płomień.

Muszę się napić, pomyślał. Podniósł słuchawkę telefonu, wsunął w otwór kartę magnetyczną i natychmiast miał połączenie z domem.

— Rybys — powiedział ochryłym głosem — wrócę dziś późno.

— Idziesz gdzieś z nią? Z tą dziewczyną? — spytała łamiącym się głosem.

— Nie, do cholery — powiedział i odłożył słuchawkę.

Bóg jest gwarantem istnienia wszechświata, zrozumiał. To jest podstawowa rzecz, jakiej się dowiedziałem. Bez Boga nie ma nic, wszystko rozpływa się i znika.

Zamknąwszy sklep, wsiadł do swojego latającego samochodu i włączył silnik.

Na chodniku stał jakiś człowiek. Ktoś znajomy. Czarnoskóry, starszy, dobrze ubrany.

— Elias! — krzyknął Herb. — Co ty tu robisz? Co się stało?

— Wróciłem zobaczyć, czy wszystko u ciebie w porządku. — Elias Tate podszedł do pojazdu Herba. — Jesteś strasznie blady.

— Wsiadaj — powiedział Herb.

Elias wsiadł do samochodu.

## 15

Obaj mężczyźni zasiedli w barze, jak to im się często zdarzało. Elias, jak zwykle, wziął colę z lodem, nigdy nie pił alkoholu.

— No tak — powiedział kiwając głową. — Nie możesz nic zrobić, żeby zatrzymać ten list. Pewnie jest już w drodze..

— Jestem żetonem pokerowym w grze między Ziną a Emmanuelem — poskarżył się Herb Asher.

— Oni nie założyli się o to, czy Linda Fox odpowie — stwierdził Elias. — Oni założyli się o coś innego. I za nic w świecie nie wymyślisz, o co się założyli. Krzewy bambusowe i dziecięce huśtawki... Ja też mam szczątkową pamięć tego wszystkiego, widzę to we śnie. Szkoła dla małych dzieci. Szkoła specjalna. Stale tam wracam w snach.

— To świat rzeczywisty — powiedział Herb.

— Widocznie. Dużo udało ci się odtworzyć. Nie rozpowiadaj wkoło, że Bóg cię poinformował o fałszywości tego wszechświata. Nie mów nikomu więcej tego, co powiedziałeś mnie.

— A ty mi wierzysz?

— Wierzę ci, że przeżyłeś niezwykle i nie wyjaśnione doświadczenie, ale nie wierzę, że jesteśmy w podrobionym świecie. Wygląda całkiem solidnie. — Elias postukał w plastikowy blat dzielącego ich stolika. — Nie, nie wierzę w to. Nie wierzę w światy nierzeczywiste. Jest tylko jeden kosmos stworzony przez Boga Jehowę.

— Nie twierdzą, że ktoś tworzy fałszywy wszechświat, bo nie ma takiego.

— Ale mówisz, że ktoś każe nam widzieć wszechświat, jakiego nie ma. Kto jest tym kimś?

— Szatan — powiedział Herb Asher.

Elias przyglądał mu się przechyliwszy głowę.

— To jest sposób widzenia świata rzeczywistego — ciągnął Herb. — Zmącony. Jak we śnie. Jak w hipnozie. Istota świata ulega zmianie w naszym odbiorze. Zmienia się postrzeganie świata, nie sam świat. Zmiana jest w nas.

— Małpa Pana Boga — powiedział Elias. — Średniowieczna teoria na temat diabła. Że diabeł małpuje autentyczny boski akt stworzenia swoimi podrabianymi wtrętami. Z punktu widzenia epistemologii, jest to niezwykle ciekawa idea. Czy to oznacza, że jakieś fragmenty naszego świata są sfałszowane? Czy że czasami cały świat jest fałszywy? Czy że jest wiele światów, z których jeden jest prawdziwy, a inne nie? Czy jest zasadniczo jeden macierzysty świat, z którego ludzie czerpią odmienne percepcje? Tak, że świat, który ty widzisz, nie jest światem, który ja widzę?

— Wiem tylko, że coś spowodowało we mnie nawrót pamięci, przypomnienie świata realnego — powiedział Herb. — Moja wiedza, że ten świat — tu postukał po stole — jest oszustwem, opiera się na pamięci. Ja porównuję, mam z czym porównać ten świat. I to jest istota sprawy.

— A czy te wspomnienia nie mogą być sfałszowane?

— Wiem, że nie są.

— Skąd wiesz?

— Wierzę promieniowi różowego światła.

— Dlaczego?

— Nie wiem.

— Dlatego że przedstawił się jako Bóg? Zwodziciel też może tak powiedzieć. Siła diabelska.

— Zobaczymy — powiedział Herb Asher. Zastanawiał się na nowo, co było przedmiotem zakładu i czego oczekiwano od niego.

W pięć dni później odebrał w domu zamiejscowy telefon. Na ekranie pojawiło się nieco pucołowate damskie oblicze.

— Czy to Herb Asher? — odezwał się nieśmiały Jakby zdyszany głos. — Tu Linda Fox. Dzwonię z Kalifornii. Otrzymałam list.

Serce w nim zamarło.

— Cześć, Linda. To znaczy pani Fox. — Był jak ogłuszony.

— Powiem ci, dlaczego dzwonię. — Miała łagodny, miły głos, mówiła, jakby się śpieszyła. — Po pierwsze, chcę ci podziękować za list, cieszę się, że mnie lubisz, to znaczy mój śpiew. Czy podoba ci się Dowland? Czy to dobry pomysł?

— Bardzo dobry. Lubię zwłaszcza „Krynice rzewne, nie płaczcie już więcej”. To moja ulubiona piosenka.

— Chciałam cię o coś spytać... ten papier firmowy... zajmujesz się sprzedażą domowych systemów audio. Za miesiąc przeprowadzam się do mieszkania na Manhattanie i muszę mieć tam system audio od pierwszego dnia. Nagraliśmy tutaj na Zachodnim Wybrzeżu kasety, które mój producent mi przyśle i będę musiała przesłuchać je tak, jak brzmią naprawdę, na rzeczywiście dobrej aparaturze. — Jej długie rzęsy zatrzepota-

ły z obawą. — Czy mógłbyś w następnym tygodniu przylecieć do Nowego Jorku i dać mi wyobrażenie, jaki rodzaj aparatury moglibyście zainstalować? Cena mnie nie interesuje, bo to nie ja będę płacić. Podpisałam umowę z Superba Records i to oni zapłacą za wszystko.

— Jasne — powiedział Herb.

— A może lepiej, żebym to ja przyleciała do Waszyngtonu? — ciągnęła Fox — Co cię bardziej urzęda? Najważniejsza jest szybkość, powiedziano mi, żeby to podkreślić. To dla mnie takie podniecające, podpisałam kontrakt i mam nowego menedżera. Później będę robić dyski wideo, ale na razie zaczynamy od taśm audio, możesz to zrobić? Naprawdę nie wiem, do kogo się zwrócić. Tu, na Zachodnim Wybrzeżu jest dużo sklepów z elektroniką, ale nie znam nikogo na Wschodzie. Pewnie powinnam się zwrócić do kogoś w Nowym Jorku, ale z Waszyngtonu nie jest daleko, prawda? Chyba możesz tam przyjechać? Superba i mój producent, on dla nich pracuje, pokryją wszystkie wydatki.

— Nie ma problemu — powiedział Herb Asher.

— To dobrze. Tu jest mój numer w Sherman Oaks, dam ci też numer na Manhattanie. Skąd znałeś mój adres w Sherman Oaks? List przyszedł bezpośrednio do mnie, a mój adres powinien być zastrzeżony.

— Przyjaciel. Ktoś z branży. Wiesz, ma się te kontakty. Jestem w tym interesie.

— Złapałeś mnie wtedy w barze Hind. Mają tam specyficzną akustykę. Czy słyszałeś mnie dobrze? Wyglądasz znajomo. Chyba widziałam cię wśród publiczności. Stałeś w kącie.

— Był ze mną mały chłopiec.

— Tak, widziałam cię, patrzyłeś na mnie z takim niezwykłym wyrazem twarzy. Czy ten chłopiec to twój syn?

— Nie.

— Czy możesz zapisać moje telefony?

Podawała mu dwa numery telefonu, które zapisał drżącą ręką.

— Zainstaluję ci bombową aparaturę — zdołał wydusić. — Rozmowa z tobą to wielka przyjemność. Jestem przekonany, że zajdziesz bardzo daleko, na szczyty wszystkich list. Będziesz słuchana i oglądana w całej galaktyce, wierz mi, ja to wiem.

— Jesteś taki miły — powiedziała Linda Fox. — Musze już iść. Dziękuję ci. W porządku? Do widzenia. Będę czekała na wiadomość. Nie zapomnij. To bardzo pilne, musi być zrobione. Tyle kłopotów, ale to pasjonujące. Do widzenia. — Odłożyła słuchawkę.

— Niech mnie diabli — powiedział Herb Asher na głos. — Nie wierzę.

— Zadzwoiła do ciebie — odezwała się Rybys zza jego pleców. — Naprawdę do ciebie zadzwoniła. To jest coś. Czy rzeczywiście zainstalujesz jej ten system? To by znaczyło...

— Nie mam nic przeciwko temu, żeby się przelecieć do Nowego Jorku. Tam kupię wszystkie elementy, nie ma sensu wozić ich stąd tam.

— Nie myślisz, że powinieneś zabrać ze sobą Eliasa?

— Zobaczymy — powiedział. Umysł miał zmacony, huczący zachwytem.

— Gratulacje — powiedziała Rybys. — Mam przeczucie, że powinnam jechać z tobą, ale jeżeli obiecasz...

— Wszystko w porządku — powiedział, prawie jej nie słysząc. — Fox. Rozmawiałem z nią. To ona do mnie zadzwoniła. Do mnie.

— Czy nie wspominałeś mi, że Zina i jej braciszek mają jakiś zakład? Założyli się... któregoś z nich... że ona nie odpisze na twój list, a drugie, że odpisze?

— Tak — powiedział. — Jest zakład. — Nic go to nie obchodziło. Zobaczę ją, myślał. Odwiedzę ją w jej nowym mieszkaniu na Manhattanie, spędzę z nią wieczór. Ubranie. Potrzebne mi jest nowe ubranie. Jezu, muszę dobrze wyglądać.

— Jak myślisz, za ile możesz jej sprzedać sprzętu? — spytała Rybys.

— Nie o to chodzi — wyrzucił ze złością.

— Przepraszam — powiedziała Rybys, kurcząc się w sobie. — Myślałam tylko, wiesz, jakiej klasy ma to być sprzęt. Chodziło mi tylko o to.

— Dostanie najlepszy sprzęt dostępny na rynku. Tylko pierwsza klasa. Taki, jaki bym chciał dla siebie. Lepszy niż bym chciał dla siebie.

— Może to będzie dobra reklama dla sklepu. Spojrzał na nią ze złością.

— O co ci chodzi?

— Fox — powiedział po prostu. — Fox zadzwoniła do mnie. Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

— Lepiej powiedz o tym Zinie i Emmanuelowi. Mam ich numer.

Nie, pomyślał. To moja sprawa, nie ich.

— Nadszedł czas — zwrócił się Emmanuel do Ziny. — Teraz zobaczymy, co z tego wyniknie. Wkrótce Herb poleci do Nowego Jorku. Już niedługo.

— Czy wiesz już, co się zdarzy? — spytała Zina.

— Mnie interesuje, czy zlikwidujesz swój świat próżnych marzeń, jeżeli on...

— On się przekona, że ona jest nic niewarta — powiedziała Zina. — Ona jest pusta, głupia, bez krzty dowcipu, mądrości i zdrowego rozsądku. On od niej odejdzie, bo czemuś takiemu nie można dawać realnego bytu.

— Zobaczymy.

— Tak, zobaczymy — powtórzyła Zina. — Nic czeka na Herba Ashera. To on jest dla niej kimś.

I właśnie tutaj popełniłaś błąd, stwierdził Emmanuel w tajnej głębi swego nieprzeknionego umysłu. Herb Asher nie żyje swoim zachwytem dla niej, potrzebna jest wza-

jemność i ty mi to podpowiedziałaś. Kiedy ją zdegradowałaś tutaj, w swoim Królestwie, niechcący uczyniłaś ją bardziej realną.

A to, myślał, wykracza poza twoje pojęcie, bo nie wiesz, co to jest realność. W przeciwieństwie do mnie, myślał, bo to moje Królestwo.

— Myślę — powiedział — że już przegrałaś.

— Nie wiesz, o co ja gram — ucieszyła się Zina. — Nie znasz ani mnie, ani moich celów!

*Może to i prawda, pomyślał.*

*Ale znam siebie... i znam swoje cele.*

Ubrany w modny garnitur, kupiony za niemałą sumę, Herb Asher wszedł do luksusowej rakiety pasażerskiej do Nowego Jorku. Z teczką, zawierającą prospekty wszystkich najnowszych systemów audio dostępnych na rynku, usiadł i wyglądał przez okno podczas trzy-minutowego przelotu. Prawie natychmiast rakieta zaczęła schodzić do lądowania.

To najpiękniejsza chwila w moim życiu, stwierdził wewnątrz, kiedy odpaliły silniki hamujące. Spójrzcie tylko na mnie, wyglądam jak z żurnala. Dzięki Bogu, że Rybys nie poleciała ze mną.

— Wylądowaliśmy na kosmodromie Kennedy'ego — odezwały się głośniki nad głową. — Proszę pozostać na swoich miejscach, dopóki nie odezwie się sygnał. Po jego usłyszeniu można przesuwać się do wyjścia w przedniej części statku. Dziękujemy, że wybraliście Kosmolinie Delta.

— Miłego dnia — powiedział robot pokładowy, kiedy Herb Asher dziarskim krokiem opuszczał raketę.

— Nawzajem — odpowiedział Herb. — Zdrowia, szczęścia.

Żółtą taksówką poleciał bezpośrednio do Essex House, gdzie miał zarezerwowany pokój (do diabła z kosztami) na najbliższe dwa dni. Wkrótce był już rozpakowany, ocenił luksusowe wyposażenie pokoju i wzięwszy valizę (najlepszy z ostatniej generacji środków pobudzających), zadzwonił do mieszkania Lindy Fox na Manhattanie.

— To dobrze, że jesteś już w mieście — powiedziała, kiedy się przedstawił. — Czy możesz przyjechać od razu? Są tu jacyś ludzie, ale zaraz wychodzą. Chciałabym tę decyzję w sprawie sprzętu podjąć z namysłem i bez pośpiechu. Która jest teraz godzina? Dopiero co przyjechałam z Kalifornii.

— Tu, w Nowym Jorku, jest siódma wieczorem.

— Czy jadłeś już kolację?

— Nie — odpowiedział. To było jak marzenie, czuł się jakby znalazł się w świecie snów, w krainie czarów. Czuł się, pomyślał, jak dziecko. Jakbym czytał wiersze ze

Srebrnego grosika. Widocznie znalazłem srebrny grosik i dostałem się tutaj. Gdzie zawsze chciałem zamieszkać. „Wrócił żeglarz do domu z mórz”, pomyślał. „I myśliwy...” Nie pamiętał dalszego ciągu. Tak czy inaczej, o to chodziło, nareszcie był w domu.

I nikt mu tu nie powie, że ona wygląda jak kelnerka z pizzerii, poinformował sam siebie. Mogę się więc tym nie przejmować.

— Mam coś do zjedzenia tutaj, w mieszkaniu, jestem zwolenniczką zdrowej żywności. Gdybyś chciał... mam sok pomarańczowy, twaróg sojowy, warzywa. Jestem przeciwna zabijaniu zwierząt.

— Zgoda — powiedział. — Jasne. Co zechcesz.

Kiedy dotarł do jej mieszkania (w wyjątkowo pięknym budynku), zastał ją w czapce, swetrze z golfem, białych szortach i boso. Zaprosiła go do pokoju, w którym nie było żadnych mebli, jeszcze się nie wprowadziła. W sypialni śpiwór i otwarta walizka. Pokoje były duże i okno widokowe wychodziło na Central Park.

— Dzień dobry — powiedziała. — Jestem Linda. — I wyciągnęła rękę. — Cieszę się, Asher.

— Na imię mam Herb.

— U nas na Wybrzeżu, na Zachodnim Wybrzeżu, wszyscy przedstawiają się tylko z imienia. Staram się od tego odzwyczaić, ale mi nie wychodzi. Wychowałam się w Riverside, w Południowej Kalifornii. — Zamknęła za nim drzwi. — Prawda, że bez mebli wygląda to upiornie? Zarządca kupuje już meble, będą tu pojutrze. Oczywiście, nie kupuje sam, pomagam mu. Zobaczmy teraz te twoje prospekty. — Zauważyła jego teczkę i oczy rozbłyły jej niecierpliwie.

Rzeczywiście, wygląda trochę jak kelnerka z pizzerii, pomyślał Asher. Ale to nic nie szkodzi. Jej cera z bliska, w górnym oświetleniu, nie była tak gładka, jak myślał. Prawdę mówiąc, zauważył, że miała ślad trądziku.

— Możemy usiąść na podłodze — powiedziała, osuwając się z plecami opartymi o ścianę, z nagimi kolanami podciągniętymi wysoko. — Obejrzyjmy. Polegam całkowicie na tobie.

— Zakładam, że chcesz mieć sprzęt, jakiego używają w studiach. To, co my nazywamy aparaturą profesjonalną. Nie to, co zwykli ludzie mają w domach.

— Co to jest? — Linda wskazała zdjęcie wielkich głośników. — Wyglądają jak lodówki.

— To stary model — powiedział Herb przewracając kartkę. — Działają na zasadzie plazmy uzyskiwanej z helu. Trzeba kupować butle z helem. Za to ładnie wyglądają, bo plazma świeci. Dzięki niezwykle wysokiemu napięciu. Pokażę ci coś nowszego, przetwarzanie plazmy jest już przestarzałe, albo wkrótce będzie.

Dlaczego mam uczucie, że wszystko to dzieje się w mojej wyobraźni? zadawał sobie pytanie. Może dlatego, że jest takie cudowne. A jednak...



Siedzieli tak we dwoje przez dwie godziny, oparci o ścianę przeglądając jego literaturę. Linda wykazywała wielki zapał, ale wreszcie ją to zmęczyło.

— Jestem głodna — powiedziała. — Nie mam odpowiedniego stroju, żeby iść do restauracji. Tutaj trzeba być odpowiednio ubranym, to nie Południowa Kalifornia, gdzie można włożyć na siebie wszystko. Gdzie się zatrzymałeś?

— W hotelu Essex.

— Chodźmy do ciebie, zamówimy coś do pokoju — powiedziała wstając i przeciągając się. — Zgoda?

— Doskonale.

Kiedy zjedli kolację w pokoju hotelowym Herba Ashera, Linda zaczęła się przechadzać z założonymi rękami.

— Wiesz co? — zaczęła. — Mam powracający sen, w którym jestem najpopularniejszą śpiewaczką galaktyki. Zupełnie tak, jak to powiedziałeś przez telefon. Pewnie moje marzenia ujawniają się w podświadomości. Śnią mi się tylko te sceny czysto zawodowe, kiedy nagrywam kasety, daję koncerty i mam wielkie pieniądze. Czy wierzysz w astrologię?

— Chyba tak.

— I miejsca, w których nigdy nie byłam, też mi się śnią. Ludzie, których nigdy nie spotkałam, ważne osobistości. Grube ryby ze świata rozrywki. Zawsze pędzimy z miejsca na miejsce. Możesz zamówić jakieś wino? Ty wybierz, ja się nie znam na francuskich winach. Tylko żeby nie było zbyt wytrawne.!

On też nie znał się na francuskich winach, ale zażądał listy win z restauracji hotelowej i przy pomocy kelnera zamówił butelkę drogiego burgunda.

— Smakuje wspaniale — powiedziała Linda Fox, siedząca na kanapie z podwiniętymi gołymi nogami. — Powiedz mi coś o sobie. Jak długo zajmujesz się sprzedażą sprzętu audio?

— Wiele lat.

— Jak uniknąłeś poboru?

To go zaskoczyło. Był przekonany, że obowiązkową służbę wojskową zniesiono już dawno.

— Naprawdę? — zdziwiła się Linda, kiedy jej to powiedział. — To dziwne — powiedziała zaskoczona, ze zmarszczonym czołem. — Byłam pewna, że służba w wojsku jest obowiązkowa i że wielu mężczyzn emigrowało na inne planety, żeby jej uniknąć. Czy byłeś kiedyś poza Ziemią?

— Nie — odpowiedział. — Ale chciałbym przeżyć podróż międzyplanetarną dla samego doświadczenia. — Usiadł obok niej na kanapie, niby to przypadkowo obejmując ją ramieniem. Nie protestowała. — I to lądowanie na obcej planecie. To musi być niesamowite uczucie.

— Mnie jest dobrze tutaj. — Oparła się o jego ramię i przymknęła oczy. — Pomasuj mi plecy — powiedziała. — Zesztywniałam od tego opierania się o ścianę, boli mnie tutaj. — Pochyliła się, dotykając środkowej części kręgosłupa. Herb zaczął masować jej kark. — O, jak dobrze — zamruczała.

— Połóż się na łóżku — powiedział. — Żebym mógł silniej nacisnąć. W tej pozycji trudno mi to zrobić.

— Dobrze. — Linda Fox zeskoczyła z kanapy i bosą przeszła przez pokój. — Jaka ładna sypialnia. Ja nigdy nie zatrzymywałam się w Essex House. Czy jesteś żonaty?

— Nie — odpowiedział. Nie ma sensu mówić jej o Rybys. — Byłem, ale się rozwiodłem.

— Czy rozwód to nie jest coś okropnego? — Położyła się na łóżku z wyciągniętymi rękami.

Pochylił się nad nią i pocałował w tył głowy.

— Nie rób tego — powiedziała.

— Dlaczego?

— Nie mogę.

— Czego nie możesz?

— Kochać się. Mam okres.

Okres? Linda Fox ma okresy? Nie wierzył własnym uszom. Odsunął się od niej i usiadł sztywno.

— Przykro mi — powiedziała. Nie sprawiała wrażenia zażenowanej. — Zaczniij od barków — powiedziała. — Całkiem mi zesztywniały. Chce mi się spać. To wino. Chyba... — Ziewnęła. — Dobrze było.

— Tak — zgodził się Herb Asher. Nadal siedział z dala od niej.

Nagle odbiło się jej. Zasłoniła dłonią usta.

— Pardon — powiedziała.

Następnego dnia rano odleciał do Waszyngtonu. Tamtego wieczoru Linda wróciła do swojego pustego mieszkania, ale sprawa była niejasna z powodu jej okresu. Kilkakrotnie wspomniała (niepotrzebnie jego zdaniem), że podczas okresu zawsze miewa dokuczliwe kurcze i że ma je też teraz. W drodze powrotnej czuł się nieco przygnębiony, ale wioził umowę na dość sporą sumę. Linda Fox podpisała zamówienie na system stereo najwyższej klasy, a później miał wrócić i nadzorować instalację aparatury wideo i playbacku. W sumie była to opłacalna wyprawa.

A jednak... jego główne marzenie nie zostało spełnione z powodu... nieodpowiedniego czasu. Jej cyklu menstruacyjnego, myślał. Więc Linda Fox ma okresy i kurcze? zapytywał sam siebie. Nie mogę wprost uwierzyć. Ale to chyba prawda. Czy mogła to być tylko wymówka? Nie, to nie była wymówka. To była prawda.

Kiedy wrócił do domu, żona miała tylko jedno pytanie:

— Czy między wami coś było?

— Nie — odpowiedział. Pech tak chciał.

— Wyglądasz na zmęczonego.

— Zmęczony, ale szczęśliwy. — Było to przyjemne i wartościowe przeżycie, spędził z Fox wiele godzin na rozmowie. Łatwo się z nią nawiązuje kontakt, myślał. Otwarta, pełna zapału, miły człowiek. Solidna, bez cienia afektacji. Lubię ją, myślał. Z przyjemnością znów się z nią spotkam.

I wiem, myślał, że ona daleko zajdzie.

To dziwne, jak silna była w nim ta intuicja, to przekonanie o przyszłym sukcesie Fox. Cóż, wynikało to z tego, że Linda Fox była naprawdę dobra.

— Jaka ona jest? — spytała Rybys. — Pewnie nic tylko mówi o swojej karierze.

— Jest miła, wrażliwa i skromna — powiedział. — I zupełnie na luzie.

— Czy będę mogła ją kiedyś poznać?

— Dlaczego nie? Polecę tam jeszcze raz i ona też wspomniała, że może przylecieć tutaj i odwiedzić nasz sklep. Ona stale podróżuje, jest na starcie do wielkiej kariery. Zaczyna odnosić sukcesy, które są jej potrzebne i na które zasługuje, a ja bardzo się z tego cieszę.

Gdyby tylko nie miała tego okresu, dodał w myśli, ale takie jest życie. Takie rzeczy składają się na rzeczywistość. Linda pod tym względem nie różni się od wszystkich innych kobiet, nie ma róży bez kolców.

I tak ją lubię, pomyślał. Nawet, jeżeli nie pójdziemy do łóżka. Radość z jej obecności: to samo mi wystarczy.

— Przegrałaś — powiedział chłopiec do Ziny Pallas.

— Tak, przegrałam — zgodziła się. — Nadałeś jej realność, a on nadal ją kocha. Marzenie przestało być dla niego marzeniem, stało się rzeczywistością aż do poziomu rozczarowań.

— Co jest oznaką realności.

— Tak — przyznała. — Gratulacje. — Zina wyciągnęła do Emmanuela rękę i wymienili uścisk dłoni.

— A teraz — powiedział chłopiec — zdradzisz mi, kim jesteś.

## 16

— Tak, Emmanuelu, powiem ci, kim jestem, ale nie pozwolę na powrót twojego świata. Mój jest lepszy. Herb Asher jest w nim znacznie szczęśliwszy, Rybys żyje... Linda Fox jest prawdziwa...

— Ale to nie ty nadałaś jej realność. To ja.

— Czy chcesz przywrócić świat, który ty im dałeś? Z zimą, lodem, śniegiem? To ja zburzyłam więzienie, ja sprowadziłam wiosnę. Ja pozbyłam się prokuratora maksimusa i naczelnego prałata. Niech zostanie tak, jak jest.

— Przemienię twój świat w rzeczywistość, już zacząłem to robić. Objawiłem się Herbowi Asherowi, kiedy go całowałaś, wchodzę w twój świat w mojej prawdziwej postaci. Zmieniam go krok po kroku w mój świat. Jednak ludzie muszą pamiętać. Mogą żyć w twoim świecie, ale muszą wiedzieć, że istniał świat gorszy i że byli zmuszeni w nim żyć. Przywróciłem pamięć Herbowi Asherowi, a wszyscy inni śnią.

— Mnie to nie przeszkadza.

— Powiedz mi teraz, kim jesteś.

— Chodźmy — powiedziała. — Daj rękę. Pójdziemy jak Beethoven i Goethe, jak para przyjaciół. Zabierz nas do Parku Stanleja w Kolumbii Brytyjskiej i będziemy tam obserwować zwierzęta, wielkie białe wilki. To przepiękny park, piękny jest most Lionsgate, a Vancouver jest najpiękniejszym miastem na Ziemi.

— To prawda — przyznał Emmanuel — zapomniałem.

— A kiedy je zobaczysz, chcę, żebyś zadał sobie pytanie, czy chciałbyś je zniszczyć albo w jakikolwiek sposób zmienić. Chcę, żebyś po obejrzeniu takiego ziemskiego piękna spytał sam siebie, czy chcesz zarządzić swój wielki i straszny sen, w którym wszyscy zuchwalcy i złoczyńcy zostaną rzućeni w ogień, spopieleni, tak że nie pozostanie po nich ani korzeń, ani gałązka?

— Zgoda — powiedział Emmanuel.

*My jesteśmy duchy napowietrzne;  
przy nas człowiek może spać bezpiecznie*

— zadeklamowała Zina.

— Naprawdę? — spytał. Bo jeżeli, myślał, jesteś duchem powietrznym, to znaczy, że jesteś aniołem.

Zina mówiła dalej:

*Wzywam teraz niebieskich śpiewaków:  
Przybywajcie do naszego gaju!  
To jest miejsce dla łagodnych, zacnych ptaków;  
A drapieżcy wstępu tu nie mają.*

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał Emmanuel.

— Zabierz nas najpierw do Parku Stanleya. Bo jeżeli ty nas tam przeniesiesz, będziemy tam naprawdę, nie będzie to sen.

Tak zrobił.

Szli we dwoje wśród zieleni, pod olbrzymimi drzewami. Wiedział, że te ostępy nigdy nie były wycinane, to był las dziewiczy.

— To jest niesamowicie piękne — powiedział Emmanuel.

— To jest właśnie świat.

— Powiedz mi, kim jesteś.

— Ja jestem Tora.

— Wobec tego nie mogę zrobić ze wszechświatem nic bez poradzenia się ciebie — powiedział po chwili milczenia Emmanuel.

— I nie możesz zrobić ze wszechświatem nic, co byłoby sprzeczne z tym, co ja mówię, jak to sam zdecydowałeś na początku, kiedy mnie stworzyłeś. Ty nadałeś mi życie, jestem żywą istotą, która myśli. Ja jestem planem wszechświata, jego projektem. Chciałeś, żeby tak było i tak jest.

— Stąd tabliczka, którą mi dałaś.

— Spójrz na mnie — powiedziała Zina.

Spojrzał na nią i zobaczył młodą kobietę siedzącą na tronie w koronie na głowie.

— Malchut — powiedział. — Najniższa z dziesięciu sefir.

— Ty zaś jesteś Wieczny i Nieskończony Ein-Sof — powiedziała Malchut. — Pierwsza i najwyższa sefira z Drzewa Życia.

— Mówiłaś, że jesteś Torą.

— W księdze Zohar Tora jest przedstawiona jako piękna dziewczyna żyjąca samotnie, zamknięta w wielkim zamku. Jej tajny kochanek przychodzi, żeby ją zobaczyć, ale może tylko nadaremnie czekać za murami w nadziei ujżenia jej. Wreszcie ona pojawia się

w oknie i on widzi ją, ale tylko przez chwilę. Potem ona staje przy oknie i on może z nią rozmawiać, ale jej twarz jest zasłonięta, a jej odpowiedzi na jego pytania są wymijające. Na koniec, po upływie długiego czasu, kiedy kochanek zaczyna rozpaczać, myśląc, że nigdy jej nie pozna, ona ukazuje mu swoją twarz.

— Odsłaniając przed zakochanym swoje tajemnice, które dotąd, przez długi okres zalotów, kryła w swoim sercu. Znam księgę Zohar. Masz rację.

— Teraz więc mnie znasz, Ein-Sof — powiedziała Malchut. — Czy to cię cieszy?

— Nie, bo chociaż to, co mówisz, jest prawdą, to jednak na twojej twarzy pozostała jeszcze jedna zasłona. Trzeba zrobić jeszcze jeden krok.

— To prawda — powiedziała piękna, młoda kobieta siedząca na tronie — ale będziesz musiał zrobić go sam.

— Zrobię. Jestem teraz tak blisko. Jeden krok, jeden mały krok.

— Zgadłeś — powiedziała Malchut. — Ale musisz zrobić coś więcej. Zgadywanie nie wystarczy, musisz wiedzieć.

— Jesteś taka piękna. I, oczywiście, jesteś tutaj, w tym świecie, i kochasz ten świat. Jesteś sefira, która przedstawia Ziemię. Ty jesteś łonem zawierającym wszystko, wszystkie pozostałe sefiry składające się na Drzewo. To z ciebie rodzi się pozostałe dziewięć sił.

— Nawet Kater — powiedziała spokojnie Malchut — która jest najwyższa.

— Ty jesteś Dianą, królową elfów. Jesteś Pallas Ateną, boginią sprawiedliwej wojny, jesteś królową wiosny. Jesteś Hagia Sophia, Święta Mądrość, jesteś Torą, która stanowi wzór i plan wszechświata, jesteś Malchut z Kabały, najniższa z dziesięciu sefir, Drzewa Życia, jesteś moją towarzyszką, przyjaciółką i przewodniczką. Ale kim jesteś naprawdę pod tymi wszystkimi maskami? Wiem, kim jesteś i... — Położył dłonie na jej dłoniach. — Zaczynam sobie przypominać. Upadek, kiedy boskość została rozdarta.

— Tak — skinęła głową. — Sięgasz teraz pamięcią do tamtej chwili, do początku.

— Daj mi jeszcze trochę czasu. To bardzo trudne. To boli.

— Zaczekam. — Siedząc na tronie czekała. Czekwała od tysięcy lat i na jej twarzy widniała cierpliwa i spokojna gotowość, żeby czekać dalej, tyle, ile będzie konieczne. Oboje wiedzieli od początku, że nadejdzie taki moment, kiedy znów będą razem. Teraz byli na powrót razem, jak na początku. Musiał tylko ją nazwać. Nazwać to wiedzieć, pomyślał. Wiedzieć i wezwać, przywołać.

— Czy mam cię nazwać po imieniu? — spytał.

Uśmiechnęła się zachwycającym, roztańczonym uśmiechem, ale w jej oczach nie było tym razem przekory. Tym razem błyszczała w nich miłość, bezmiar miłości.

Nicholas Bulkowsky, w mundurze czerwonej armii, szykował się do wystąpienia na wiecu partyjnym w stolicy Kolumbii Bogocie. Gdyby partii udało się przeciągnąć

Kolumbię do obozu antyfaszystowskiego, byłoby to jakąś przeciwwagą do klęski, jaką stanowiła utrata Kuby.

Jednak niedawno składał tu wizytę kardynał Kościoła rzymskokatolickiego, nie jakaś osobistość miejscowa, lecz Amerykanin przysłany przez Watykan, z zadaniem utrudniania działalności partii komunistycznej. Dlaczego oni muszą się mieszać? zadawał sobie pytanie Bulkowsky. Bulkowsky. Odrzucił już to nazwisko, teraz był znany jako generał Gomez.

— Dajcie mi psychologiczny profil tego kardynała Harmsa — zwrócił się do swojego kolumbijskiego doradcy.

— Tak jest, towarzyszu generale. — Reiz przekazał mu materiały na temat amerykańskiego podżegacza.

— On ma nasrane w głowie — powiedział Bulkowsky, studiując materiały. — Gość rzeźbi w teologii. Watykan wybrał sobie niewłaściwego człowieka. — Zrobimy tego Harmsa na szaro, pomyślał zadowolony.

— Mówię, że kardynał Harms ma charyzmę — zauważył Reiz. — Wszędzie, gdzie się pokaże, przyciąga tłumy.

— Jeżeli pokaże się w Kolumbii, przyciągnie gazrurkę do swojej głowy — powiedział Bulkowsky.

Jako znakomity gość popołudniowego programu telewizyjnego, rzymskokatolicki kardynał Fulton Statler Harms popadł w swoją normalną sentencjonalną retorykę. Prowadzący, który czekał na okazję do zrobienia niezbędnej przerwy na zrzut informacji handlowej, zdradzał niepokój.

— Ich polityka — deklarował Harms — inspiruje nieład, z którego oni korzystają. Niepokoje społeczne są kamieniem węgielnym ateistycznego komunizmu. Pozwólcie, że dam jeden przykład.

— Za chwilę wrócimy do tematu — wtrącił prowadzący, kiedy kamera skierowała się na jego nieciekawe oblicze. — Ale najpierw kilka informacji. — Cięcie na puszkę yardguardu w sprayu.

Korzystając z tego, że przez chwilę nie było ich na wizji, Fulton Harms zwrócił się do prowadzącego:

— Jak tu, w Detroit, wygląda rynek nieruchomości? Rozporządzam pewnymi funduszami, które chciałbym zainwestować, a przekonałem się, że budynki biurowe są najkorzystniejszą inwestycją.

— Najlepiej skonsultować się... — Prowadzący dostał w tym momencie sygnał od kierownika produkcji, natychmiast przybrał więc inteligentny wyraz twarzy i odezwał się swobodnym, ale profesjonalnym głosem:

— Rozmawiamy dzisiaj z kardynałem Fultonem Harmerem...



— Harmsem — poprawił Harms.

— ...Harmsem z diecezji...

— Archidiecezji — poprawił urażonym tonem Harms.

— ...Detroit — kontynuował prowadzący. — Kardynale, czy to prawda, że w większości krajów katolickich, zwłaszcza tych w Trzecim Świecie, brak jest znaczącej klasy średniej? Że można w nim znaleźć bardzo bogate elity i pogrążoną w nędzy resztę, niewykształconą i pozbawioną nadziei na poprawę losu? Czy istnieje jakiś związek między Kościołem a tą godną ubolewania sytuacją?

— Cóż... — zaczął Harms, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć.

— Ujmijmy to w ten sposób — ciągnął prowadzący. Był idealnie rozluźniony, czuł, że w pełni kontroluje sytuację. — Czy Kościół od wieków nie hamował postępu ekonomicznego i społecznego? Czy Kościół nie jest w istocie reakcyjną instytucją działającą w interesie nielicznych w celu wyzysku większości i wykorzystującą ludzką naiwność? Czy jest to uczciwe postawienie sprawy?

— Kościół — powiedział słabo Harms — zajmuje się duchową stroną człowieka, czuje się odpowiedzialny za jego duszę.

— Ale nie za jego ciało.

— Komuniści zniewalają zarówno ciało, jak i duszę człowieka — mówił Harms. — Kościół...

— Przykro mi, kardynale Harms — wkroczył prowadzący — ale nasz czas dobiegł końca. Rozmawialiśmy z...

— ...uwalnia człowieka od grzechu pierwородnego — powiedział Harms.

Prowadzący spojrział na niego.

— Człowiek rodzi się w grzechu — ciągnął Harms, zupełnie nie mogąc zebrać myśli.

— Dziękujemy kardynałowi Fultonowi Statlerowi Harmsowi — powiedział prowadzący. — A teraz kilka propozycji.

I reklamy. Harms jęknął w duchu. Chwilami, zastanawiał się wstając z wytwornego fotela, w którym go posadzono, chwilami mam uczucie, że znałem lepsze czasy.

Nie potrafił tego sprecyzować, ale siedziało to w nim. A teraz muszę udać się do tej zafajdanej Kolumbii, pomyślał. Byłem tam raz, najkrócej jak się dało, i dzisiaj znów muszę tam lecieć. Jestem marionetką w ich rękach i rzucają mną to tu, to tam. Kolumbia, powrót do Detroit, Baltimore i znów Kolumbia. Jestem kardynałem i muszę się z tym wszystkim godzić? Czasami mam ochotę zrezygnować.

To nie jest najlepszy z możliwych światów, pomyślał, kierując się do windy. Na dodatek gospodarze popołudniowych programów telewizyjnych publicznie mnie znieważają.

Libera me Domine, westchnął i była to niema prośba: Ratuj mnie, Boże. Dlaczego On mnie nie słucha? zastanawiał się Harms, czekając na windę. Może komuniści mają rację, może Boga nie ma? Jeżeli Bóg jest, to w każdym razie dla mnie nie robi nic.

Zanim wyjadę z Detroit, postanowił, skontaktuję się z moim doradcą inwestycyjnym w sprawie budynków biurowych. Jeżeli zdążę.

— Wróciłam — obwieściła Rybys Rommey-Asher, wchodząc ciężkim krokiem do mieszkania. Zamknęła drzwi frontowe i zdjęła płaszcz. — Doktor mówi, że to wrzód. Wrzód odźwiernika. Mam brać fenobarbiturat i pić mleczko magnezjowe.

— Czy nadal cię boli? — spytał Asher, który szukał w swojej kolekcji kaset II symfonii Maniera.

— Możesz mi przynieść szklankę mleka? — Rybys opadła na kanapę. — Jestem ledwo żywa. — Jej twarz wyglądała na spuchniętą. — I nie puszczaj głośniej muzyki. Nie zniosłabym teraz żadnego hałasu. Dlaczego nie jesteś w sklepie?

— Mam dziś wolne. — Znalazł kasetę z symfonią Maniera. — Założę słuchawki — powiedział. — Żeby ci nie przeszkadzać.

— Chcę ci opowiedzieć o moim wrzodzie — zaczęła Rybys. — Dowiedziałam się paru interesujących rzeczy o wrzodach, zaszłam do biblioteki. O, proszę. — Wyciągnęła papierową teczkę. — Mam tu odbitkę najnowszego artykułu. Istnieje teoria, że...

— Mam zamiar słuchać II symfonii Maniera — powiedział Herb Asher.

— Doskonale, proszę bardzo. — W jej głosie była gorycz i ironia.

— Nie mogę ci pomóc w sprawie wrzodu.

— Możesz mnie wysłuchać.

— Przyniosę ci mleko — powiedział Herb Asher. Czy musi tak być? myślał w kuchni.

Gdybym mógł posłuchać symfonii Maniera, myślał, poczułbym się lepiej. Jedna symfonia napisana na ruthe, myślał. Instrument, który wygląda jak mała miotełka, używa się go do gry na wielkim bębnie. Szkoda że Mahler nie znał pedału Morleya, zaraz by go wykorzystał w którymś z dłuższych dzieł.

Wróciwszy do saloniku, podał żonie szklankę mleka.

— Co robiłeś przez cały dzień? — spytała. — Widzę, że jest nie posprzątane.

— Telefonowałem do Nowego Jorku.

— LindaFox.

— Tak. Zamawiałem dla niej sprzęt audio.

— Kiedy będziesz się znowu z nią widział?

— Będę doglądał montażu. Chcę sprawdzić system, kiedy będzie gotowy.

— Tyją naprawdę lubisz — powiedziała Rybys.

— To dobry interes.

— Ja mówię o niej. Tyją lubisz. — Po chwili milczenia powiedziała: — Myślę, Herb, że się z tobą rozwiodę.

— Mówisz poważnie? — spytał.

— Bardzo.

— Z powodu Lindy Fox?

— Dlatego, że mam powyżej uszu mieszkania w chlewie. Mam dosyć szykowania kolacji dla ciebie i twoich kolegów. Szczególnie mam dość Eliasa, zawsze zjawia się niespodziewanie, nigdy nie zadzwoni i nie uprzedzi. Zachowuje się, jakby tu mieszkał. Połowa pieniędzy, które wydajemy najedzenie, idzie na jego potrzeby. Jest jak żebrak. Zresztą, wygląda jak żebrak. I te jego zwariowane religijne bzdury, ta śpiewka „Koniec świata jest bliski”... Nie zniosę tego więcej. — zamilkła i skrzywiła się z bólu.

— Wrzód? — spytał Herb Asher.

— Tak, wrzód. Wrzód, którego nabawiłam się ze zmartwienia...

— Wychodzę do sklepu — powiedział idąc do drzwi. — Do widzenia.

— Do widzenia, Herbie Asher. Zostaw mnie tutaj, a sam idź poflirtować z co ładniejszymi klientkami i posłuchać nowych super-systemów za pół miliona dolarów, przy których człowiek wyskakuje ze skarpetek.

Zamknął za sobą drzwi i po chwili wzbił się w powietrze swoim latającym samochodem.

Później tego samego dnia, kiedy po sklepie nie snuli się już klienci oglądający nowy sprzęt, Herb usiadł w pokoju przesłuchań ze swoim wspólnikiem.

— Elias — powiedział — myślę, że pomiędzy mną a Rybys wszystko skończone.

— Jak to sobie wyobrażasz? Przyzwyczyłeś się do życia z nią, troska o nią, zaspokajanie jej potrzeb stało się ważną częścią ciebie.

— Psychologicznie ona jest bardzo chora — powiedział Herb.

— Wiedziałeś o tym, kiedy się z nią żeniłeś.

— Nie potrafi skupić uwagi, jest rozkojarzona. Tak to się fachowo nazywa. Tak wykazały testy. Dlatego jest taka nieporządna: nie może myśleć, nie może działać, nie może się skoncentrować. — Duch Daremnego Wysiłku, dokończył w myśli.

— Powinieneś mieć syna — powiedział Elias. — Widziałem, z jaką czułością traktowałeś Manny’ego, braciszka tej kobiety. Dlaczego nie... — urwał nagle. — To nie mój interes.

— Gdybym się miał z kim związać, to wiem, kto to byłby — powiedział Herb. — Ale nie mam u niej żadnych szans.

— Ta pieśniarka?

— Tak.

— Spróbuj.

— To nierealne.  
— Nikt nie wie, co jest dla niego nierealne. To Bóg decyduje, co jest dla ciebie realne, a co nie.  
— Ona będzie słynna w całej galaktyce.  
— Ale jeszcze nie jest. Jeżeli chcesz się do niej zbliżyć, zrób to teraz.  
— Ta Fox — powiedział Herb Asher. — Tak o niej myślę. — Wpadła mu do głowy fraza:

Ty jesteś z Fox i Fox jest z tobą!

Nie Linda Fox, która śpiewa, ale Linda Fox, która mówi. Zastanawiał się, skąd przyszedł mu pomysł, że ona może coś takiego mówić. Znowu niejasne wspomnienia związane z... nie wiedział z czym. Bardziej agresywna Linda Fox, bardziej profesjonalna i dynamiczna. Ale za to odległa. Jakby oddalona o miliony mil. Głos gwiazdy w obu tego słowa znaczeniach.

Z dalekiej gwiazdy, myślał. Muzyka i odgłos dzwoneczków.

— Może — powiedział — wyemigruję na inną planetę.  
— Rybys jest na to za słaba.  
— Polecę sam.  
— Lepiej zajmij się tą Linda Fox. Rusz się. Będziesz się z nią przecież jeszcze widział. Nie rezygnuj. Próbuj. Życie polega na tym, żeby próbować.  
— Dobrze — powiedział Asher. — Spróbuję.

## 17

Trzymając się za ręce Emmanuel i Zina szli przez mroczny las w Parku Stanleya.

— Ty jesteś mną — mówił Emmanuel. — Jesteś Szechiną, immanentną Obecnością, która nigdy nie oddaliła się od świata. — Jesteś żeńską stroną Boga, pomyślał. Znaną żydom i tylko żydom.

Kiedy nastąpił pierwotny upadek, Boskość rozdzieliła się na część transcendentalną, oddzieloną od świata, i to był Ein-Soft. Ale druga część, żeńska i immanentna, pozostała z upadłym światem, pozostała z Izraelem.

Te dwie części Boga były od siebie oddzielone przez tysiąclecia, ale teraz spotkaliśmy się, męska połowa z żeńską. Kiedy mnie tu nie było, Szechina ingerowała w życie ludzi, żeby im pomóc. Tu i tam, sporadycznie, Szechina działała. Tak naprawdę Bóg nie opuścił więc ludzkości.

— Ty jesteś mną, a ja tobą — powiedziała Zina. — Teraz się odnaleźliśmy i znów jesteśmy jednością. Rozdarcie zostało uleczone.

— Pod wszystkimi twoimi zasłonami — mówił Emmanuel — pod wszystkimi twoimi postaciami, kryło się... moje własne ja. A ja cię nie poznałem, póki mi nie przypomniałaś.

— Jak mi się to udało? — spytała Zina i zaraz dodała: — Wiem. To dzięki mojemu zamiłowaniu do gier. To twoja miłość, twoja tajna radość: bawić się jak dziecko, odrzucić powagę. Zwróciłam się do tej twojej cechy i obudziłam cię. Wróciła ci pamięć i rozpoznałeś mnie.

— Strasznie trudny proces — powiedział Emmanuel — to przypominanie sobie. Dziękuję ci. — Przez cały ten czas, kiedy mnie tu nie było, ona poniżała się w tym upadłym świecie. Jej bohaterstwo było większe. Pozostała przy człowieku we wszystkich jego wstydliwych sytuacjach... towarzyszyła mu w więzieniu, myślał Emmanuel. Piękna towarzyszka człowieka. Przy jego boku, tak jak teraz przy moim.

— Ale teraz już jesteś — powiedziała Zina. — Wróciłeś.

— To prawda. Wróciłem do ciebie. Zapomniałem o twoim istnieniu. Pamiętałem tylko świat. Ty jesteś tą stroną łagodną, miłosierną. A ja tą straszną, która budzi trwogę

i drzenie. Razem tworzymy jedność. Rozdzieleni, nie jesteśmy całością, każde z osobna nie wystarczamy.

— Sugestie. Podsuwałam ci sugestie, ale to ty sam musiałeś mnie rozpoznać.

— Przez pewien czas nie wiedziałem, kim jestem ja sam i nie wiedziałem, kim ty jesteś. Miałem przed sobą dwie zagadki, a odpowiedź była jedna.

— Chodźmy popatrzeć na wilki — powiedziała Zina. — To takie piękne stworzenia. Możemy się przejechać kolejką i zobaczyć wszystkie zwierzęta.

— I wypuścić je na wolność — dodał Emmanuel.

— Tak, i wypuścić wszystkie na wolność.

— Czy Egipt będzie istniał zawsze? — spytał. — Czy zawsze będzie istniało niewolnictwo?

— Tak — odpowiedziała. — I my też.

— Zwierzęta będą zaskoczone wolnością — powiedział Emmanuel, kiedy zbliżali się do ogrodu zoologicznego. — Początkowo nie będą wiedziały, co z nią zrobić.

— To je nauczymy — powiedziała Zina. — Tak, jak to zawsze robimy. Przecież wszystkiego, co wiedzą, nauczyły się od nas, to my jesteśmy ich przewodnikami.

— Niech tak będzie — powiedział i położył dłoń na pierwszej metalowej klatce. Ze środka przyglądało mu się niepewnie małe zwierzątko. — Wyjdź z klatki — polecił mu Emmanuel.

Stworzonko drżąc podeszło do niego, a on wziął je w ramiona.

Ze swojego sklepu ze sprzętem audio Herb Asher zadzwonił do domu Lindy w Sherman Oaks. Musiał swoje odczekać (powstrzymywały go dwie automatyczne sekretarki), ale w końcu się z nią połączył.

— Cześć — powiedział, kiedy usłyszał jej głos.

— Jak tam moja aparatura? — Nagle zamrugła i przyłożyła palec do oka. — Chwileczkę, obsunęło mi się szkło kontaktowe. — Jej twarz znikła z ekranu. — Już jestem. Masz u mnie kolację. Czy chcesz przylecieć tu, do Kalifornii? Nadal występuję w Golden Hind, jeszcze przez następny tydzień. Publiczność przychodzi, a ja próbuję dużo nowego repertuaru. Chciałabym znać twoje zdanie.

— Doskonale — powiedział ogromnie uradowany.

— Możemy się więc spotkać? — spytała Linda. — Tutaj?

— Jasne. Powiedz kiedy.

— Może jutro wieczorem? Jeżeli chcemy zjeść kolację, to musimy się spotkać przed występem.

— Doskonale. Około szóstej czasu kalifornijskiego? Kiwnęła głową.

— Herb, możesz się zatrzymać u mnie, jeżeli chcesz, mam duży dom, miejsca starczy.

— Z przyjemnością.

— Poczęstuję cię świetnym kalifornijskim winem. Czerwone Mondavi. Chciałabym, żebyś polubił kalifornijskie wina. Ten francuski burgund, który piliśmy w Nowym Jorku, był znakomity, ale my tu też mamy doskonałe wina.

— Czy jest jakieś szczególne miejsce, gdzie chciałabyś zjeść kolację?

— Sachiko — powiedziała Linda. — Kuchnia japońska.

— Jesteśmy więc umówieni.

— A jak tam moja aparatura?

— Wszystko idzie dobrze.

— Nie chcę, żebyś się przepracowywał — powiedziała Linda Fox. — Coś mi się wydaje, że za dużo pracujesz. Chcę, żebyś się odprężył i cieszył się życiem. Jest tyle rzeczy, którymi warto się cieszyć: dobre wino, przyjaciele.

— Whisky Laphroaig — dodał Herb. Linda Fox wydała okrzyk zdziwienia.

— Nie mów mi, że znasz się na Laphroaig? Myślałam już, że jestem jedyną osobą na świecie, która ją pije!

— Robi się ją od dwustu pięćdziesięciu lat w tradycyjnych miedzianych kotłach. Wymaga podwójnej destylacji i umiejętności doświadczonych specjalistów.

— Tak, to wszystko jest na opakowaniu. — Roześmiała się. — Herb, przeczytałeś to na pudełku.

— To prawda — potwierdził.

— Czy to moje mieszkanie na Manhattanie nie będzie wspaniałe? — powiedziała z entuzjazmem. — Ta aparatura, którą tam zainstalujesz, będzie w nim najważniejsza. Herb — przyjrzała mu się uważnie. — Czy ty naprawdę uważasz, że moja muzyka jest dobra?

— Tak — odpowiedział. — Ja to wiem. Mówię ci prawdę.

— Jesteś taki miły. I tak we mnie wierzysz. Jesteś kimś, kto przynosi szczęście. Wiesz, Herb, dotąd nikt we mnie tak naprawdę nie wierzył. W szkole nie szło mi najlepiej... rodzina nie wierzyła, że mogę zostać piosenkarką. Miałam też kłopoty z cerą, bardzo poważne. Oczywiście nie mam jeszcze żadnych sukcesów, dopiero zaczynam, a jednak dla ciebie jestem... — Zrobiła gest.

— Kimś ważnym — dokończył.

— A to dla mnie znaczy bardzo wiele. Strasznie mi tego potrzeba, Herb, mam tak niskie wyobrażenie o sobie. Jestem przekonana, że nic ze mnie nie będzie. To znaczy, byłam przekonana — poprawiła się. — Ale ty mi dajesz... Kiedy patrzę na siebie twoimi oczami, nie widzę początkującej, nieopierzonej artystki, widzę coś, co... — Zabrakło jej słów, zatrzepotała rękami i uśmiechnęła się do niego niepewnie, ale z nadzieją, licząc, że za nią dokończy.



— Wiem o tobie więcej niż ktokolwiek inny — powiedział. I była to prawda, bo oprócz niego nikt jej nie pamiętał. Świat, zbiorowo, zapomniał, zasnął. Trzeba mu przypomnieć.

— Przyjedź na Zachodnie Wybrzeże, Herb — powiedziała Linda. — Proszę cię. Zabawimy się. Czy znasz dobrze Kalifornię? Chyba nie?

— Nie — przyznał. — Przyleciałem wtedy, żeby cię posłuchać. Zawsze marzyłem o tym, żeby mieszkać w Kalifornii, ale nigdy nie mieszkałem.

— Pokażę ci wszystko. Będzie wspaniale. Będziesz podnosił mnie na duchu, kiedy wpadnę w przygnębienie i dodawał mi odwagi, kiedy będę przerażona. Dobrze?

— Zgoda — powiedział, czując do niej wielką miłość.

— Kiedy tu przyjedziesz, powiesz mi, co robię dobrze, a co źle w swojej muzyce. Ale przede wszystkim mów, że mi się uda. Mów mi, że nie mam racji myśląc, że przepadnę. Mów mi, że przepadnę. Mów mi, że Dowland to dobry pomysł. Jego muzyka na lutnię jest taka piękna, to najpiękniejsza muzyka, jaką kiedykolwiek napisano. Czy naprawdę wierzysz, czy jesteś pewien, że moja muzyka, że rodzaj rzeczy, które śpiewam, wyniosą mnie na szczyt?

— Nie mam cienia wątpliwości.

— Skąd wiesz takie rzeczy? To jest tak, jak byś miał jakiś dar. Coś, co z kolei dajesz mnie.

— To pochodzi od Boga — powiedział Herb Asher. — Ten mój prezent dla ciebie. Moja wiara w ciebie. Zaufaj temu, co mówię, bo to prawda.

— Wyczuwam jakąś magię wokół nas — powiedziała przez ściśnięte gardło. — Jakby ktoś rzucił urok. Wiem, że to brzmi głupio, ale tak jest. Wszystko stało się piękne.

— Ja znajduję piękno w tobie.

— W mojej muzyce?

— I w muzyce i w tobie.

— Nie zmyślasz?

— Nie. Przysięgam na Boga. Na Ojca, który nas stworzył.

— Na Boga — powtórzyła Linda. — Herb, to mnie przeraża. Ty też mnie przerażasz. Jest w tobie coś dziwnego.

— Twoja muzyka zaprowadzi cię na sam szczyt — powiedział Herb Asher. Wiedział to, bo pamiętał. Wiedział, bo dla niego to się już zdarzyło.

— Naprawdę? — spytała Linda.

— Tak. Ona zaniesie cię do gwiazd.

## 18

Zwierzátko, wypuszczone z klatki, wdrapało się na ręce Emmanuela. Tulili je razem z Ziną i zwierzátko im dziękowało. Oboje czuli jego wdzięczność.

— To małe koźlę — powiedziała Zina, oglądając kopytka małości.

— Jak to miło z twojej strony — powiedziało koźlę, przytulając się do Ziny. — Długo czekałem, aż wypuścisz mnie z tej klatki, w której mnie zamknęłaś, Zino Pallas.

— Ty mnie znasz? — spytała Zina zaskoczona.

— Tak, znam cię — powiedziało koźlę, tuląc się do niej. — Znam was oboje, choć w istocie jesteście jednym. Połączyliście wasze rozdzielone jaźnie, ale bitwa nie jest skończona, bitwa się dopiero zaczyna.

— Znam to stworzenie — powiedział Emmanuel.

— Ja jestem Belial — oświadczyło koźlę trzymane przez Zinę. — Ten, którego uwięziłeś. I którego teraz wypuszczasz.

— Belial — powiedział Emmanuel. — Mój adwersarz.

— Witaj w moim świecie.

— To jest mój świat — zaprotestowała Zina.

— Już nie. — Głos koźlęcia zyskał siłę i pewność. — Śpiesząc uwolnić więźniów, uwolniłaś największego ze wszystkich więźniów. Teraz wyzywam cię do walki, panie światłości. Ściągnę cię do jaskiń, w których nie ma światła. Cały twój blask zniknie, światło już zgasło albo zaraz zgaśnie. Do tego czasu prowadziłeś grę pozorowaną, w której grałeś sam przeciwko sobie. Jakże pan światłości mógł przegrać, kiedy obie strony były jego częściami? Teraz masz przed sobą prawdziwego przeciwnika, ty, który wydożyłeś porządek z chaosu, teraz wydobyłeś mnie z tego porządku. A ja wypróbuję twoją moc. Już popełniłeś błąd: uwolniłeś mnie, nie wiedząc, kim jestem. Musiałem ci powiedzieć. Twoja wiedza nie jest doskonała, można cię zaskoczyć. Czyż cię nie zaskoczyłem?

Zina i Emmanuel milczeli.

— Obezwładniłeś mnie — ciągnął Belial — wsadziłeś do klatki, a potem zrobiło ci się mnie żal. Jesteś sentymentalny, panie światłości, i to będzie przyczyną twego upad-

ku. Oskarżam cię o słabość, o niezdolność do okazania siły. Ja jestem tym, który oskarża i oskarżam swojego własnego stwórcę. Żeby panować, trzeba być silnym. To silni rządzą słabymi. A ty, zamiast tego, broniłeś słabych. Pomogłeś mi, swojemu wrogowi. Przekonamy się wkrótce, czy to było mądre.

— Silni powinni bronić słabych — powiedziała Zina. — Tak mówi Tora. Taka jest myśl przewodnia Tory, takie jest podstawowe prawo boże. Tak jak Bóg broni człowieka, tak człowiek winien bronić słabszych, także zwierzęta i co szlachetniejsze drzewa.

— To jest sprzeczne z istotą życia — stwierdził Belial — z cechą, w którą je wyposażyłeś. Życie rozwija się inaczej. Oskarżam cię o naruszanie swoich własnych praw biologicznych, o naruszanie porządku świata. Tak, bardzo proszę, uwolnij wszystkich więźniów, wypuść na świat lawinę morderców. Zacząłeś ode mnie i jeszcze raz ci dziękuję. Teraz jednak cię opuszczę, mam tyle samo pracy, co ty, a może więcej. Puść mnie. — Kozłę zeskoczyło z ich kolan i pobiegło. Zina i Emmanuel patrzyli w ślad za nim. Biegając, zwierzątko rośło w oczach.

— Ono zniszczy nasz świat — powiedziała Zina.

— My wcześniej je zabijemy. — Emmanuel podniósł rękę i kozłę zniknęło.

— To nie koniec — powiedziała Zina. — Ono ukryło się w świecie. Zamaskowało się. Teraz nie wiemy nawet, gdzie jest. Wiesz, że to nie umrze. Jest nieśmiertelne, tak jak my.

Pozostałe zwierzęta uwięzione w klatkach domagały się uwolnienia. Zina i Emmanuel nie zwracali na nie uwagi, zajęci rozglądaniem się za kozłkiem, które wypuścili, pozwalając mu robić, co zechce.

— Czuję jego obecność — powiedziała Zina.

— Ja też — potwierdził Emmanuel ponuro. — Nasze dzieło zostało zburzone.

— Ale bitwa nie jest skończona. Jak sam powiedział, „Bitwa dopiero się zaczyna”.

— Niech tak będzie — stwierdził Emmanuel. — Będziemy w niej walczyć razem, we dwoje. Tak jak na początku, przed upadkiem.

Zina pochyliła się i pocałowała go.

Emmanuel poczuł jej lęk. Jej intensywny strach. Ten strach czaił się również w nim.

Co teraz z nim będzie? zadawał sobie pytanie. Z ludźmi, których chciał wyswobodzić? Jakie więzienie wymyśli dla nich Belial, ze swoją nieograniczoną zdolnością do wymyślania więzień? Przemyślnych i brutalnych, więzień w więzieniach, więzień dla ciała i dużo gorszych, więzień dla ducha.

Grota Skarbów pod Ogrodem: ciemna i ciasna, bez powietrza i bez światła, bez realnego czasu i realnej przestrzeni; ściany, które się zbiegają, i uwięzione między nimi umysły, które się kurczą. A my na to pozwoliliśmy, Zina i ja, zmówiliśmy się z tym Kozłostworem, żeby do tego doszło.

Wypuszczenie na wolność jego oznacza uwięzienie dla nich, uświadomił sobie. Oto paradoks: daliśmy swobodę budowniczemu lochów. Dążąc do wyzwolenia, zniewoliliśmy dusze wszystkich żyjących.

Odbije się to na wszystkich mieszkańcach tego świata, od najwyższego do najniższego. Dopóki nie zamkniemy Kozłostworu na powrót w klatce, dopóki go ponownie nie odizolujemy.

Bo teraz jest wszędzie, jest nieograniczony. Jego mieszkaniem są atomy powietrza, jest wdychany jak para. I każde stworzenie, które go wciągnie z oddechem, umrze. Nie całkowicie i nie fizycznie, ale mimo to śmierć przyjdzie. Uwolniliśmy śmierć, śmierć ducha. Dla wszystkiego, co teraz żyje i pragnie żyć. Oto nasz dar dla nich, płynący z dobroci serca.

— Chęci się nie liczą — wtrąciła Zina odbierająca jego myśli.

— Droga do piekła — powiedział Emmanuel. W tym przypadku, dosłownie, pomyślał. To jedyne drzwi, które otworzyliśmy, drzwi do grobu.

Najbardziej mi żal tych maluczkich, myślał. Tych, którzy wyrządzili najmniej zła, To oni, przede wszystkim, na to nie zasługują. Ten Kozłostwór im wyznaczy największe cierpienie, obciąży ich proporcjonalnie do ich niewinności... to jego metoda na naruszenie bilansu sprawiedliwości i zniszczenie Planu. On oskarży słabych i zdepcze bezbronnych, użyje swojej mocy przeciwko tym, którzy najmniej mogą się bronić. A co najważniejsze, pochłonie małe nadzieje, skromne marzenia maluczkich.

Tutaj musimy wkroczyć, powiedział sam do siebie. Żeby bronić małych. To nasze pierwsze zadanie i pierwsza linia naszej obrony.

Wystartowawszy ze swojego miejsca zamieszkania w Waszyngtonie, Herb Asher w radosnym nastroju rozpoczął lot do Kalifornii na spotkanie z Lindą Fox. To będą najszczęśliwsze dni w moim życiu, myślał. Na tylnym siedzeniu miał walizki, a w nich wszystko, czego mógł potrzebować. Nieprędko wróci do Waszyngtonu i do Rybys, może już nigdy. Nowe życie, myślał, prowadząc swój wóz przez barwnie oznakowane transkontynentalne autostrady powietrzne. To jest jak sen, myślał. Marzenie, które się spełniło.

Nagle zdał sobie sprawę, że jego pojazd wypełnia dobrze znana ckliwa smyczkowa muzyka. Wstrząśnięty przerwał rozmyślenia i słuchał. *Południowy Pacyfik*, rozpoznał. Piosenka „Wymyję sobie tego gościa z moich włosów”. Osiemset dziewięć instrumentów smyczkowych i to nie podzielonych! Czy miał włączone radio? Spojrzał na lampkę kontrolną i skalę. Nie.

Jestem w stanie hibernacji! pomyślał. To ten wielki nadajnik w sąsiedztwie. Pięćdziesiąt tysięcy watów sieczki radiowej, które zakłócają spokój wszystkim w Laboratorium Kriogenicznym. Niech to cholera!

Oszołomiony i przestraszony zwolnił lot pojazdu. Nie rozumiem, myślał w panice. Pamiętam, jak zwalniano mnie po hibernacji. Byłem zamrożony przez dziesięć lat, aż znalazły się dla mnie organy i przywrócono mnie do życia. A może nie? Może to była fantazja zamrożonego mózgu? Podobnie, jak to, co teraz... O, mój Boże. Nic dziwnego, że to się wydawało snem, to jest sen.

Ta Fox, pomyślał, też jest snem. Moim marzeniem. Wyśniłem ją, leżąc w hibernacji, śnię ją teraz. I jedyną wskazówkę, że tak jest, stanowi ta płynąca zewsząd kiepska muzyka. Bez tej muzyki nigdy bym się nie domyślił.

To iście diabelskie, myślał, tak igrać z istotą ludzką, z jej nadziejami.

Na jego tablicy rozdzielczej zapaliła się czerwona lampka i jednocześnie odezwał się sygnał dźwiękowy. Na domiar złego uwzięła się na niego policja.

Wóz policyjny zrównał się z nim i zahaczył jego pojazd. Drzwi obu wozów odsunęły się do tyłu i Herb Asher znalazł się obok policjanta.

— Prawo jazdy — powiedział policjant. Jego twarz była niewidoczna za plastikową maską. Wyglądał jak jakaś fortyfikacja z pierwszej wojny światowej, jak coś, co zbudowano pod Verdun.

— Proszę. — Herb Asher podał prawo jazdy policjantowi, podczas gdy ich połączone w jeden pojazdy wolno kontynuowały lot.

— Czy jesteście poszukiwany, Asher? — Spytał policjant, wystukując dane na swojej konsoli.

— Nie — odpowiedział Herb Asher.

— Mylicie się. — Na ekranie policyjnego komputera pojawiły się rzędkie świetlistych liter. — Nasze dane mówią, że przebywacie na Ziemi nielegalnie. Wiedzieliście o tym?

— To nieprawda — stwierdził Herb Asher.

— To stary nakaz. Poszukiwano was od dłuższego czasu. Zostajecie zatrzymani.

— Nie możesz tego zrobić — powiedział Herb Asher. — Ja przebywam w stanie hibernacji. Zaraz przesunę przez ciebie rękę na wylot. — Wyciągnął rękę i napotkał twarde, opancerzone ciało. — To dziwne. — Herb Asher pchnął mocniej i nagle stwierdził, że policjant celuje do niego z pistoletu.

— Chcecie się założyć? — spytał policjant. — O tę hibernację?

— Nie — powiedział Herb Asher.

— Bo jak jeszcze raz spróbujecie jakiś sztuczek, zabiję was. Jesteście poszukiwanym przestępcą. Mogę was zastrzelić w każdej chwili. Zabierzcie tę rękę. Natychmiast.

Herb Asher cofnął rękę. A jednak nadal słyszał Południowy Pacyfik. Ta cikliwa muzyka sączyła się zewsząd.

— Gdybyście mogli przesunąć rękę przeze mnie, przelecielibyście przez podłogę swojego wozu — tłumaczył policjant. — Przemyślcie to sobie. To nie jest sprawa tego, czy ja jestem prawdziwy, chodzi o to, czy wszystko jest prawdziwe. Dla was, oczywiście. To wasz problem. Albo wam się wydaje, że to wasz problem. Byliście kiedyś zamrożeni?

— Tak.

— Macie więc nawrót pamięci. To się zdarza. Pod wpływem stresu mózg abreaguje. Hibernacja zapewnia poczucie bezpieczeństwa podobne do tego, jakie daje łono matki, a mózg to zapisuje i później odtwarza. Czy taki nawrót zdarza się wam po raz pierwszy? Spotykałem ludzi po hibernacji, których żadne dowody, nic, co usłyszeli ani zobaczyli, nie mogło przekonać, że zostali przywrócenii do życia.

— Z jednym z nich rozmawiasz teraz — stwierdził Herb Asher.

— Dlaczego uważacie, że jesteście w stanie hibernacji?

— Z powodu tej ckliwej muzyki.

— Janie nie...

— Jasne. O to właśnie chodzi.

— Macie halucynacje.

— Zgadza się. — Herb Asher kiwnął głową. — To właśnie mówię. — Wyciągnął rękę po broń policjanta. — Weź i strzel — powiedział. — Mnie to nie zaszkodzi. Promień przejdzie przeze mnie i tyle.

— Myślę, że wasze miejsce jest w szpitalu dla umysłowo chorych, a nie w areszcie.

— Bardzo możliwe.

— Dokąd się udawaliście? — spytał policjant.

— Do Kalifornii. Odwiedzić Fox.

— Chodzi o „Fox and the Cat”?

— Chodzi o największy współczesny talent muzyczny.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

— O niej — poprawił Herb Asher. — W tym świecie ona jeszcze nie jest sławna. W tym świecie dopiero zaczyna karierę. Ja uczynię ją sławną na całą galaktykę. Obiecałem jej to.

— A co to za inny świat niż nasz?

— Prawdziwy świat — powiedział Herb Asher. — Bóg kazał mi go sobie przypomnieć. Jestem jedną z niewielu osób, które go pamiętają. Bóg pokazał mi się w krzewie bambusa, a wypisane czerwonym ogniem słowa powiedziały mi prawdę i przywróciły mi pamięć.

— Jesteście bardzo chorzy. Wydaje się wam, że znajdujecie się w hibernacji i że pamiętacie inny wszechświat. Nie wiadomo, co by się z wami stało, gdybym was nie zatrzymał.

— Byłbym szczęśliwy tam, na Zachodnim Wybrzeżu. O wiele bardziej szczęśliwy niż teraz.

— Co jeszcze Bóg wam powiedział?

— Różne rzeczy.

— Czy Bóg często z wami rozmawia?

— Rzadko. Z prawnego punktu widzenia jestem jego ojcem.  
— Co? — Policjant wytrzeszczył oczy.  
— Jestem prawnym ojcem Boga. Nie rzeczywistym, tylko prawnym. Moja żona jest jego matką.

Policjant wciąż wpatrywał się w niego osłupiały. Laserowy pistolet drżał w jego dłoni.

— Bóg kazał mi się ożenić ze swoją matką, żeby...

— Wyciągnijcie obie ręce.

Herb Asher wyciągnął ręce i natychmiast zatrzasnęły się na nich kajdanki.

— Mówcie dalej — powiedział policjant. — Ale muszę was uprzedzić, że wszystko, co powiecie, może być wykorzystane przeciwko wam w sądzie.

— Plan polegał na tym, żeby przemyścić Boga z powrotem na Ziemię — wyjaśniał Herb Asher. — W łonie mojej żony. Udało nam się i dlatego jestem poszukiwany. Popełniłem przestępstwo polegające na przemyczeniu Boga na Ziemię rządzoną przez Złego. Zły w sposób tajny kontroluje tu wszystko i każdego. Ty, na przykład, też pracujesz dla Złego...

— Ja jestem...

— Tylko nie zdajesz sobie z tego sprawy. Nigdy nawet nie słyszałeś o Belialu.

— To prawda.

— To dowodzi, że mam rację.

— Wszystko, co powiedzieliście, odkąd was zahaczyłem, zostało nagrane i będzie analizowane. Jesteście więc ojcem Boga?

— Prawnym ojcem.

— I dlatego jesteście poszukiwani. Zastanawiam się, jak to zaklasyfikować. Nigdy się z tym nie zetknąłem. Podawanie się za ojca Boga.

— Legalnego ojca.

— A kto jest prawdziwym ojcem?

— On sam — powiedział Herb Asher. — Sam zapłodnił swoją matkę.

— To niesmaczne.

— Ale to prawda. Zapłodnił ją sobą i tym samym odtworzył się w mikroformie, dzięki czemu mógł...

— Czy powinniście mi to opowiadać?

— Bitwa jest skończona. Bóg zwyciężył. Moc Beliala została zniszczona.

— W takim razie, dlaczego siedzicie tu w kajdankach, a ja trzymam was na muszce pistoletu laserowego?

— Nie jestem pewien. Mam kłopot z wytłumaczeniem tego faktu. A także *Południowego Pacyfiku*. Jest parę rzeczy, które mi nie pasują do całości, ale pracuję nad nimi. Jednego jestem pewien: że Jah zwyciężył.



— Jah. Pewnie chodzi o Boga.

— Tak, to jego prawdziwe imię. Jego pierwotne imię, z czasu, kiedy mieszkał na szczycie wzgórza.

— Nie chciałbym pogłębiać waszych kłopotów, ale jesteście najbardziej popieprzonym osobnikiem, jakiego w życiu spotkałem. A ja spotykam dużo różnych ludzi. Widocznie mózg się wam zlasował, kiedy was zamrażali. Pewnie za późno was przywieźli. Przypuszczam, że działa wam jakaś jedna szósta komórek i to kiepsko, bardzo kiepsko. Zabieram was do dużo, dużo lepszego miejsca niż wszystkie, w których kiedykolwiek byliście, i zrobią tam z wami dużo, dużo lepsze rzeczy, niż potraficie sobie wyobrazić. Moim zdaniem...

— Powiem ci jeszcze coś — odezwał się Herb Asher. — Wiesz, kto jest moim współnikiem w interesach? Prorok Elias.

— Tu Kansas trzysta pięćdziesiąt sześć — powiedział policjant do mikrofonu. — Doprowadzam osobnika na badanie psychiatryczne, biały mężczyzna w wieku około... — Odwrócił się do Herba Ashera. — Czy oddałem wam prawo jazdy? — Policjant włożył pistolet do futerału i szukał dokumentu Ashera.

Herb Asher wyciągnął mu pistolet i skierował lufę na policjanta. Z powodu kajdanek musiał to robić oburącz, ale efekt był ten sam.

— On ma moją broń — powiedział policjant.

— Pozwoliłeś, żeby czubek zabrał ci pistolet? — parsknął radiotelefon.

— Nawijał cały czas o Bogu, myślałem, że to... — zaczął policjant bez przekonania i nie dokończył.

— Jak się nazywa ten osobnik? — zatrzeszczał radiotelefon.

— Asher. Herb Asher.

— Asher — zacharczał głośnik — proszę oddać funkcjonariuszowi jego pistolet.

— Nie mogę. Znajduję się w stanie hibernacji. A tuż obok nadajnik o mocy pięćdziesięciu tysięcy watów puszcza *Południowy Pacyfik*. To doprowadza mnie do szaleństwa.

— Załóżmy, że każemy stacji przerwać nadawanie. Czy wtedy oddacie broń funkcjonariuszowi?

— Jestem sparaliżowany — powiedział Herb Asher. — Ja nie żyję.

— Jeżeli nie żyjecie — charczało radio — to po co wam pistolet? Zresztą, jeżeli jesteście martwi, to jak chcecie strzelać? Sami mówicie, że jesteście zamrożeni. Ludzie w stanie hibernacji nie mogą się ruszać, leżą jak kłody.

— To powiedzcie funkcjonariuszowi, żeby mi odebrał pistolet.

— Odbierz pistolet... — zaskrzeczał głośnik.

— Pistolet jest prawdziwy — odezwał się policjant. — I Asher jest prawdziwy. To wariat. On nie jest zamrożony. Czy ja bym aresztował nieboszczyka? Czy nieboszczyk leciałby do Kalifornii? Ten człowiek jest poszukiwany, to przestępca.

— Za co jesteście poszukiwani? — zaskrzeczał głośnik. — Do was mówię, Asher. Mówię do nieboszczyka zamrożonego na sztywno w temperaturze zero stopni.

— W znacznie niższej — uściślił Herb Asher. — Każcie im puścić II symfonię Mahlera, ale w takiej postaci, w jakiej została napisana, nie w wersji na smyczki. Nie wytrzymuję już tych smyczków, tej cukierkowej łatwizny. Dla mnie to nie żarty. Kiedyś musiałem miesiącami wysłuchiwać *Skrzypka na dachu*. Piosenka o swatce szła przez wiele dni bez przerwy. A był to bardzo krytyczny okres w moim cyklu. Byłem...

— No, dobrze — zaskrzeczał głośnik pojednawczo. — Co powiecie na to? My załatwimy, żeby stacja radiowa puściła II symfonię Mahlera, a wy za to oddacie funkcjonariuszowi broń. Co do... Zaczekajcie chwilę.

Cisza.

— To jest nielogiczne — odezwał się do mikrofonu policjant siedzący obok Ashera. — Dajcie się wciągnąć w jego *idée fixe*. Wiecie, co ja słyszę? Ja słyszę *folie à deux*. Trzeba z tym skończyć. Żadna stacja nie nadaje *Południowego Pacyfiku*. Gdyby tak było, ja też bym to słyszał. Nie możecie zadzwonić do radia, do jakiegokolwiek stacji, i kazać im puścić symfonię Mahlera. To niemożliwe.

— Ale on mógł w to uwierzyć, ty głupi palancie — charknął głośnik.

— O — stęknął policjant.

— Dajcie mi chwilę czasu, Asher, na połączenie się z... — trzeszczał głośnik.

— Nie — przerwał mu Asher. — To pułapka. Nie oddam pistoletu.

— Zwolnijcie mój wóz — odezwał się siedzący obok niego policjant.

— Lepiej ty zwolnij jego wóz — zaskrzeczał głośnik.

— I zdejmij mi kajdanki — dodał Herb Asher.

— Spodoba się wam ta II symfonia Mahlera — powiedział policjant. — Jest w niej chór.

— Wiesz, co jest w II symfonii Mahlera? Wiesz, na co została napisana? Ja ci powiem, na co została napisana. Na cztery flety, wymieniające się z piccolo, cztery oboje, trzeci i czwarty wymieniające się z rożkami angielskimi, klarnet barytonowy, cztery klar-nety, trzeci wymieniający się z klarnetem basowym i czwarty wymieniający się z drugim klarnetem barytonowym, cztery fagoty, trzeci i czwarty na zmianę z kontrfagotem, dziesięć rogów, dziesięć trąbek, cztery puzony...

— Cztery puzony? — zdziwił się policjant.

— ...tubę — ciągnął Herb Asher-organy, dwa zestawy kotłów plus jeden dodatkowy bęben za sceną, dwa duże bębny, jeden za sceną, dwie pary cymbałów, jedna za sceną, dwa gongi, jeden ze stosunkowo wysokim tonem, drugi z niskim, dwa triangle, z czego jeden za sceną, bęben z drutem, najlepiej kilka, dzwonki, ruthe...

— Co to jest „ruthe”? — spytał policjant.

— „Ruthe” dosłownie znaczy „pręt” — wyjaśnił Herb Asher. — Jest zrobiona z włókien palmowych i wygląda jak duża miotłka do ubrania. Gra się nią na dużym bębnie. Mozart pisał na ruthe. Dalej dwie harfy, w miarę możliwości z dwoma lub więcej muzykami do każdej... — Herb Asher zastanowił się. — Plus, oczywiście, normalna orkiestra z pełną sekcją smyczkową. Każcie im wykorzystać konsolę miksującą i wyciszyć smyczki. Mam dość smyczków na długo. I upewnijcie się, że dwie solistki, sopran i alt, są naprawdę dobre.

— To wszystko? — zaskrzeczał głośnik.

— Dajesz się wciągać w jego szaleństwo — powiedział policjant siedzący obok Ashera.

— Wiesz co? — odezwało się radio — on mówi całkiem logicznie. Czy jesteś pewien, że on ma twój pistolet? Asher, jak to się dzieje, że tyle wiecie o muzyce? Robicie wrażenie poważnego specjalisty.

— Są dwa powody — powiedział Herb Asher — Jeden wiąże się z moim życiem na planecie w układzie CY30-CY30B. Obsługuję tam skomplikowany zestaw urządzeń elektronicznych, zarówno audio, jak wideo. Odbieram transmisje ze statku bazy, zapisuje je i następnie nadaję je do innych kopuł, również na sąsiednich planetach. Obsługuję też połączenia z Fomalhauta i miejscowe przypadki awaryjne. Drugim powodem jest to, że do spółki z prorokiem Eliaszem prowadzimy w Waszyngtonie sklep ze sprzętem audio.

— Oraz fakt, że znajdujecie się w stanie hibernacji — dopowiedział policjant.

— Tak, wszystkie trzy.

— I Bóg mówi wam różne rzeczy — ciągnął policjant.

— Nie na temat muzyki. Nie musi. Natomiast skasował wszystkie moje taśmy z Lindą Fox. I zniekształcił jej świeżo przysłane nagrania.

— Istnieje równoległy wszechświat, w którym ta Linda Fox jest niewiarygodnie sławna — wyjaśnił policjant. — Asher udaje się do Kalifornii, żeby z nią zamieszkać. Jak on chce to zrobić, będąc w stanie hibernacji, przekracza moje wyobrażenie, ale takie są jego plany. W każdym razie były, póki go nie zahaczyłem.

— Nadal tam lecę — powiedział Herb Asher i zaraz zdał sobie sprawę, że popełnił błąd, mówiąc im o tym. Teraz mogli go wytropić, nawet gdyby uciekł. Popełnił głupstwo, za dużo gadał.

— Zdaje się, że jego obwód kontrolny poinformował go, że powiedział za dużo — zauważył policjant, przyglądając się Asherowi spod oka.

— Zastanawiałem się, kiedy mu się ten obwód włączy — zaskrzeczał głośnik.

— Teraz już nie mogę lecieć do Fox — powiedział Herb Asher. — Zmieniam plany. Wracam do mojej kopuły w układzie CY30-CY30B. Wasza władza tam nie sięga. Belial też tam nie rządzi. Tam rządzi Jah.

— Słyszałem, jak mówiliście, że Jah wrócił tutaj, a skoro wrócił, to domyślam się, że teraz on tu rządzi — powiedział policjant.

— W trakcie tej rozmowy stało się dla mnie jasne, że on tu nie rządzi, w każdym razie nie w pełni. Coś tu jest nie tak. Zrozumiałem to, kiedy zacząłem słyszeć tę głupią, cikliwą muzyczkę. Potwierdziło się to, kiedy mnie zahaczyłeś i powiedziałeś, że jestem poszukiwany.

Może to Belial zwyciężył, może to jest to. Wy wszyscy jesteście sługami Beliala. Zdejmij mi te kajdanki, bo cię zastrzelę. Policjant z ociąganiem rozkuł Herba Ashera.

— Wydaje mi się, Asher, że w tym, co mówicie, są wewnętrzne sprzeczności — wychrypiał głośnik. — Gdybyście się na nich skupili, zrozumielibyście, dlaczego robicie wrażenie kogoś z rozmiękczeniem mózgu. Najpierw mówicie jedno, potem twierdzicie co innego. Jedyny przebłysk logicznego myślenia w waszych rozważaniach nastąpił wtedy, kiedy omawialiście symfonię Maniera, co prawdopodobnie wynika z tego, że jak twierdzicie, pracujecie w branży muzycznej. To u was ostatnia pozostałość zdrowej psychiki. Zrozumcie, że jeżeli udacie się z funkcjonariuszem, nie zostaniecie ukarani. Będziecie potraktowani jak osobnik szalony, jakim niewątpliwie jesteście. Żaden sędzia nie skazałby człowieka, który opowiada to, co wy.

— To prawda — potwierdził policjant siedzący obok Herba Ashera. — Wystarczy, że powiecie sędziemu, jak to Bóg przemawiał do was z krzewów bambusa i macie spokój. Zwłaszcza kiedy wspomnicie, że jesteście ojcem Boga.

— Prawnym ojcem — poprawił Herb Asher.

— To robi na sądzie wielkie wrażenie — dodał policjant.

— W tej chwili toczy się wielka wojna między Bogiem i Belialem — powiedział Herb Asher. — Ważą się losy wszechświata, jego dalsze fizyczne istnienie. Kiedy wyruszyłem na Zachodnie Wybrzeże, zakładałem, miałem powód, żeby przyjąć takie założenie, że wszystko jest w porządku. Teraz nie jestem pewien. Teraz myślę, że zdarzyło się coś mrocznego i potwornego. Wy, policjanci, jesteście tego paradygmatem, symbolem. Nie zostałbym zahaczony, gdyby Jah rzeczywiście zwyciężył. Nie polecę teraz do Kalifornii, bo to naraziłoby na niebezpieczeństwo Linde Fox. Odnajdziecie, rzecz jasna, Linde Fox, ale ona nic nie wie. W tym świecie ona jest wschodzącą nową gwiazdą, której usiłowałem pomóc. Zostawcie ją w spokoju. Zostawcie nas wszystkich w spokoju. Nie wiecie, komu służycie. Czy rozumiecie, co do was mówię? Działacie w służbie zła, niezależnie od tego, co sami myślicie. Jesteście automatami, wałkującymi stary nakaz aresztowania. Nie wiecie, co zrobiłem, czy, raczej, o co mnie oskarżają... a to, co mówię, wydaje się wam nielogiczne, bo nie rozumiecie sytuacji. Posługujecie się przepisami, które tu nie mają zastosowania. To jest niezwykle czas. Dzieją się niezwykle rzeczy i niezwykle siły stanęły naprzeciwko siebie. Nie polecę do Lindy Fox, ale, z drugiej strony, nie wiem, dokąd się udać. Może Elias będzie wiedział, może on mi powie, co mam robić. Kiedy mnie

zahaczyliście, zniszczyliście moje marzenie, a może i jej marzenie też, marzenie Lindy Fox. Może nie będę mógł jej pomóc w zdobyciu sławy, jak jej obiecałem. Czas pokaże. Wszystko zależy od wyniku wielkiej bitwy. Żał mi was, bo niezależnie od wyniku wy jesteście zgubieni, wasze dusze są już stracone. Milczenie.

— Jesteście niezwykłym człowiekiem, Asher — odezwał się po chwili policjant. — Szalony czy nie, cokolwiek wam dolega, jesteście jedyni w swoim rodzaju. — Policjant kiwnął głową powoli, w głębokiej zadumie. — To nie jest pospolity rodzaj szaleństwa. To nie przypomina niczego, co widziałem, ani o czym słyszałem. Mówicie tu o całym wszechświecie, więcej niż o wszechświecie, jeżeli to możliwe. Budzicie we mnie szacunek i pewien lęk. Teraz, kiedy was wysłuchałem, żałuję, że was zahaczyłem. Nie zabijacie mnie, zwolnię wasz pojazd i możecie odlecieć, nie będę was ścigał. Chciałbym zapomnieć o wszystkim, co usłyszałem w tych ostatnich minutach. Mówicie o Bogu, o anrybogu i o straszliwej bitwie, która zdaje się, jest już przegrana, to znaczy przegrana przez siły antyboskie. To nie pasuje do niczego, co ja wiem albo rozumiem o świecie. Idźcie swoją drogą. Ja zapomnę o was, a wy możecie zapomnieć o mnie. — Policjant zmęczonym ruchem dotknął swojej maski.

— Nie możesz go wypuścić — zatrzeszczał głośnik.

— Właśnie, że mogę — powiedział policjant. — Mogę go wypuścić i mogę zapomnieć wszystko, co on tu powiedział, wszystko, co usłyszałem.

— Tyle że to jest nagrane — zacharczał głośnik. Policjant przycisnął jeden z guzików.

— Już skasowałem — powiedział.

— Myślałem, że jest już po bitwie. Myślałem, że Bóg zwyciężył. Bóg nie zwyciężył. Wiem to, mimo że mnie puszczacie. Ale może to jest jakiś znak. Czuję między nami jakąś nić porozumienia, jakieś ludzkie ciepło.

— Nie jestem maszyną — powiedział policjant.

— Ale czy tak będzie zawsze? Zastanawiam się, czym będziesz za tydzień? Za miesiąc? Czym staniemy się my wszyscy? I jaki mamy na to wpływ?

— Chcę tylko znaleźć się jak najdalej od was, im dalej, tym lepiej — powiedział policjant.

— W porządku. To jest do zrobienia... — stwierdził Herb Asher. I dodał: — Ktoś musi powiedzieć światu prawdę. Prawdę, którą ty już znasz, którą ci przekazałem: że Bóg toczy walkę i przegrywa. Kto to może zrobić?

— Wy możecie.

— Nie — zaprzeczył Herb Asher, ale już wiedział kto. — Eliasz mógłby to zrobić. To jego zadanie, po to się tu zjawił, żeby świat się dowiedział.

— Namów go więc, żeby to zrobił — powiedział policjant.

— Na pewno. Tam właśnie polecę, z powrotem do Waszyngtonu, do mojego wspólnika.

Daruję sobie tę Fox, myślał. To jest strata, z którą muszę się pogodzić. Gorycz i smutek przepełniły go, kiedy sobie to uświadomił. Takie jednak były fakty, nie mógł teraz być z nią, jeszcze nie teraz.

Dopóki nie zostanie wygrana bitwa.

Odłączając swój pojazd od wozu Herba Ashera, policjant powiedział dziwną rzecz.

— Módlcie się za mnie, Asher.

— Obiecuję.

Uwolnionym pojazdem Herb Asher zatoczył ostry łuk w powietrzu i skierował się z powrotem do Waszyngtonu. Wóz policyjny nie ścigał go, policjant dotrzymał słowa.

## 19

Zadzwoił ze sklepu do Eliasa, budząc go z głębokiego snu.

— Elias — powiedział. — Nadszedł czas.

— Co? — wymamrotał Elias. — Czy to pożar? O czym mówisz? Czy było włamanie? Hę straciliśmy?

— Nierzeczywistość wraca — powiedział Herb Asher. — Wszechświat zaczął zanikać. Tu nie chodzi o sklep, tu chodzi o wszystko.

— Znow słyszysz tę muzykę?

— Tak.

— To jest znak. Masz rację. Coś się wydarzyło, coś, czego on... czego oni się nie spodziewali. Herb, nastąpił nowy upadek, a ja śpię. Dzięki Bogu, że mnie obudziłeś. Pewnie coś zdarzyło się nie w porę. Wypadek... pozwolili, żeby zdarzył się wypadek, jak na początku. Cóż, w ten sposób cykle się dopełniają i wypełniają się proroctwa. Nadszedł też czas działania dla mnie. Dzięki tobie wyrwałem się z niepamięci. Nasz sklep musi stać się ośrodkiem świętości, świątynią świata. Musimy podłączyć się do tej stacji radiowej, którą słyszysz, musimy ją wykorzystać, tak jak swego czasu ona wykorzystywała ciebie. To będzie nasz głos.

— Co on będzie głosił?

— Będzie mówił: „Obudźcie się!” To jest nasze przesłanie dla świata, który słucha. Obudźcie się! Jehowa jest tutaj i rozpoczęła się bitwa. Ważą się losy was wszystkich, wszyscy jesteście teraz ważni, w tę czy w tamtą stronę, na dobre i na złe. Nikt nie ucieknie od odpowiedzialności, nawet sam Bóg we wszystkich swoich postaciach. Dalej już nie ma nic. Otrząśnijcie się więc z kurzu, wszystkie istoty, i zacznijcie żyć! Będziecie żyć tylko wtedy, jeżeli weźmiecie udział w walce, będziecie mieć tylko to, na co zapracujecie, każdy na siebie i tylko teraz, nie później. Ruszcie się! To będzie melodia, którą będziemy powtarzać w kółko. A świat usłyszy, bo stopniowo dotrzemy wszędzie. Mój głos był ukształtowany od początku do tego celu, po to wciąż wracałem na świat. Teraz mój głos rozlegnie się na koniec czasu. Chodźmy. Zaczynamy. I miejmy nadzieję, że nie jest jeszcze za późno, że nie zasnęłam. Musimy się stać źródłem informacji dla świata, mówić we



wszystkich językach. Staniemy się tą wieżą, która kiedyś nie została skończona. A jeżeli nie uda się i teraz, to wszystko się skończy i wróci sen. Ten cukierkowy dźwięk, który atakuje twój słuch, będzie towarzyszył całemu światu do grobu, rządzić będą rdza i kurz, nie przez jakiś czas, ale już na zawsze i dla wszystkich ludzi, nawet dla ich maszyn.

— O rany — jęknął Herb Asher.

— Zwróć uwagę na naszą żalną sytuację w danej chwili. My, to znaczy ty i ja, znamy prawdę, ale nie mamy sposobu, żeby ją przekazać światu. Tym sposobem stanie się ta stacja. Jaki jest jej kod? Zadzwoń do nich i złożę im propozycję kupna.

— WÓRP — powiedział Herb Asher.

— To odłóż słuchawkę, żeby móc do nich zadzwonić.

— Skąd weźmiemy pieniądze?

— Mam pieniądze — powiedział Elias. — Rozłącz się. Cenna jest każda chwila.

Herb Asher odłożył słuchawkę.

Może gdyby Linda Fox nagrała dla nas kasetę, moglibyśmy puszczać ją w naszej stacji. Chodzi o to, że nie powinniśmy chyba ograniczać się do ostrzegania świata. Są jeszcze inne rzeczy oprócz Beliala.

Zadzwonił telefon. To pewnie Elias.

— Możemy kupić tę stację za trzydzieści milionów dolarów — powiedział.

— Czy masz tyle?

— Nie od razu. Ale mogę tyle zebrać. Na początek sprzedamy nasz sklep i cały towar.

— Jezu Chryste — zaprotestował słabo Herb Asher. — To nasze jedyne źródło utrzymania.

Elias spiorunował go wzrokiem.

— Dobrze — poddał się Herb.

— Zorganizujemy wyprzedaż połączoną z chrztem, żeby pozbyć się towaru. Będę chrzczył każdego, kto coś od nas kupi. Jednocześnie będę ich wzywał do pokuty.

— Zatem w pełni przypomniałeś sobie, kim jesteś — powiedział Herb Asher.

— Teraz tak. Ale przez jakiś czas nie pamiętałem.

— Gdyby LindaFox udzieliła ci wywiadu...

— Ta stacja będzie nadawać wyłącznie muzykę religijną.

— To równie kiepski pomysł jak te kliwne smyczki. Albo gorszy. Powiem ci to samo, co powiedziałem temu policjantowi, daj II symfonię Maniera, daj coś interesującego, coś, co pobudza umysł.

— Zobaczymy.

— Wiem, co to znaczy — powiedział Herb Asher. — Miałem żonę, która mówiła: „Zobaczymy”. Każde dziecko wie, co to znaczy.

— A może ona zaśpiewałaby spirituals?

— Cała ta sprawa zaczyna mnie przygnębiać — stwierdził Herb Asher. — Musimy sprzedać sklep, musimy zebrać trzydzieści milionów dolarów. Prześladuje mnie musical *Południowy Pacyfik* i podejrzewam, że to samo będzie z hymnami religijnymi. Zdumiewająca Łaska zawsze kojarzyła mi się z muzyczką z salonu masażu. Przykro mi; jeżeli cię to obraża, ale niewiele brakowało, żeby ten policjant wsadził mnie do aresztu. Powiedział, że przebywam tu nielegalnie i że jestem poszukiwany przez policję. To znaczy, że ciebie pewnie też poszukują. Co się stanie, jeżeli Belial zabije Emmanuela? Co stanie się wtedy z nami? Przecież Belial wypędził go z Ziemi, już raz go pokonał, a bez niego w żaden sposób nie przeżyjemy. Boję się, że teraz też go pokona. Kupno jednej stacji radiowej w Waszyngtonie nie wpłynie na wynik bitwy.

— Mam wielki dar perswazji — powiedział Elias.

— Tak, w porządku, ale Belial i ci, których on kontroluje, nie będą cię słuchać. Twój głos... — Herb Asher umilkł na chwilę. — Chciałem powiedzieć, że twój głos będzie głosem wołającego na puszczy. Zdaje się, że znasz to powiedzenie.

— Możemy równie dobrze skończyć obaj z głowami na srebrnych półmiskach. Jak mi się to już raz zdarzyło — powiedział Elias.

Rzecz w tym, że Belial wy dostał się z klatki, w której Zina go zamknęła, został spuszczoney z łańcucha i hula po świecie. Ale ja ci powiadam: „O, wy, ludzie małej wiary!” Wszystko, co można powiedzieć, zostało powiedziane wieki temu. Przyznam Lindzie Fox niewielką ilość czasu w naszym programie. Możesz jej to powiedzieć. Niech śpiewa, CP. chce.

— Kończę — powiedział Herb Asher. — Muszę do niej zadzwonić i uprzedzić, że przez jakiś czas nie będę mógł odwiedzać Zachodniego Wybrzeża. Nie chcę jej mieszać w swoje kłopoty. Ja...

— Porozmawiamy później, ale chciałbym, żebyś zadzwonił do Rybys. Kiedy ją ostatni raz widziałem, była zapłakana. Podejrzewa, że ma wrzód żołądka i że to może być coś złośliwego.

— Wrzody żołądka nie są złośliwe — powiedział Herb Asher. — To mnie właśnie wkurzyło, słuchanie, jak ona siedzi i płacze nad swoją chorobą. Ona choruje dla samej choroby. Myślałem, że uda mi się wreszcie od tego uciec. Zadzwonię najpierw do Lindy Fox. — Odłożył słuchawkę.

Chryste, myślał. Chcę tylko polecieć do Kalifornii i rozpocząć szczęśliwe życie. A tu mnie i moje szczęśliwe życie pochłonał makrokosmos. Skąd Elias weźmie trzydzieści milionów dolarów? Przecież nie ze sprzedaży sklepu i towaru. Pewnie Bóg dał mu sztabę złota albo spuści na niego deszcz złota, jak tę mannę na pustyni, która wyżywiła starożytnych Żydów. Jak mówi Elias, wszystko zostało powiedziane wieki temu i wszystko wydarzyło się wieki temu. Moje życie z Fox byłoby czymś nowym. A zamiast tego muszę znów wysłuchiwać kretyńskiej, ckliwej muzyki, którą wkrótce zastąpią hymny religijne.

Wybrał domowy numer Lindy Fox w Sherman Oaks i zobaczył nagranie. Jej twarz pojawiły się na małym ekranie telefonu, ale była to twarz mechaniczna i zniekształcona. Cerę miała niezdrową i całą twarz nabrzmiałą, prawie tłustą. Wstrząśnięty, powiedział: „Nie, nie chcę zostawiać wiadomości. Zadzwoń później”. Nie przedstawivszy się, odłożył słuchawkę. Pewnie sama do mnie zadzwoni, uznał. Kiedy nie przyjadę. Przecież się mnie spodziewa. Tylko jak dziwnie wyglądała. Może to stare nagranie. Mam nadzieję.

Chcąc się uspokoić, włączył jeden z zainstalowanych w sklepie systemów audio; korzystał z niezawodnego, wstępnie zaprogramowanego podzespołu zapewniającego odbiór holograficzny. Wybrał swoją ulubioną stację nadającą muzykę klasyczną. Jednak...

Z głośników wydobywał się jedynie ludzki głos. Żadnej muzyki. Szept na granicy słyszalności, ledwo rozróżniał słowa. Co to, do diabła, jest? zastanawiał się. Co to za słowa?

— ...zmęczony — szeptał głos suchym, szeleszczącym tonem. — ...i przestraszony. Nie ma nadziei... obarczony. Zrodzony dla klęski; jesteś zrodzony dla klęski. Jesteś do niczego.

A potem klasyczny przebój: *Jesteś do niczego* Lindy Ronstadt. Śpiewaczka powtarzała te same słowa, zdawało się, bez końca, monotonicznie, hipnotycznie. Herb słuchał zafascynowany. Do diabła z tym, zdecydował wreszcie i wyłączył aparaturę. Ale słowa nadal krążyły w jego umyśle. Jesteś nic niewart, myślał. Jesteś bezwartościową jednostką. Jezu! pomyślał. To jest znacznie gorsze niż tamta cikliwa, mdła, smyczkowa łatwizna, to może zabić.

Zatelefonował do domu. Po dłuższej chwili zgłosiła się Rybys.

— Myślałam, że jesteś w Kalifornii — wymamrotała. — Obudziłeś mnie. Czy wiesz, która jest godzina?

— Musiałem zawrócić — powiedział. — Jestem poszukiwany przez policję.

— Wracam do łóżka — oświadczyła Rybys. — Ekran pociemniał i zgasł, Herb Asher stwierdził, że ma przed sobą pustkę, stoi twarzą w twarz z nicością.

Wszyscy śpią albo się nagrali, pomyślał. A kiedy kogoś zmusisz, żeby się odezwał, powie ci, że jesteś do niczego. To królestwo Beliala podsuwa myśl o marności wszystkiego. Wspaniale. Akurat to, czego nam było trzeba. Jedyne jasne punkty to ten policjant, który prosił, żeby się za niego pomodlić. Nawet Elias zachowuje się dziwnie, wyskakując z propozycją kupienia stacji radiowej za trzydzieści milionów dolarów, żebyśmy mogli powiedzieć ludziom... to, co on tam ma ludziom do powiedzenia. Obok sprzedawania im domowych zestawów stereo i premii w postaci darmowego chrztu. Tak jakby im rozdawał pluszowe zwierzątka.

Zwierzę, pomyślał. Belial jest zwierzęciem. To, co przed chwilą słyszałem przez radio, to był głos zwierzęcia. Nie silniejszy od ludzkiego, ale niższy. Zwierzęcy w najgorszym

sensie: podludzki i nieokrzęsany. Przebiegł go dreszcz. A Rybys sobie śpi, śniąc o swoich chorobach. Ta jej nieustanna aura choroby, we śnie i na jawie, zawsze wokół niej, stale obecna. Ona jest swoim własnym patogenem, sama się zaraża.

Pogasił światła, wyszedł ze sklepu, zamknął frontowe drzwi i poszedł do zaparkowanego samochodu, zastanawiając się, dokąd pojechać. Do chorej, wiecznie kwękającej żony, czy do Kalifornii, do mechanicznego obrzmiałego obrazu, który widział na ekranie telefonu?

Na chodniku, koło jego samochodu, kręciło się coś małego. Coś, co z wahaniem cofnęło się przed nim, jakby ze strachu. Zwierzę, większe od kota. Ale chyba nie pies.

Herb Asher zatrzymał się, pochylił i wyciągnął rękę. Zwierzę niepewnie zbliżyło się i nagle, w jednej chwili, usłyszał jego myśli w swoim umyśle. Stworzenie porozumiewało się z nim telepatycznie. Pochodzę z planety w układzie CY30-CY30B, myślało zwierzę do niego. Jestem jedną z autochtonicznych kóz, które w dawnych czasach składano w ofierze Jahowi.

— Co ty tu robisz? — spytał Herb Asher wstrząśnięty. Coś tu się nie zgadzało, to było niemożliwe.

Ratuj mnie, pomyślało kozokształtne stworzenie. Przywędrowałem tu, na Ziemię, w ślad za tobą.

— Kłamiesz — powiedział, ale otworzył samochód i wyjął latarkę. Schyliwszy się, skierował na zwierzę strumień żółtego światła.

Rzeczywiście, miał przed sobą kozłę i to niezbyt duże, ale nie mogło to być zwykłe ziemskie kozłę: łatwo było dostrzec różnicę.

Proszę, weź mnie i zaopiekuj się mną, myślało do niego kozo-dobne stworzenie. Zgubiłem się. Oddaliłem się od mojej matki.

— Dobrze — powiedział Herb Asher. Wyciągnął rękę i koziołek podszedł do niego lekliwie. Jaka dziwna zasuszona mordka i jakie ostre kopytka. To jeszcze maleństwo, myślał, całe drży. Pewnie jest zagłodzone. Tutaj je ktoś przejedzie.

Dziękuję, pomyślał do niego koziołek.

— Zaopiekuje się tobą — obiecał Herb Asher.

Boję się Jaha, pomyślało stworzenie. Jah jest straszny w gniewie.

Myśli o ogniu i o podrzynaniu gardła. Herb Asher zadrżał. Pierwotna ofiara z niewinnego zwierzęcia. Żeby przebłagać gniew boga.

— Ze mną jesteś bezpieczny — powiedział i wziął koziołka na ręce. Jego spojrzenie na Jaha było szokujące. Widział teraz Jaha oczami tego stworzenia jako coś budzącego grozę, potężne i gniewne bóstwo góry, które domagało się ofiary z małych istotek.

Czy obronisz mnie przed Janem? Kozopodobne stworzenie zadrżało, a jego myśli przepełniał strach.

— Jasne, że cię obronię — powiedział Herb Asher i ostrożnie ułożył zwierzątko na tylnym siedzeniu samochodu.

I nie powiesz Jahowi, gdzie jestem, dobrze? błagało zwierzątko.

— Obiecuję — powiedział Herb Asher.

Dziękuję ci, powiedział koziołek i Herb odczuł jego radość. I, co dziwne, jego poczucie triumfu. Zastanawiał się nad tym, siadając za kierownicą i uruchamiając silnik. Czy to dla niego oznacza jakieś zwycięstwo? zadawał sobie pytanie.

Po prostu cieszę się, że jestem bezpieczny, wyjaśnił koziołek. I że znalazłem opiekuna. Tutaj, na tej planecie, gdzie jest tyle śmierci.

Śmierć, pomyślał Herb Asher. To boi się śmierci, tak samo jak ja. To, podobnie jak ja, żywy organizm. Chociaż pod wieloma względami jest bardzo odmienny.

Byłem dręczony przez dzieci, myślało do niego kozopodobne stworzenie. Przez dwie dzieci, chłopca i dziewczynkę.

W umyśle Herba Ashera pojawia się obraz: para okrutnych dzieci z dzikim wyrazem twarzy i wrogimi, płonącymi oczami. Ten chłopiec i dziewczynka znęcali się nad koziołkiem, który bał się, że znów wpadnie w ich ręce.

— To się już nigdy nie powtórzy — obiecał Herb Asher. — Możesz mi wierzyć. Dzieci potrafią być bardzo okrutne dla zwierząt.

W jego umyśle stworzenie wybuchło śmiechem, Herb Asher odczuł jego radość. Zdziwiony odwrócił się, ale w ciemności za jego plecami koziołek był niewidoczny. Wyczuwał jego obecność tam, na tylnym siedzeniu, ale nie mógł go dojrzeć.

— Nie bardzo wiem, dokąd lecieć — powiedział Herb Asher. Tam, dokąd początkowo chciałeś, pomyślało stworzenie. Do Kalifornii, do Lindy.

— Dobrze — powiedział Herb. — Tylko że ja...

Tym razem policja cię nie zatrzyma, pomyślał koziołek. Już ja się tym zajmę.

— Przecież jesteś małym zwierzątkiem — powiedział Herb Asher.

Koziołek się roześmiał. Możesz mnie dać Lindzie w prezencie, pomyślał.

Nie do końca przekonany, Herb Asher skręcił na zachód i wzbił się w powietrze.

Te dzieci są teraz w Waszyngtonie, pomyślał do niego koziołek. Były w Kanadzie, w Kolumbii Brytyjskiej, ale teraz są tutaj. Chcę być od nich jak najdalej.

— Nie dziwię się — powiedział Herb Asher.

W pewnej chwili poczuł w samochodzie zapach, niewątpliwą woń kozła. Kozłą śmierdziało i było w tym coś niepokojącego. Co za smród, pomyślał, jak na tak małe zwierzątko. Chociaż to jakby normalne dla tego gatunku. Ale mimo to... od smrodu robiło mu się niedobrze. Czy mogę podarować tak smrodliwe stworzenie Lindzie Fox? zadał sobie pytanie.

Pewnie że tak, pomyślała do niego koziołkokszałtna istota, świadoma, co dzieje się w jego umyśle. Linda się ucieszy.

I wtedy Herb Asher odebrał naprawdę przerażający sygnał z umysłu koziej istoty, impuls, który go tak przeraził, że na chwilę stracił panowanie nad kierownicą. Seksualne pożądanie zwierzęcia do Lindy Fox.

Chyba to ze mną jest coś nie w porządku, pomyślał Herb Asher.

Chcę jej, myślało stworzenie. Kontemplowało jej piersi, jej biodra, całe ciało, nagie i przystępne. Jezu, pomyślał Herb Asher, to straszne. W co ja się wpakowałem? Zaczął zawracać maszynę z powrotem, w stronę Waszyngtonu.

I stwierdził, że nie panuje nad kierownicą. Kozopodobna istota przejęła prowadzenie i władzę nad Herbem Asherem w środku jego umysłu.

Ona mnie pokocha, myślało stworzenie, i ja będę ją kochał. A potem jego myśli przekroczyły granice pojmowania Herba Ashera. Było to coś o przekształceniu Lindy Fox w istotę na podobieństwo kozłozwierzca, o wciągnięciu jej do jego królestwa.

Zostanie złożona w ofierze w moim miejscu, myślało stworzenie. Jej gardło... będzie przecięte tak, jak kiedyś moje.

— Nie — powiedział Herb Asher.

Tak, pomyślał stwór.

I zmusił Herba Ashera do dalszego lotu w stronę Kalifornii i Lindy Fox. Panując nad nim, kozła istota jednocześnie nie posiadała się z radości. W mroku jego samochodu, wybijając rytm kopytkami, tańczyła jakiś swój taniec. Taniec triumfu. Oczekiwania. Szaleńczej radości.

Myślała o śmierci i ta myśl wprawiała ją w zachwyt, skłaniała do przerażającego tańca.

Prowadził najgorzej, jak mógł, w nadziei, że znów zahaczy go wóz policyjny, jednak zgodnie z obietnicą kozłozwierzca nikt go nie zatrzymał.

Wyobrażenie Lindy Fox w umyśle Herba Ashera nadal podlegało przygnębiającym przemianom. Widział ją jako osobę prostacką, krościatą, rozlazłą, która za dużo je i kręci się bez celu i nagle zdał sobie sprawę, że to jest punkt widzenia oskarżyciela. Ta kozopodobna istota była oskarżycielem Lindy Fox, który pokazywał ją (i wszystko na świecie) w możliwie najgorszym świetle, w aspekcie brzydoty.

To sprawka tego czegoś na moim tylnym siedzeniu, pomyślał Herb. Ten stwór tak widzi całość dzieła Boga, świat, który Bóg nazwał dobrym. To jest pesymizm zła. Takie widzenie wynika z samej natury zła, która każe dać światu ocenę negatywną. W ten sposób zło odwraca akt stwórczy, niszczy to, co Stwórca powołał do istnienia. Jest to również forma nierzeczywistości, ten werdykt, to ponure spojrzenie. Świat nie jest taki i Linda Fox nie jest taka. Ale ten kozopodobny stwór chce mi wmówić...

Ja ci tylko pokazuję prawdę, pomyślał do niego zwierzak. O twojej kelnerce z pizzarii.



— Wydostałeś się więc z klatki, w której Zina cię zamknęła — powiedział Herb Asher. — Elias mówił prawdę.

Nikt nie powinien być zamykany w klatce, pomyślał do niego stwór. Zwłaszcza ja. Teraz będę buszował po świecie, rozrastając się, póki go nie wypełnię bez reszty. Takie jest moje prawo.

— Belial — powiedział Herb Asher. Słyszę cię, pomyślał w odpowiedzi zwierz.

— Ja cię zabieram do Lindy Fox. Którą kocham najbardziej na świecie. — Herb jeszcze raz próbował oderwać dłonie od kierownicy i znów bezskutecznie.

Podejdźmy do tego logicznie, pomyślał do niego kozłozwierz. To jest mój pogląd na świat i sprawię, że stanie się on poglądem twoim i wszystkich. Taka jest prawda. Światło, które początkowo świeciło, było światłem pozornym. To światło teraz gaśnie i pod jego nieobecność ujawnia się prawdziwa natura rzeczywistości. To światło oślepiło ludzi, nie pozwalając im ujrzeć faktycznego stanu rzeczy. Moim zadaniem jest ujawnić ten stan faktyczny.

Szara prawda, kontynuował kozłopodobny stwór, jest lepsza niż to, co sobie wyobraziłeś. Chciałeś się obudzić. Teraz jesteś obudzony. Pokazałem ci rzeczy takimi, jakie są, bezlitośnie, ale nie można inaczej. Jak myślisz, w jaki sposób zwyciężałem Jehowę w przeszłości? Demaskując jego dzieło, nędzne i godne pogardy. To, co widzisz przez mój umysł i moje oczy, moja wizja świata, moja prawdziwa wizja, to jego klęska. Pamiętasz kopułę Rybys Rommey, tak jak ją zobaczyłeś po raz pierwszy? Pamiętasz, jaka była wtedy? Pomyśl, jaka jest teraz. Czy myślisz, że Linda Fox jest inna? Albo że ty jesteś inny? Wszyscy jesteście tacy sami, a kiedy zobaczyłeś bałagan, brud i gnijące resztki, zobaczyłeś prawdziwy obraz rzeczywistości. Ujrzałeś życie. Ujrzałeś prawdę.

Niedługo pokażę ci prawdę o Fox, kontynuował niby-koziół. Oto, co znajdziesz na końcu tej podróży: dokładnie to, co wtedy, przed laty, znalazłeś w zapuszczonej kopule Rybys Rommey. Nic się nie zmieniło i wszystko jest takie samo. Nie mogłeś uciec przed tym wówczas i nie uciekniesz teraz. I co ty na to? spytał go stwór.

— Przyszłość nie musi być podobna do przeszłości — powiedział Herb Asher.

Nic się nie zmienia, odezwał się stwór. Tak mówi Pismo Święte.

— Nawet koza może cytować Biblię — powiedział Herb Asher. Znaleźli się w gęstym strumieniu ruchu powietrznego w kierunku Los Angeles; samochody osobowe i ciężarówki otaczały ich ze wszystkich stron. Herb Asher widział też pojazdy policyjne, ale żaden z nich nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi.

Poprowadzę cię do jej domu, poinformowała go kozopodobna istota.

— Bydlę — powiedział ze złością Herb Asher.

Balon na uwięzi wskazywał drogę. Byli już prawie w Kalifornii.

— Założę się z tobą, że... — zaczął Herb Asher, ale stwór mu przerwał.



Ja się nie zakładam, pomyślał do niego. Ja nie gram. Jestem potężny i żywię się słabymi. Ty jesteś słaby, a Linda Fox jest jeszcze słabsza, daj sobie spokój z grami, to dobre dla dzieci.

— Trzeba być jak małe dziecko, żeby wejść do Królestwa Niebieskiego — powiedział Herb Asher.

Mnie ono nie interesuje, pomyślał do niego stwór. Moje królestwo jest tutaj. Nastaw autopilota na koordynaty jej domu.

Ręce Herba Ashera wykonały polecenie wbrew jego woli. Nie mógł się przeciwstawić, gdyż stwór w pełni kontrolował jego ośrodek motoryczny.

Zadzwoń do niej, rozkazał stwór. Poinformuj ją, że przyjeżdżasz.

— Nie — powiedział, ale jego palce wsunęły w otwór aparatu kartę z jej numerem.

— Słucham — odezwała się Linda Fox z małego głośnika.

— Tu Herb Asher. Przepraszam za spóźnienie. Zatrzymał mnie policjant. Czy nie jest za późno?

— Nie. Zresztą nie było mnie w domu. Miło będzie cię znów zobaczyć. Zostaniesz, prawda? To znaczy, nie wracasz dziś wieczorem, prawda?

— Zostanę — powiedział.

Powiedz jej, pomyślał do niego kozli stwór, że masz ze sobą mnie. Zwierzątko dla niej.

— Mam dla ciebie zwierzątko — powiedział Herb Asher. — Małego koziołka.

— Naprawdę? I zostawisz mi go?

— Tak — powiedział wbrew swojej woli. Stwór kontrolował jego słowa, nawet intencję.

— To bardzo miło z twojej strony. Mam już całą gromadkę zwierząt, ale kózki nie mam. Chyba umieszczę ją razem z moją owcą, Hermanem W. Mudgettem.

— Dość dziwne imię jak dla owcy — powiedział Herb Asher.

— Herman W. Mudgett to największy wielokrotny morderca w historii Anglii — wyjaśniła Linda Fox.

— Cóż — powiedział Herb — myślę, że to będzie odpowiednie.

— Za chwilę się zobaczymy. Ładuj ostrożnie. Nie chcesz chyba zrobić krzywdy kóźce. — Linda odłożyła słuchawkę.

W kilka minut później jego samochód wylądował łagodnie na dachu jej domu. Herb wyłączył silnik. Otwórz drzwi, pomyślał do niego stwór.

Herb otworzył drzwi.

Podchodząc do samochodu, Linda Fox uśmiechała się do niego w bladym świetle. Oczy jej błyszczały, machała na powitanie. Ubrana była w podkoszulek i obcięte dżinsy, stopy miała bose, jak poprzednio. Kiedy tak szła szybko, włosy jej falowały, a piersi wznosiły się i opadały.

W samochodzie odór kozłozwierzka nasilił się wyraźnie.

— Cześć — powiedziała Linda zdyszonym głosem. — Gdzie jest to kozło? — Zajrzała do samochodu. — O — powiedziała. — Widzę. Wsiadaj, kózko, chodź tutaj.

Niby-koza wyskoczyła na białe światło kalifornijskiego wieczoru.

— Belial — powiedziała Linda Fox. Pochyliła się, żeby dotknąć zwierzątka, ono cofnęło się w pośpiechu, ale palce Lindy musnęły jego bok.

Kozopodobne stworzenie zdechło.

## 20

— Jest ich więcej — powiedziała Linda do Herba Ashera, który stał jak wkopany, patrząc na trup koźlęcia.

— Wejdz. Rozpoznałam go po zapachu. Belial niesamowicie śmierdzi. Wejdz, proszę. — Wzięła go za ramię i doprowadziła do drzwi. — Cały się trzęsiesz. Wiedziałeś, co to jest, prawda?

— Tak — powiedział — ale kim ty jesteś?

— Czasami nazywają mnie obrońcą. Kiedy bronię, jestem obrońcą. Kiedy pocieszam, jestem pocieszycielem. Jestem też przydrożnym pomocnikiem. Belial jest oskarżycielem. W sądzie jesteśmy przeciwnikami. Proszę, wejdz do środka i odpocznij. To było dla ciebie ciężkie przejście, ja wiem.

— Dobrze. — Pozwolił się jej zaprowadzić do windy.

— Czy cię nie pocieszałam? — spytała Linda Fox. — W przeszłości? Kiedy leżałeś samotnie w swojej kopule na obcym świecie, nie mając do kogo ust otworzyć? To jest moje zadanie. Jedno z moich zadań. — Przyłożyła dłoń do jego piersi. — Serce ci wali. Musiałeś się nieźle przestraszyć. To ci powiedziało, co ma zamiar zrobić ze mną. Ale, jak widzisz, nie wiedziało, dokąd je zabierasz. Dokąd, albo do kogo.

— Zniszczyłaś je — powiedział i umilkł.

— Ale zdążyło rozprzestrzenić się po całym wszechświecie. To, co widziałeś na dachu, to tylko jeden przypadek. Każdy człowiek ma swojego obrońcę i oskarżyciela. Po hebrajsku obrońca nazywał się *jetzer ha-tov*, a oskarżyciel *jetzer ha-ra*. Przyniosę ci coś do picia. Mam dobry kalifornijski zinfandel, zinfandel Buena Vista. To szczep przywieziony z Węgier, większość ludzi tego nie wie.

Kiedy znalazł się w saloniku, z ulgą osunął się na latający fotel. Wciąż czuł odór koźła.

— Czy ja kiedykolwiek... — zaczął.

— Ten zapach zniknie. — Podeszła do niego z kieliszkiem czerwonego wina. — Otworzyłam je wcześniej, żeby oddychało. Spodoba ci się.

Stwierdził, że wino jest wspaniałe. Serce zaczęło mu się uspokajać.

Linda Fox usiadła na wprost niego też z kieliszkiem w dłoni i przyglądała mu się uważnie.

— To coś nie zrobiło chyba krzywdy twojej żonie? Albo Eliasowi?

— Nie — odpowiedział Herb. — Byłem sam, kiedy to do mnie przyszło. Udawało zbląkane zwierzątko.

— Każda osoba na Ziemi będzie musiała wybrać między swoim *jetzer ha-tov* a swoim *jetzer ha-ra*. Ty wybrałeś mnie i dlatego cię obroniłam... Gdybyś wybrał tamtego stwora, nie mogłabym nic zrobić. W twoim przypadku wybrana zostałam ja. Bitwa toczy się o każdą duszę z osobna. Tak uczą rabini. Oni nie uznają doktryny upadku człowieka jako całości. Zbawienie to sprawa indywidualna. Czy smakuje ci zinfandel?

— Tak.

— Wykorzystałam waszą stację radiową. To będzie dobre miejsce na próbowanie nowych materiałów.

— Więc wiesz o tym?

— Elias jest zbyt surowy. Moje pieśni będą odpowiednie. Moje pieśni radują serca ludzi, a to jest najważniejsze. Cóż, Herbie Asher, jesteś ze mną w Kalifornii, tak jak sobie wymarzyłeś dawno temu. Tak jak sobie wyobrażałeś w innym układzie gwiezdny, w swojej kopule, z moimi holograficznymi afiszami, które ruszały się i mówiły, z syntetyczną wersją mojej osoby, z imitacjami. Teraz masz przy sobie prawdziwą Linde Fox, siedząc naprzeciwko ciebie. Jak to jest?

— Czy to jest prawdziwe? — spytał Herb.

— A czy słyszysz dwieście cikliwych smyczków?

— Nie.

— To jest prawda — powiedziała Linda Fox. Odstawiła kieliszek, wstała, podeszła do niego i pochyliła się, żeby go objąć.

Rano obudził się i Fox leżała przy nim, jej włosy dotykały jego twarzy i powiedział sobie: To jest naprawdę, to nie sen i ta zła kozopodobna istota leży martwa na dachu, mój indywidualny potwór, który przybył, żeby mnie zniszczyć.

A to jest kobieta, którą kocham, pomyślał, dotykając jej ciemnych włosów i bladego policzka. Ma piękne włosy i takie długie rzęsy, jest piękna, kiedy śpi. To niemożliwe, ale to prawda. To się zdarzyło. Co takiego mówił Elias na temat wiary? *Certum est quia impossibile est*. To pewne, bo to niemożliwe. Wielkie zdanie jednego z wczesnych ojców kościoła, Tertuliana, na temat zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. *Et sepultus resurrexit; certum est quia impossibile est*, I tak samo jest tutaj.

Jaką długą drogę przebyłem, myślał, głaszcząc jej nagie ramię. Kiedyś o tym marzyłem, a teraz to przeżywam. Wróciłem do punktu wyjścia, a jednak jestem w zupełnie innym miejscu! To cud i jednocześnie paradoks. I wszystko w Kalifornii, tak jak sobie wy-

obrażalem. Jakbym w marzeniach przewidział przyszłą rzeczywistość, przeżył ją, zanim się wydarzyła.

A ta martwa rzecz na dachu jest dowodem, że to wszystko prawda. Bo moja wyobraźnia nie powołałaby do życia tej cuchnącej bestii, która przykleiła się do mojego umysłu i opowiadała mi paskudne kłamstwa o małej, grubej kobiecie z niezdrową cerą. O kimś tak brzydkim jak samo to zwierzę.

Czy ktoś kiedyś kochał inną istotę ludzką tak, jak ja ją kocham? zadał sobie pytanie, a potem pomyślał: Ona jest moim Obrońcą, moim Pomocnikiem. Przypomniała mi hebrajskie słowa, które ją opisują. Jest moim duchem opiekuńczym, a ten kozłostwór przebył trzy tysiące mil, żeby dotrzeć tutaj i zginąć od jednego jej dotknięcia. Umarł bez żadnego odgłosu, z taką łatwością go zabiła. Czekwała na niego. To jest, jak sama powiedziała, jej zadanie, jedno z jej zadań.

Ma też inne: pocieszała mnie, pociesza miliony ludzi, broni, daje ukojenie. I zdąża zawsze na czas, nigdy się nie spóźnia.

Pochyliwszy się, pocałował Linde w policzek. Westchnęła przez sen. Słaby i we władzy tej kozopodobnej istoty, pomyślał. Taki byłem, kiedy tu przyleciałem. Obroniła mnie, bo byłem słaby. Ona nie kocha mnie tak, jak ja ją, bo musi kochać wszystkich ludzi. A ja kocham tylko ją. Całym sobą. Ja, słaby, kocham ją, która jest silna. Ona ma moją lojalność, a ja jej obronę. To jest Przymierze, które Bóg zawarł z Izraelitami: silny ochroni słabych, a słabi dają w zamian silnemu swoją cześć i lojalność, na tym polega wzajemność. Ja mam przymierze z Lindą Fox i żadne z nas go nigdy nie zerwie.

Przygotuję jej śniadanie, postanowił. Ostrożnie wstał z wodnego łoża i na palcach poszedł do kuchni.

Ktoś tam stał, czekając na niego. Ktoś znajomy.

— Emmanuel — powiedział Herb Asher.

Chłopiec roztaczał widmową poświatę i Herb Asher uświadomił sobie, że widzi przez niego ścianę i szafki. To było boże objawienie, w rzeczywistości Emmanuel znajdował się gdzie indziej. A jednak był i tutaj, i tutaj rozmawiał z Herbem Asherem.

— Odnalazłeś ją — powiedział Emmanuel.

— Tak.

— Ona cię obroni.

— Wiem. Po raz pierwszy w życiu.

— Teraz nie musisz już przed niczym uciekać — mówił Emmanuel. — Jak to robiłeś w swojej kopule. Zamykałeś się ze strachu. Teraz nie musisz się niczego bać... dzięki jej obecności. Takiej, jaka jest teraz, prawdziwa i żywa, nie jakiś tam miraż.

— Rozumiem to — powiedział Herb Asher.

— Jest jeszcze coś. Udostępnij jej waszą radiostację, pomóż jej, pomóż swojej obrończyni.

— To paradoks.

— Ale to prawda. Możesz wiele dla niej zrobić. Miałaś rację, kiedy pomyślałeś o słowie „wzajemność”. Wczoraj wieczorem ona uratowała ci życie. — Emmanuel uniósł rękę. — To ja ci ją dałem.

— Rozumiem. — Domyślał się, że tak było.

— Czasami w tym równaniu, że silny broni słabego, trudno ustalić, kto jest silny, a kto słaby. W zasadzie, ona jest silniejsza od ciebie, ale ty też możesz jej bronić w pewien szczególny sposób, możesz osłaniać ją od tyłu. To jest prawdziwe prawo życia: wzajemna obrona. W ostatecznym rachunku wszystko jest i silne, i słabe. Nawet *jetzer ha-tov*, twój *jetzer ha-tov*. Ona jest siłą i jednocześnie jest osobą, w tym kryje się tajemnica. Będziesz miał czas w życiu, które cię czeka, żeby tę tajemnicę zgłębić. Nieco. Będziesz ją coraz lepiej poznawać. Ale ona zna cię już teraz doskonale, tak jak Zina zna całą prawdę o mnie, tak Linda Fox zna całą prawdę o tobie. Czy zdajesz sobie z tego sprawę? Że Fox wiedziała wszystko o tobie od bardzo dawna?

— Ta kozopodobna istota wcale jej nie zaskoczyła.

— Nic nie zaskakuje *jetzer ha-tov* — powiedział Emmanuel.

— Czy jeszcze cię kiedyś zobaczę? — spytał Herb Asher.

— Nie tak, jak mnie widzisz teraz. Nie w ludzkiej postaci, takiej jak twoja. Nie jestem taki, jakim mnie teraz widzisz, pozbyłem się już ludzkiej natury, którą zawdzięczałem mojej matce Rybys. Zina i ja połączymy się w syzygii makrokosmicznej i będziemy pozbawieni somy, to jest ciała fizycznego odrębnego od świata. Świat będzie naszym ciałem, a nasz umysł będzie umysłem świata. Będzie też twoim umysłem, Herbercie. I umysłem każdej innej istoty, która wybrała swój *jetzer ha-tov*, swojego dobrego ducha. Tego właśnie uczyli rabini, że każda istota ludzka... ale widzę, że ty to już wiesz, Linda ci powiedziała. Nie powiedziała ci jeszcze o późniejszym darze, który ma dla ciebie: o darze całkowitego odpuszczenia win całego twojego życia. Ona będzie przy tobie, kiedy będziesz sądzony, i to ona będzie sądzona, nie ty. Ona jest bez skazy i przekaże ci tę swoją doskonałość, kiedy dojdzie do ostatecznej oceny. Nie bój się więc, twoje zbawienie jest zapewnione. Ona odda życie za ciebie, swojego przyjaciela. Jak powiedział Jezus: „Nikt nie ma większej miłości od tej, gdy ktoś życie swoje oddaje za przyjaciół swoich”. Kiedy dotknęła tej kozopodobnej istoty, ona... może lepiej nie powiem.

— Ona sama na chwilę umiała — powiedział Herb Asher.

— Na chwilę tak krótką, że prawie nie istniejącą.

— A jednak to się zdarzyło. Ona umarła i wróciła. Mimo że ja nic nie zauważyłem.

— To prawda. Skąd więc wiedziałeś?

— Poczułem to dziś rano, kiedy patrzyłem na nią, jak śpi. Poczułem jej miłość — powiedział Herb Asher.

Do kuchni weszła zaspana Linda Fox w jedwabnym szlafroku w kwiaty. Na widok Emmanuela stanęła jak wryta.

— Kyrios — wyszeptała.

— *Du hast den Mensch gerettet* — powiedział do niej Emmanuel. — *Die giftige Schlange bekämpfte... esfreutmich sechr. Danke.*

— *Die Absicht ist nur allzuklar* — odpowiedziała Linda Fox. — *Lass mich fragen: wann also wird das Dunkel schwinden?*

— *Sobald dich führt der Freundschaft Hand ins Heiligtum zum ew'gen Band.*

— *O wie?* — spytała Linda Fox.

— *Du...* — Emmanuel przyjrzał się jej uważnie. — *Wie stark ist nicht dein Zauberton, deine Musik. Sing immer für alle Menschen, durch Ewigkeit. Dabei ist das Dunkel zerstören.*

— *Ja* — skinęła głową Linda Fox.

— Powiedziałem jej — zwrócił się Emmanuel do Herba Ashera — że ona cię uratowała. Jadowity wąż został pokonany i jestem zadowolony. Podziękowałem jej. Ona powiedziała, że jego zamiary były dla niej jasne od początku. A potem spytała, kiedy zniknie ciemność.

— I co jej odpowiedziałeś?

— To sprawa między nią a mną. Ale powiedziałem jej, że jej muzyka musi towarzyszyć ludziom przez całą wieczność, że stanowi część tej wieczności. Najważniejsze, że ona to rozumie i robi to, co do niej należy. Nie ma żadnych nieporozumień między nią a nami. Między nią a Sądem.

Linda Fox podeszła do piecyka (kuchnia była czysta i schludna, wszystko znajdowało się na swoim miejscu) i wcisnęła guziki, które spowodowały wysunięcie się jedzenia z lodówki.

— Przygotuję śniadanie — powiedziała.

— Ja to chciałem zrobić — Herb Asher poczuł się dotknięty.

— Ty odpocznij. Miałeś ciężkie przejścia w ciągu ostatniej doby. Policja cię zatrzymała, znalazłeś się we władzy Beliala... — Uśmiechnęła się do niego. Nawet z potarganymi włosami była... nie starczyło słów, żeby wyrazić, ile dla niego znaczyła. W każdym razie on nie potrafił ich znaleźć. Nie w tej chwili. Widok jej i Emmanuela rzucał go na kolana. Nie potrafił wydobyć z siebie głosu, kiwnął tylko głową.

— On cię bardzo kocha — powiedział Emmanuel do Lindy Fox.

— Wiem — powiedziała z powagą.

— *Seifrohlich.*

— Mówi mi, żebym była szczęśliwa — przetłumaczyła Linda Herbowi. — Ja jestem szczęśliwa. A ty?

— Ja... — Herb zawahał się. Ona spytała, kiedy znikną ciemności, przypomniał sobie. A ciemności nie zniknęły. Jadowity wąż został pokonany, a ciemności pozostały.

— Bądź zawsze radosny — powiedział Emmanuel.



— Okay — powiedział Herb Asher. — Będę.

Linda Fox przy kuchence szykowała śniadanie i zdawało mu się, że słyszy jej śpiew. Nie był pewien, ponieważ jego umysł zawsze wypełniało piękno jej melodii. Było w nim stale obecne.

— Masz rację — powiedział Emmanuel. — Ona śpiewa. Nie przestając śpiewać, nastawiła kawę. Zaczął się dzień.

— A to coś na dachu? — zaczął Herb Asher. Ale Emmanuel zniknął. Pozostali tylko on i Linda Fox.

— Zadzwoń do władz miejskich, żeby to wywieźli — powiedziała Linda Fox. — Mają do tego specjalną maszynę. Do wywożenia jadowitego węża. Z życia ludzi i z dachów domów. Włącz radio i poszukaj wiadomości. Posłuchajmy o wojnach i o pogłoskach wojennych. Nastąpią wielkie wstrząsy. Ten świat... widzieliśmy tylko niewielką jego część. A potem zadzwonimy do Eliasa w sprawie radiostacji.

— Koniec ze smyczkową wersją *Południowego Pacyfiku*.

— Niedługo wszystko się uładzi — powiedziała Linda Fox. — To się wydostało z klatki, ale wkrótce do niej wróci.

— A co będzie, jak przegramy? — spytał Herb Asher.

— Ja widzę przyszłość — powiedziała Linda. — Zwyciężymy. Już zwyciężyliśmy. Zawsze byliśmy zwycięzcami, od samego początku, jeszcze przed stworzeniem świata. Z czym pijesz kawę? Zapomniałam.

Później wyszli z Linda Fox na dach, żeby spojrzeć na trupa Beliala. Ku swemu zdziwieniu Herb Asher zobaczył nie wysuszone zwłoki kozopodobnego stworzenia, lecz coś, co wyglądało na szczątki wielkiego świetlistego latawca, który rozbił się i zdruzgotany przykrył prawie cały dach.

W zadumie patrzyli z Linda na coś ogromnego, pięknego i zniszczonego, rozsypane go w okruchach, jak rozbite światło.

— Taki był kiedyś — powiedziała Linda. Na początku. Przed upadkiem. To był jego pierwotny kształt. Nazywaliśmy go Motylem. Motylem, który spada powoli, przez tysiące lat, przecinając Ziemię, jak geometryczny kształt zniżający się stopniowo, aż nic z tego kształtu nie pozostanie.

— Był bardzo piękny — powiedział Herb Asher.

— Był gwiazdą poranną. Najjaśniejszą gwiazdą na niebie. A teraz pozostało z niego tylko to.

— Jakże upadł.

— I wszystko inne z nim — powiedziała Linda.

Razem zeszli z powrotem do mieszkania i zadzwonili do administracji. Żeby przysłali maszynę do uprzątnięcia szczątków.

— Czy będzie jeszcze kiedyś taki, jak na początku? — spytał Herb Asher.

— Może — odpowiedziała Linda. — Może wszyscy tacy będziemy.

A potem zaśpiewała jedną z pieśni Dowlanda. Była to pieśń, którą Fox tradycyjnie śpiewała dla wszystkich planet w dniu Bożego Narodzenia. Był to najbardziej liryczny, najbardziej przejmujący ze wszystkich adaptowanych przez nią utworów Johna Dowlanda.

*Chromy nieszczęśnik leżąc przy sadzawce,  
Od lat nadzieją uzdrowienia żył;  
Gdy jego oczy spoczęły na Zbawcy,  
Z łoża boleści powstał w pełni sił.*

— Dziękuję ci — powiedział Herb Asher. Nad nimi pracowała maszyna uprzątająca szczątki Beliala. Zbierająca rozbite fragmenty czegoś, co kiedyś było światłem.

## **SPIS TREŚCI**

1	3
2	10
3	19
4	28
5	40
6	51
7	62
8	71
9	84
10	93
11	103
12	113
13	121
14	131
15	140
16	149
17	157
18	161
19	173
20	183